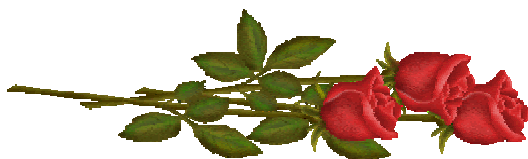




*LYNN ERICKSON*



*W objęciach  
chłodu*

# Rozdział I

Widok wózka inwalidzkiego zawsze na niego działał. Lśniący, nowoczesny, o wielkich, zwróconych ku sobie kołach. Chociaż od czasu, kiedy Joe został do niego przykuty, minął już ponad rok, ciągle nie mógł się do tego przyzwyczaić. Jego przyjaciel Joe... taki sam jak zawsze, przynajmniej od pasa w górę, taki sam mimo wypadku. Przystojny brunet o ascetycznych rysach, odziedziczonych po hiszpańskich przodkach, i wesołym uśmiechu. Od pasa w dół był sparaliżowany. A jednak zazdrościł Joemu, zazdrościł mu spokoju i pogodzenia z samym sobą.

- No - powiedział ze swobodną miną którą Joe dobrze znał.

- Jak leci?

- Całkiem nieźle - odparł Joe. - A co u ciebie, Chris?

Siedzieli przy stoliku pod pasiastym parasolem w ogródku na tyłach domu Joego. Dzień był gorący, jak zwykle w Denver w lipcu. Gorący i tak suchy, że pot obsychał na skórze, zanim człowiek zdążył go na sobie poczuć. Takie dni przywodziły Chrisowi na myśl senne jaszczurki, wygrzewające się na zalanych słońcem kamieniach. Lato w Denver.

- Och, no wiesz. - Chris wzruszył ramionami.

- Nie, stary, nie wiem. Kiedy wróciłeś, pół roku temu? I przez cały czas byłeś prawie nieuchwytny. Szukasz pracy?

Chris zmrużył oczy ukryte za okularami przeciwsłonecznymi i spojrzał w stronę zraszacza, rozsiewającego wokół kropelki wody, które lśniły w słońcu. Widział tylko trawę, wodę i wysokie drewniane ogrodzenie, oddzielające ogródek Joego od podwórka sąsiadów. Znikąd pomocy. Zamrugał i zaczął się zastanawiać, co powiedzieć.

- No?

- Nie, w tej chwili nie. Mówiłem ci, po co miałbym pracować, kiedy wygrałem tyle forsy? Nie spiesz mi się do roboty.

Joe pokiwał głową i pociągnął długi łyk piwa,

- Ale przecież większość wygranej ofiarowałeś mnie powiedział cicho.

- Przesadzasz. Nie martw się, zostawiłem sobie więcej niż potrzeba. Może jestem szalony, ale nie głupi.

- A jednak czuję się jak... wiesz, jak na garnuszku opieki społecznej. Pewnego dnia możesz potrzebować tych pieniędzy. Nic na to nie poradzę, martwię się o ciebie, Chris.

- Przestań się martwić.

- Daj spokój, to ja. Wiem, kiedy coś jest nie tak.

- Nie tak? - zaśmiał się Chris.

- Wiesz, o czym mówię. Ukrywasz coś, człowieku. Udajesz. Nawet teraz. Chris poczuł, jak maska wystudiowanej niefrasobliwości zsuwa mu się z jego twarzy. Robił, co mógł, by się nie zdradzić, zastosował wszystkie znane sztuczki, a jednak gładka fasada spokoju i pewności siebie łuszczyła się jak stara skóra. Przesunął dłonią po czole i poczuł pod palcami sól.

- Cholera.

- Na litość boską, mów, o co chodzi - powiedział Joe.

- Hm, o to, że czasem... cholera, czasem...

- Wyrzuc to z siebie.

Chris położył łokieć na stole i oparł głowę na dłoni.

- Sam nie wiem. Czasem budzę się w nocy i... i nie pamiętam, kim jestem. Nagle ogarnia mnie panika. "Kim dzisiaj jestem? Czy czasem z czymś się nie zdradziłem?" Leżę i myślę o nich wszystkich, o tych rolach, kłamstwach, i próbuję się skupić, żeby przypomnieć sobie, kim jestem. 1... Chryste... czasem po prostu nie wiem.

Joe położył mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze, że się zwolniłeś. To minie, Chris. Z czasem. Wierz mi, nauczyłem się jednego, z czasem wszystko mija.

- Jasne.

- Dobrze, że odszedłeś. Gdybyś został, mógłbyś zginąć. Ty albo któryś z twoich partnerów.

- Tak.

- Zaproponowali ci jakąś pomoc psychologiczną?

- Nie chciałem żadnej choleralnej pomocy psychologicznej. - Gdyby tylko Joe wiedział, gdyby znał prawdę. Pomoc psychologiczna. Akurat. Jakby Departament Policji z Newark miał ochotę udzielić mi jakiegokolwiek pomocy po tym, jaki wyciął im numer. Miał szczęście, że poprosili go, by sam zrezygnował. Mogli go pozwać.

- Psycholog może czasem pomóc.

- Nie mnie.

- W porządku, jak chcesz. Zawsze byłeś upartym sukinsynem.

Chris spojrzał na przyjaciela znad okularów i uśmiechnął się z przymusem. Tak, tak lepiej.

- Nie masz więc żadnych planów? - spytał Joe.

- Nie. Leżę do góry brzuchem i cieszę się wolnością.

- Nudzisz się pewnie jak mops. Przyznaj się.

Chris widział wyraźnie, że Joe nie uwierzył w ani jedno jego słowo. Joe nigdy nie umiał ukryć swoich uczuć. Ani wtedy, kiedy byli jeszcze dziećmi, ani teraz. Martwił się o Chrisa. Bał się, że jego przyjaciel pewnego dnia włoży sobie lufę rewolweru do ust.

W tej chwili z domu wyszła żona Joego, żeby zapytać, czy mają ochotę na kolejne piwo. Na szczęście. Chris nie wytrzymałby tego wypytywania ani sekundę dłużej. Nie powinien niczego mówić. To głupie, ale dawny strach ciągle zżerał go od środka. Strach, przerażenie, panika tych ciemnych godzin przed świtem, tego czasu, kiedy starzy, chorzy ludzie, którzy za słabo trzymają się życia, umierają w szpitalach.

- Co słyhać, chłopcy? - spytała Charlene.

Była ładna, trochę pulchna, o wijących się kasztanowych włosach i wielkich brązowych oczach. Joe poznał ją w szkole średniej i od tego czasu nie spojrzał na inną kobietę.

- W porządku, ja jeszcze mam - odparł Joe. - Chris?

Chris przechylił butelkę i wypił resztę piwa.

- Chętnie wypiję jeszcze jedno.

Dziwne, nie był w stanie znieść współczującego wzroku przyjaciela, a jednak poprosił o kolejne piwo, by odwlec chwilę pożegnania. To z pewnością coś znaczy, ale nie miał pojęcia co.

Potem omal nie roześmiał się na cały głos. Ależ oczywiście, wiedział doskonale, co to znaczy. Miał ochotę się wypowiedzieć, zwierzyć, zrzucić ciężar z piersi. Pragnął przebaczenia, rozgrzeszenia, zrozumienia i tak dalej.

Chciał, by na całym tym cuchnącym świecie znalazł się choć jeden człowiek, przed którym nie musiałby niczego udawać. Jeden człowiek,

który wiedziałby, kim on jest i do czego jest zdolny. Może wtedy w końcu przypomniaby sobie, kim naprawdę jest.

Wróciła Charlene z butelką piwa. Na szkle już pojawiły się kropelki wody.

- Dzięki - powiedział.

- Gorąco, prawda?

- Owszem.

- Nie chcecie wejść do środka? W domu jest chłodniej.

- Może później - powiedział Joe.

- Obaj jesteście szurnięci. - Charlene się uśmiechnęła, zmierzwiła palcami włosy męża i wróciła do domu.

Kochała Joego. Zakrawało to na cud, ale mimo wózka nadal go kochała. Chrisa nagle ogarnęła zazdrość. Joanie przestała go kochać, bo przeniósł całą rodzinę do Newark, gdzie podjął pracę. Wtedy przeprowadzka wydawała się doskonałym pomysłem, wiązała się z dużym awansem, no i mieli przecież Nowy Jork i wszystkie jego atrakcje niemal tuż za drzwiami. Ale wspaniały plan okazał się porażką. Joanie nie podobało się w Newark. Nie podobało jej się też to, co stało się z jej mężem. I właśnie wtedy, kiedy on potrzebował jej najbardziej, zabrała syna i wróciła do Denver. Nie ma to jak lojalność, pomyślał z goryczą.

- Co u Richa? - spytał Joe, jakby czytał w jego myślach.

- W porządku. Obiecałem mu, że przyjdę dzisiaj po południu zobaczyć, jak gra w Małej Lidze. - Pokręcił głową. - Jak te dzieciaki mogą grać w takim upale?

- My też graliśmy. - Joe się uśmiechnął.

- My byliśmy szurnięci, jak zauważyła Charlene.

- Nie, byliśmy młodzi. Ale czy w Newark nie żyło się latem gorzej niż tu? Wiesz, większa wilgotność.

- Owszem. Nie do zniesienia. Klimatyzowane domy, klimatyzowane samochody, klimatyzowane biura. Do diabła, nawet te mafijne brudne włoskie knajpy miały klimę.

Nagle stanęła mu przed oczami scena z przeszłości. Zadymione zaplecze małej pizzerii, zapach ciasta, czosnku i sosu pomidorowego. Chudy, ciemnowłosy mężczyzna przy stole powoli jadł pizzę nożem i widelcem. Ochroniarz. I strach. Przerazenie. Wtedy omal się nie wyspał.

- Hej, pytałem o...

- Co?

- Pytałem o Joanie. Co ona teraz robi?

- Och, no tak, Joanie. Sprzedaje nieruchomości. Wyobrażasz sobie?

- Wiem, że dostała licencję. Charlene... wiesz, one się przyjaźniły.

Zgadza się, były przyjaciółkami. Żony gliniarzy - to rodziło bliskość silniejszą niż więzy rodzinne. Oczywiście Charlene nadal przyjaźniła się z Joanie - zwłaszcza teraz, kiedy Joanie wróciła do Denver.

- Ty pewnie wcześniej niż ja wiedziałeś, co ona robi - rzucił Chris od niechcienia.

- Raczej Charlene - odparł Joe ostrożnie.

- Joanie podoba się ta praca, bo może więcej czasu spędzać z Richem.

- Na pewno.

Zapadła cisza. Chris zaczął zdrapywać paznokciem etykietę z butelki.

- Charlene szuka pracy - powiedział Joe. - Na pół etatu. Trochę się tu teraz uspokoiło. - Miał na myśli to, że skończył rehabilitację i sam dawał sobie radę w domu, a jego żona nie bała się już, że w każdej chwili coś może mu się stać albo że skończy się im ubezpieczenie. Joe nie dostał odszkodowania, bo kiedy zdarzył się ten wypadek, nie był na służbie.

- Ale ona nie musi pracować, prawda?

- Nie, ale chce - odparł Joe. - A ja na jesieni mam zamiar zacząć kurs komputerowy. Już czegoś szukam. Gadałem z facetem z Wydziału Budownictwa. Mogą mnie zatrudnić. Mógłbym przeprowadzać inspekcje budynków pod kątem dostępności dla niepełnosprawnych.

Cały Joe, wieczny optymista.

- Jasne, stary.

- Dam radę.

- Na pewno.

Tak, wszystko może się udać, wystarczy niewielka pomoc innych ludzi. A kto zechce jemu pomóc? Joe poprawił się w swoim wózku.

- Myślałeś o tym, żeby zatrudnić się w policji tutaj? W mieście potrzebują ludzi z doświadczeniem. W porównaniu z Newark to bułka z masłem. A ty byłeś przecież najlepszy. Mógłbyś dobrać się do skóry włamywaczom.

Chris omal nie zakrztusił się piwem. Nikt w policji już go nie zatrudni. Nigdy. Ale nie mógł powiedzieć Joemu dlaczego, bo wtedy runąłby cały ten wybudowany z mozołem domek z kart. Wiedział, że prędzej umrze, niż powie Joemu czy komukolwiek innemu, skąd naprawdę wzięły się te pieniądze.

- Nie sądzę. Zastanawiam się nad czymś innym.



- Tak?

- Sprzedaż samochodów albo coś w tym rodzaju.

- Sprzedaż samochodów? Ty i John Elway, tak?

- Czemu nie?

- To musi być poważna inwestycja - mruknął Joe.

- Nie martw się, mówiłem ci przecież...

- Wiem, co mi mówiłeś.

- Chryste, Joe. - Chris upił łyk piwa, a potem trzymając butelkę między kciukiem i palcem wskazującym, poruszał nią lekko. - Odczep się.

- Ciągle się o ciebie martwię. Charlene się o ciebie martwi. Do diabła, Joanie też się o ciebie martwi. A ty mi tu wyjeżdżasz jeszcze z jakąś historią, że nie wiesz, kim jesteś.

Chris postawił butelkę na szklanym stoliku.

- Nie powinienem ci tego mówić. Teraz będziesz mnie męczył. Jesteś jak zdarta płyta, stary. To dzieje się tylko czasem, Joe. Każdy ma przecież w życiu gorsze chwile.

- Na pewno. Ale ludzie na ogół nie przeżywają takich chwil sami. Proszą rodzinę i przyjaciół o pomoc.

Chris znowu spojrzał w stronę płotu.

- Nic mi nie jest. - Uśmiechnął się krzywo. - Znasz mnie. Zawsze przesadzam. Jezu, mówię ci, że miałem koszmarne sen, a ty zaczynasz szaleć.

- Tak?

- Jestem tym samym facetem. Spójrz na mnie. To ja, twój stary kumpel, Christopher Judge. Nic mi nie jest.

Kłamstwa, same kłamstwa. Umiał kłamać. Ta umiejętność była jego największym życiowym osiągnięciem.

Joe milczał, ale współczucie w jego oczach raniło do żywego.

Ile Joe się domyśla? Gdyby spytał teraz, skąd naprawdę wzięła się ta forsa, czy wyznałby mu wszystko? Czy w głębi ducha nie chciał, by Joe znał prawdę?

Pieprzony system, pomyślał. Pieniądze znalazłyby się w końcu w kieszeni jakiegoś skorumpowanego gliniarza. A tak, dostał je Joe, przynajmniej poszły więc na dobry cel.

Przełknął ostatni haust piwa. Kiedy temperatura osiągała takie wartości, człowiek mógł wypić trzy piwa i ani razu się nie wysikać. Upał wysysał płyny jak odkurzacz.

- No, muszę lecieć - powiedział. - Mała Liga czeka.

- Wszystko w porządku?

- Co, ja cię niepokoić? - powiedział. Był to żart jeszcze z czasów dzieciństwa. Z magazynu „Mad”. Z jednego z tych starych egzemplarzy. Oszczędzali i kupowali je w antykwariatach.

- Chris.

- Co?

Joe zrobił coś z jednym kołem swojego wózka i znalazł się nagle blisko Chrisa. Zetknęli się kolanami. Chris to czuł, Joe nie. Chris odsunął krzesło i wstał.

- Przestań chrzanić - powiedział Joe, patrząc na niego poważnie.

Chyba musi go boleć szyja, pomyślał Chris. Ciągle zadziera głowę do góry.

- Daj spokój, chłopie. Nic mi nie jest.

- Potrzebujesz profesjonalnej pomocy.

Joe pokręcił głową, nie spuszczać z niego wzroku.

- Zawsze możesz do mnie przyjść. Gdybyś chciał pogadać, jestem tu.

- Jasne. Nawzajem - odparł szorstko. Czuł, że kłamię lepiej niż kiedykolwiek.

W samochodzie było gorąco jak w piecu. Musiał otworzyć okna, żeby mieć czym oddychać, zanim klimatyzacja zacznie działać. Odetchnął rozgrzanym powietrzem. Dłonie ślizgały mu się po kierownicy, czuł pot pod pachami, plecy kleiły się do oparcia siedzenia. Cholera, cholera, cholera. Do diabła z Joem, do diabła z Charlene. Do diabła z Joanie, wschodzącą gwiazdą handlu nieruchomościami. Do diabła ze wszystkimi.

Ruszył do parku, gdzie Richard, jego syn, brał udział w meczu Małej Ligi. Czuł, że nie był dziś przekonujący, zwalczył jednak ogarniające go przygnębienie. Rozczarowanie i rozpacz. Był pusty. Nie wierzył w nic i w nikogo. Nie miał celu w życiu. Złamał przysięgę, zagubił się w morderczym labiryncie pracy tajniaka. Może naprawdę stał się przestępcą, którego tak długo odgrywał. Może niewiele zostało już w nim z Chrisa Judge'a - i to wcale nie była już gra.

Zaparkował obok łańcucha ogradzającego boisko Małej Ligi, wysiadł z samochodu, wziął głęboki oddech i włożył okulary przeciwsłoneczne. Słońce zaczynało się już kryć za górami, ale na chłód wieczoru trzeba było jeszcze poczekać. Drzewa stały zakurzone i smutne. Nawet trawa wydawała się zmęczona. Ale dziesiątki młodych chłopców w identycznych koszulkach i kaskach biegało wokół baz, potykając się i krzycząc. Byli spoceni i brudni, choć mecz jeszcze się nie rozpoczął. Matki w krótkich spodenkach, sportowych bluzkach i ciemnych okularach

obserwowały boisko, było nawet kilku ojców, choć o tej porze większość mężczyzn jeszcze pracowała.

Ale oczywiście nie on.

Dostrzegł Richa i pomachał do niego. Chciał, żeby syn wiedział, że przyszedł. Rich puścił się biegiem w jego stronę. Miał dziesięć lat, był wysoki i szczupły. Niesforne jasnobrązowe oczy przypominały oczy ojca, poza tym jednak był podobny do matki. Miał jej szerokie usta i delikatną oprawę oczu.

- Cześć, tato - wydyszał.

- Cześć, Rich. Jaką masz pozycję? Trzecia baza?

- Tak.

- Świetnie.

- Trener chce, żebym spróbował. Mówi, że jestem szybki.

- Super.

- Ale nie rzucam najlepiej.

- To wymaga ćwiczeń.

- Mówiłeś, że ty też nie najlepiej rzucałeś.

- To prawda. Pod tym względem kiepsko mi szło. Nie potrafiłem utrzymać równowagi.

- Muszę lecieć. Mamy rozgrzewkę.

- Jasne. Leć, chłopie.

Rich uśmiechnął się i przez chwilę był bardzo podobny do matki.

Potem pobiegł na boisko.

Joanie przyszła kilka minut po rozpoczęciu gry. Miała na sobie jasnoszarą spódniczkę i białą jedwabną bluzkę; zakiet najwyraźniej zostawiła w samochodzie. Przyjechała prosto z pracy.

- Witaj - powiedziała. - Cieszę się, że udało ci się przyjść.

- Mówiłem, że przyjdę. Obiecałem Richowi.

- Oczywiście.

Wyglądała słicznie, taka spokojna i jasna, z włosami ściągniętymi w węzeł z tyłu głowy, ładnie zarysowanymi brwiami i ruchliwymi ustami.

- Myślisz, że mógłbym go okłamać? - spytał ostro.

- Nie, nie.

- W porządku.

Usiedli razem, by oglądać mecz, w którym grał ich syn. Można by sądzić, że ciągle byli małżeństwem, że ciągle się kochali. Ale to tylko pozory.

Rozmawiali o sprawach bez znaczenia. O nieruchomości, którą właśnie udało jej się sprzedać. O tym, co słyhać u Joego i Charlene. I o ich dzieciach, Tobym i Beth. Joanie nigdy nie zadawała takich pytań jak Joe, nigdy nie wtykała nosa w jego sprawy, nie chciała wiedzieć, czy zaczął szukać sobie zajęcia. Wiedział, że czuła, iż straciła do tego prawo z chwilą, kiedy spakowała swoje rzeczy i odeszła. I dobrze.

Uśmiechnął się i pomachał do Richa, któremu właśnie udała się akcja na boisku. Po meczu poklepał syna po ramieniu, pochwalił go i grzecznie odmówił, kiedy Rich zaproponował, by poszedł do McDonalda z jego drużyną. Zachowywał się jak normalny ojciec, rozwiedziony, ale co z tego? Świat był pełen rozwiedzionych ojców.

Pożegnał Richa oraz Joanie i poszedł do samochodu. Odwrócił się jeszcze, uśmiechnął się i pomachał do nich swobodnie.

Ruszył z miejsca, skręcił w prawo, bo tak było łatwiej, choć aby dojechać do domu, powinien skręcić w drugą stronę. Ale to nie miało znaczenia, nie śpieszyło mu się nigdzie.

Poszło mu całkiem nieźle. Wiedział o tym. Zawsze wiedział, kiedy udało mu się dobrze odegrać swoją rolę. Jechał teraz w stronę zachodzącego słońca, w sznurze ciągnących ulicami samochodów. Patrząc na niego, nikt by się niczego nie domyślił - facet średniego wzrostu, średniej wagi. Ogólnie przeciętny. Nikt by się nie domyślił, że w głębi ducha konał ze strachu, że może już nigdy więcej nie zobaczyć swojego syna.

Prowadził jak maszyna, reagował automatycznie, hamował, skręcał, przyspieszał. Prosto w rozpaloną do białości, wielką żrenicę słońca. I zastanawiał się, czy wystarczy mu sił, by ciągnąć to wszystko.

I czy ma na to ochotę.

Życie Ashley Marin było jednym wielkim ciągiem licznych zobowiązań.

Pracowała jako nauczycielka matematyki w Aspen High Scholl. Właśnie trwały wakacje. Jednak podczas gdy większość jej kolegów i koleżanek cieszyła się trzymiesięcznym urlopem i poświęcała swój czas rodzinie, podróżom i rozrywkom, Ashley miała jeszcze mniej czasu niż zwykle.

Miała za to dom pełen ludzi. Mieszkała z córką, Lauren, zbuntowaną, nadąsaną piętnastolatką, i owdowiałą matką Pauline, upartą i trudną, u której niedawno rozpoznano chorobę Alzheimera. Pauline nie chciała iść do domu opieki, a nie przyznano jej pomocy do opieki w domu. Na szczęście Pauline sprzedała własny dom, było więc dość pieniędzy, by

opłacić parę, która zamieszkała z nimi i zajmowała się nią. Na szczęście, pomyślała Ashley z przekąsem. Powiedzmy.

- Ja muszę wiedzieć, co na kolacja - powiedziała Luda Rostov tego letniego popołudnia.

- Co chcesz - odparła Ashley ugodowo.

- Ty mi powiedz.

- Eee, to może spaghetti? Coś prostego. I sałatka. Kobieta mruknęła coś pod nosem po rosyjsku.

- Co?

- Spaghetti. Dobrze - zgodziła się Luda.

Ashley odetchnęła z ulgą. Ta kobieta naprawdę potrafiła być trudna. Bezczelna. Tak nie być w stary kraj, mówiło jej spojrzenie, jej każdy grymas. Luda miała włosy mysiego koloru i czerwoną, kościstą twarz, jakby w Rosji głodowała i teraz nie mogła przybrać na wadze, bez względu na to, ile jadła.

Jej mąż, Vladimir, potężnie zbudowany mężczyzna, o szerokich ramionach i słowiańskich rysach twarzy, był miłszy w obejściu, a w stosunku do Pauline wykazywał wiele cierpliwości. W Moskwie pracował w szpitalu, Ashley miała więc szczęście, że na niego trafiła. Ale „szczęście” jest jednak bardzo względnym pojęciem.

## *Rozdział 2*

Życie Ashley było naprawdę skomplikowane. Lauren i Pauline doprowadzały ją do szaleństwa. Luda także. Do Vladimira nie miała żadnych zastrzeżeń oprócz tego, że cały czas siedział w domu. Ashley brakowało prywatności, spokoju, ciszy. W domu ciągle panował tłok, a nie był to duży dom. Ashley stale musiała rozwiązywać drobne problemy; a to nie było dość jedzenia w lodówce, a to Pauline zawieruszyła gdzieś książeczkę czekową, a to Lauren „pożyczyła” najlepszą bluzkę matki i zrobiła na niej plamę. Trzeba było płacić rachunki, myśleć o dachu, który zimą z pewnością znowu zacznie przeciekać, opracować test na jesień.

A Robert, były mąż Ashley, człowiek bogaty, miał nową żonę - trofeum i małe dziecko. I nie ustawał w wysiłkach, by dostać prawo do opieki nad Lauren.

Nie dostanie jej. Chyba po moim trupie, pomyślała Ashley. Kiedyś miała też okazję powiedzieć to Robertowi prosto w oczy.

Robert zalegał z alimentami na córkę już od dwóch miesięcy. Boże, co za kutwa. Miał kupę forsy, ale zawsze lubił trochę przetrzymać Ashley. Lubiał traktować ją jak ubogą krewną. Lubiał wytrącać ją z równowagi.

- Gdyby Lauren mieszkała z nami - powiedział kiedyś - nie musiałabyś przypominać mi o pieniądzach. Czyż to nie jest znacznie prostsze rozwiązanie, Ashley? A Elaine byłaby zachwycona, gdyby Lauren się do nas wprowadziła.

Nalegał. Przyciskał. Dręczył jak chińska tortura.



Popołudnie było ciepłe, nie gorące - w Górach Skalistych, na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów, rzadko bywało gorąco. Dalej na zachodzie, nad Mount Spris, zbierały się chmury, zanosiło się na burzę. Choć czasem chmury gromadziły się i groziły deszczem, by później nagle zniknąć, zostawiając po sobie chłodne, rześkie powietrze i czyste gwiaździste niebo.

Lauren była u swojej przyjaciółki Hayley. Dziewczynki grały rano w tenisa, a potem matka Hayley zaprosiła Lauren, by ta spędziła u nich resztę dnia.

Jedna z głowy.

Pauline poszła się zdrzemnąć.

W kuchni Luda trzaskała garnkami. Jestem tu, zdawała się mówić. I ciężko pracuję. Vladimir był w drugiej części domu. Kolejna trójka zajęła się sobą.

Dom, w którym mieszkała teraz Asheley wraz ze swoją menażerią, był jedyną rzeczą jaką dostała po rozwodzie. Na papierze jego wartość sięgała blisko miliona dolarów, może nawet więcej, ze względu na niebotyczne ceny nieruchomości w Aspen. W rzeczywistości jednak miał trzydzieści lat, był mały, zatłoczony i zaczynał się sypać. Wymagał remontu. Jego prawdziwa wartość leżała w ziemi, mierzącej tysiąc metrów kwadratowych działce, którą Robert kupił wiele lat temu.

Sam dom był tanią podróbką górskiej chaty z bali, takiej, jakie były popularne w tych okolicach w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Potem został przerobiony na dom dwurodzinny. W części, którą zajmowała Ashley, znajdowały się trzy sypialnie, w części, w której mieszkało rosyjskie małżeństwo, dwie. Był też wolno stojący garaż,

postawiony nieco później, z małą mieszkalną nadbudówką, „bandytką”, nazywaną tak, ponieważ w Aspen rzadko wydawano zgodę na budowę mieszkań na wynajem na terenach prywatnych posesji. Bandytka czekała obecnie na lokatora. Ashley dała ogłoszenie do „Aspen Times” i miała nadzieję, że ktoś miły się tam wprowadzi i pozwoli jej trochę zarobić. Oczywiście oznaczałoby to kolejną osobę w i tak już licznej gromadzie Marinów.

Wzięła ze stolika w salonie książkę, którą czytała, i poszła do sypialni. Był to jedyny dostępny dla niej rodzaj ucieczki.

Kiedy się wprowadziła, pomalowała ciemne drewniane ściany domu na biało, by rozjaśnić trochę wnętrza, powiesiła obrazki i kolorowe litografie z wzorami barwionych tkanin Nawahów, które sprzedawał jeden z miejscowych sklepów.

Po rozwodzie zabrała ze sobą kilka ulubionych przedmiotów z pretensjonalnej rezydencji Roberta: kolorowy dywanik Nawahów, który umieściła w salonie, trochę ceramiki, dwie piękne fotografie Remingtona i trzy drogie kołdry z gęsiego puchu, po jednej do każdej z jej nowych sypialni.

Jej sypialnia. Przytłumione barwy, wielkie okno wychodzące na tyły domu. Okno było najważniejsze. Żadnych firanek ani zasłon - nikt nie mógł tu i tak zaglądać. Dzieliło się na trzy otwierane części, których nigdy nie zamykała.

Westchnęła, położyła się na łóżku, ponieważ jedyny fotel w tym pokoju był twardy i niewygodny, i oparła się o poduszki.

Nareszcie sama.

Czytała sagę rodzinną, pełną napiętności i tragedii, którą łatwo było zacząć i odłożyć. Otworzyła książkę, spojrzała na druk i po chwili drgnęła, czując, że powieki zaczynają jej opadać. Boże, była taka zmęczona. Chociaż kilka minut... Sprawdziła okno. Tak, było otwarte. Na zewnątrz wiatr poruszał lekko liśćmi drzew, śpiewały ptaki, brzęczały owady. Od czasu do czasu rozlegało się szczekanie psa. Sąsiad, Jay, który był mechanikiem samochodowym i Żydem, uruchamiał właśnie silnik na swoim podwórku. Jay nie robił nic, by ukryć swój nielegalny interes, jakoś udawało mu się obchodzić przepisy obowiązujące w hrabstwie.

- Pomagam tylko znajomym, kiedy mają problemy z samochodem - mawiał pogodnie.

Dzielnica, w której mieszkała Ashley, była małym, położonym nieco na uboczu skupiskiem starych domów. Trudno było tam trafić choć znajdowała się zaledwie półtora kilometra od centrum Aspen, skryta wśród drzew u podnóża Smuggler Mountain. Naprawdę skryta. By ją odnaleźć trzeba było, dobrą chwilę jechać krętą, pełną dziur i wybojów prywatną drogą.

Zimą miasto nie odśnieżało tej drogi, Jay odgarniał więc z niej śnieg własną furgonetką z zamontowanym do niej pługiem. Nigdy od nikogo nie brał za to ani centa. Wszyscy tu byli dobrymi sąsiadami. Po drugiej stronie mieszkał instruktor narciarski z żoną. Obok Jay ze swoim psem. Pod jego dom ciągle podjeżdżały rozklekotane samochody. Trochę dalej stał dom należący do starszego małżeństwa, właścicieli jednej z miejscowych restauracji. Ich dzieci dawno już dorosły i wyjechały z miasteczka. Tacy właśnie ludzie mieszkali w tej okolicy. Nie bogaci i sławni czy posiadacze dwóch lub więcej domów, którzy do Aspen przyjeżdżają tylko na urlop.

Zwykli, szarzy ludzie, sól tej ziemi. Ci, którzy zostawali tu po wyjeździe turystów.

Ashley uchyliła drzwi od sypialni. Zawsze tak robiła, żeby mogła w każdej chwili wyjść, gdyby ogarnęła ją panika. Cierpiała na klaustrofobię. Kliniczny przypadek. Cierpiała też z powodu zespołu stresu pourazowego. A wszystko to zaczęło się, kiedy miała szesnaście lat. Do tego czasu nie znała nawet tych słów. Potem przez wiele lat chodziła na terapię i poznała wszystkie definicje dotyczące jej przypadłości.

Zetknięcie z bodźcem niemal zawsze prowadzi do natychmiastowej reakcji, jaką jest silny stres lub atak paniki... Ulegająca mu osoba zdaje sobie sprawę, że jej reakcja jest nieadekwatna... Unika sytuacji stresujących lub znosi je z wielkim trudem... Skupienie na unikaniu stresujących sytuacji oraz pełne lęku oczekiwanie na nie często poważnie zaburza codzienne funkcjonowanie...

Koszmarne ataki paniki nie zdarzały się teraz już tak często, nie były też tak gwałtowne i wyniszczające psychicznie jak kiedyś. Ashley doszła w końcu do wniosku, że musi nauczyć się żyć ze swoją fobią, tak jak trzeba nauczyć się żyć z chroniczną chorobą w rodzaju cukrzycy, astmy czy choroby wrzodowej. Ludzie cierpiący na te przypadłości są w stanie wieść normalne, satysfakcjonujące życie, ona więc także może.

I na ogół jej się udawało - wyszła ze szpitala, unikając mediów, które oblegały ją tamtego lata, wróciła do rodziców, skończyła szkołę. Poszła na Uniwersytet w Tucson, w stanie Arizona, ponieważ pragnęła widoku otwartych przestrzeni. A tam było jej pod dostatkiem.

Odkryła, że jest osobą uporządkowaną i logiczną, poszukującą bezpieczeństwa w rutynie. Nie dla niej zawiłości analiz literackich czy

studia nad historycznymi przewrotami. Matematyka. Czyste, proste piękno równań i dowodów oraz figur geometrycznych. Uważano ją za dziwadło-dziewczyna na wydziale matematyki? Gorsze byłyby tylko studia inżynierskie. Ale w świecie liczb Ashley odnalazła spokój.

Wróciła do Aspen, poznała Roberta i zanim zdążyła się obejrzeć, była mężatką w ciąży.

Teraz leżała na swoim łóżku, czując na czole chłodny powiew wiatru i słuchając śpiewu ptaków, w który od czasu do czasu wdzierał się odgłos metalicznych uderzeń - to Jay wyklepywał karoserię.

Tak, Robert całkowicie ją oczarował. Był starszy od niej i w pełni panował nad swoim życiem. Tak, to właśnie było dla niej takie atrakcyjne. Zestresowana, niepewna siebie dziewczyna stała się łatwym łupem dla Roberta Marina, który właśnie założył własną firmę komputerową. Bez przerwy kursował między Doliną Krzemową a Aspen. Tak, był starszy od Ashley, ale przystojny. Dobrze zbudowany blondyn.

Co on w niej właściwie widział? Była młodą, naiwną dziewczyną z klaustrofobią. Pochodziła z miejscowej rodziny należącej do klasy średniej w mieście pełnym bogaczy. We wczesnych latach sześćdziesiątych jej ojciec był instruktorem narciarskim. Matka, studentka z Denver, poznała go w czasie wakacji i po kilku miesiącach wyszła za niego. Na szczęście Ken i Pauline Lacouterowie mieli dość rozsądku i zdolności przewidywania, by kupić stuletni, rozlatujący się dom w sercu miasta. Kupili go za bezcen czterdzieści lat temu, a potem śledzili, jak wartość domu rośnie.

Robert uważał pochodzenie Ashley za dość wątpliwe. Sądził jednak, że bez trudu uda mu się ją ukształtować na modłę lalki Barbie. Młoda,

atrakcyjna żona miała być ukoronowaniem jego sukcesów. A kiedy przestała pasować do wyznaczonej przez niego roli, odszedł i nawet próbował wykorzystać jej klaustrofobię, by uzyskać niepodzielne prawo do opieki nad Lauren. Co mu się na szczęście nie udało.

Na razie.

Ashley odłożyła książkę i oparła głowę na poduszkach. Pragnęła ciszy i spokoju. Pragnęła miłości i szacunku swojej córki. Pragnęła porządku i harmonii. Ciągle myślała o wszystkich tych latach, kiedy miała nadzieję, że fobia minie, jeśli tylko jej życie będzie spokojne i uporządkowane. Niestety, wiodła życie pełne napięcia, w otoczeniu ekscentrycznych, wykorzystujących ją ludzi i stale musiała poskramiać zbuntowaną córkę.

Czasem wyobrażała sobie, że znowu jest w tej starej, opuszczonej kopalni, w zimnej, wilgotnej ciemności. Budziła się w środku nocy z wrażeniem, że ściany zbliżają się do niej i zaczynają na nią napierać ze wszystkich stron. Miała sucho w ustach, serce waliło jej jak młotem, nie była w stanie złapać oddechu. Panika. Ale nauczyła się uspokajać, powtarzając w kółko: 1 co z tego? To tylko sen. To nie dzieje się naprawdę.

Terapeuta nie kłamał - ataki paniki stawały się coraz rzadsze. A ona umiała już sobie z nimi radzić za pomocą ćwiczeń oddechowych, jogi, wizualizacji.

Robert z trudem znosił jej nocne koszmary i w końcu przeniósł się do osobnej sypialni. Lauren uważała te ataki za „świrowanie”. „Mama znowu świruje”, mawiała, przewracając przy tym pogardliwie oczami.

Pauline zachowywała się defensywnie i złośliwie, ponieważ nie umiała pomóc córce po porwaniu, nie wiedziała, jak ulżyć jej w cierpieniu.

- Dobry Boże , Ashley - mawiała. - Twoje pokolenie jest takie rozpieszczone. Wszystko teraz ma nazwę medyczną. Za moich czasów nie rozmawiało się o takich rzeczach. Trzeba było po prostu żyć dalej.

Ale Ashley miała w sobie niewyczerpane źródło optymizmu - wszystko się ułoży. Klaustrofobia minie, matka stanie się miłsza, Lauren wyrośnie z okresu buntu, Robert przestanie próbować jej odebrać córkę, a jej najzdolniejszy uczeń dostanie się na Harvard lub Yale. Ktoś w końcu wynajmie klitkę nad garażem.

Zasnęła. Szczupła, dziewczęca postać na narzucie w kolorach ziemi, zamknięte oczy, ciemne włosy rozsypane na poduszkach. Niewinna istota wśród chaosu, niezepsuta przez porwanie przed dwudziestu laty, rozwód, problemy finansowe i nawracające ataki paniki.

Spała spokojnie. Aż do chwili, kiedy w pokoju zrobiło się gorąco i nadeszły majaki. Wypląnęły z głębi podświadomości, przywołując koszmar sprzed lat. Ciemność. Nic nie widać, słychać tylko spadające krople wody i czuć wilgoć. Przerażona, drżąca, pozostawiona na śmierć. Ściany kopalni zaczynają poruszać się bezszelestnie, jakby chciały ją żywcem pogrzebać. Zaraz ją zmiażdżą. Zwija się w kłębek, by odwlec tę chwilę. Nie może oddychać, nie może...

Obudziła się nagle. Książka zsunęła się z łóżka i spadła z hukiem na podłogę. Ashley usiadła gwałtownie, z trudem chwytając powietrze, jakby się topiła.

Panika, znana, a jednak przerażająca.

- I co z tego - wyszeptała. - To tylko sen.

Wstała, drżąc na całym ciele. Drzwi. Drzwi były zamknięte. Kto...?

Otworzyła je i szybko przeszła przez salon do drzwi wejściowych.

Stała na ganku i zaczęła głęboko oddychać. Dzięki Bogu nikt nie widział jej panicznej ucieczki. Choć oczywiście wszyscy widywali takie sceny już nieraz.

Panika zelżała. Ashley wiedziała, że tak będzie. Ataki zawsze mijały. Stała tam, wystawiając twarz na popołudniowy wiatr, i czuła, że znowu ogarnia ją spokój.

Która jest godzina? Jak długo spała? I kto zamknął te cholerne drzwi?

Wróciła do środka. Matka siedziała w swoim ulubionym fotelu i czytała. Wyglądała zupełnie normalnie, z tym że od miesiąca czytała tę samą stronę. Luda tłukła się w kuchni, rozmawiając po rosyjsku z Vladimirem. Ashley zawsze się zastanawiała, o czym rozmawiają, ale kiedy raz spytała, oboje spojrzeli na nią tylko nieufnie.

- Cześć, mamó. Dobrze ci się spało? - spytała. Pauline podniosła wzrok znad książki.

- O tak, doskonale. - Zaznaczyła miejsce, w którym przerwała czytanie, palcem. - Wiesz, wydaje mi się, że już to kiedyś czytałam, ale nie mogę sobie przypomnieć zakończenia.

- Są książki, które warto przeczytać więcej niż raz.

- To właśnie jest piękne w utracie pamięci. Wszystko wydaje się takie nowe - zauważyła Pauline sarkastycznie.

- Och, mamó.

- Daj mi jeszcze kilka lat, a wrócę do *Kubusia Puchatka* i wzbudzi mój zachwyty. Oczywiście, jeśli będę jeszcze w stanie czytać.



Na chorobę Pauline nie wynaleziono lekarstwa. Lekarze zapisywali jej każdy nowy lek, kiedy tylko dostał atest, ale nic nie pomagało. W jednej chwili była całkowicie racjonalna i w pełni nad sobą panowała, w następnej nie pamiętała własnego imienia, a jej zachowanie oscylowało między złością, strachem i paranoją. Czasem zdawała się lepiej pamiętać zdarzenia sprzed trzydziestu lat niż to, co stało się poprzedniego dnia. A czasem była po prostu zdezorientowana i wszystko się jej myliło.

- Powiedz ojcu, że obiad jest na stole - zażądała w ubiegły poniedziałek. Ken Lacouter zmarł osiem lat temu.

A potem Pauline nagle znowu stawała się sobą.

- Tak bardzo brakuje mi twojego ojca - westchnęła, wspominając młodego, przystojnego instruktora.

Dzisiaj także była najwyraźniej sobą.

- Widziałam, jak wybiegłaś z domu - oznajmiła przebiegle.

- Aha - mruknęła Ashley.

- Znowu miałaś jeden z tych twoich snów?

- Aha.

Ashley nie miała ochoty o tym rozmawiać.

Jej matka założyła nogę na nogę. Miała kształtne kostki i łydki mimo sześćdziesięciu ośmiu lat. Co za ironia. Jej ciało mogłoby żyć jeszcze ze trzydzieści lat, ale jej mózg się zbuntował.

- Może pewnego dnia zapomnę, dlaczego masz te ataki - powiedziała zwodniczo uprzejmym tonem. - Czyż to nie byłoby miłe?

- Mamo.

- Dobrze już, dobrze.

- Czy nie zamknęłaś przypadkiem drzwi mojej sypialni? - spytała Ashley lekko.

- Kto, ja? Boże, nie. Wiem, czym to grozi.

Ashley poszła do kuchni. Luda mieszała w garnku sos pomidorowy.

- Cześć - powiedziała Ashley, czując się jak intruz we własnym domu. Jak zawsze.

- Twoja matka bardzo dobrze dzisiaj - odezwał się Vladimir. Jadł marynowanego śledzia prosto ze słoika. Ostry zapach ryby i octu mieszał się z aromatem pomidorów i czosnku.

- To dobrze - odparła. - Ludo, czy nie zamknęłaś czasem drzwi mojej sypialni?

Luda odwróciła się od kuchenki.

- Tak. Ja zamknąć.

- Dlaczego?

- Zamknąć wszystko, gorąco, jak sauna, to zdrowe. Ja chcę zamknąć też okno, ale to by cię zbudzić.

- Ludo, tyle razy cię prosiłam - Ashley wzięła głęboki oddech - żebyś nie zamykała drzwi mojego pokoju. Wiesz przecież.

- No. Ja zapomnieć. Akurat.

- Proszę, nie rób tego więcej. Wiesz, że mam klaustrofobię.

- Tak. - Luda wróciła do gotowania.

Ashley westchnęła. Ta kobieta wierzyła w jakieś dziwaczne rosyjskie zabobony. Przez otwarte okna i drzwi do domu mogą wtargnąć złe duchy.

Zaraz po czwartej Ashley przypomniała Vladimirowi, że o piątej ma odebrać Lauren od Hayley, która mieszkała po drugiej stronie miasta w dzielnicy zwanej Pitkin Green. Była to bardzo dobra dzielnica położona u

stóp Red Mountain. Lauren nie miała jeszcze prawa jazdy, będzie mogła je dostać dopiero za kilka miesięcy. Na jesieni miała się zapisać na kurs i zdać egzamin wiosną, kiedy skończy szesnaście lat. Wtedy zacznie sama jeździć i będzie im trochę łatwiej. Z drugiej jednak strony Ashley miała tylko jeden samochód, starego jeepa, którego Jay jakimś sposobem utrzymywał na chodzie. Może Robert kupi Lauren samochód. Czy jednak będzie miała odwagę mu to zaproponować? Może lepiej, gdyby Lauren sama go o to poprosiła. Tak.

Piętnaście po szóstej Vladimir wrócił i zaparkował przed domem. Dlaczego, na Boga, zajęło mu to tyle czasu, pomyślała Ashley. Wszedł do domu ze zmarszczonymi brwiami.

- Gdzie Lauren? - spytała.

- Ona tam nie być.

- Co?

- Ona nie być z Hayley.

- Gdzie w takim razie jest?

Vladimir wzruszył ramionami.

- Nikt nie wie. Może ona pojechać do domu autobusem?

- Ale tutaj jej nie ma, prawda?

- Tak.

- Och, na litość boską, gdzie ona znowu poszła?

- Pani Hodges być zdenerwowana. - Mówił o matce Hayley. - Ona prosić o telefon.

Ashley, zła, zadzwoniła do Betty Hodges. Jakby nie dość miała problemów.

- Ashley? O Boże, tak mi przykro. Przypomniałam Lauren o godzinie. Było kilka minut po piątej. Odkrzyknęła, że pamięta, słyszałam, jak śmiała się z Hayley, a potem trzasnęły drzwi. Uznałam, że poszła na koniec podjazdu.

- Zazwyczaj jest punktualna, wiem, ale...

- Musiało być piętnaście po piątej, może trochę później, kiedy ten człowiek zatrafił przed domem. Wysłałam Hayley do niego, a ona wróciła z nim po chwili i wtedy się dowiedziałam, że Vlad... Och, jak on się właściwie nazywa?

- Vladimir.

- Właśnie. Vladimir czekał cały czas na drodze. Mogę się tylko domyślać, że Lauren wyszła i wsiadła do autobusu. Wiesz, autobus jeździ co kwadrans i...

- Tak, wiem. Och, do diabła, z tą Lauren. Wie doskonale, że powinna poczekać.

- Nie zadzwoniła nawet?

- Nie. A może wybierała się do miasta i wspominała o tym Hayley?

- Oczywiście zapytałam o to Hayley, ale spytam ją jeszcze raz. Betty odłożyła na chwilę słuchawkę. Ashley czekała.

- Hayley przysięga, że Lauren miała zamiar poczekać na Vladimira i pojechać do domu.

- Dziękuję, Betty.

- Daj mi znać, jak tylko wróci, dobrze?

Do diabła z Lauren. Ashley zaczęła chodzić po pokoju.

- Nastolatki - mruknęła Pauline.

- Ale to takie do niej niepodobne, mamo.

Pauline wróciła do swojej książki, niewzruszona. Ashley znalazła Vladimira w kuchni.

- Lauren wrócić? - spytał.

- Jeszcze nie. Vladimir, jesteś pewny, że byłeś tam punktualnie? Pani Hodges mówi, że Lauren wyszła z domu zaraz po piątej.

- Ja być jeszcze tylko po benzynę tak, jak ty mi powiedzieć.

- Tak, zgadza się.

- Ale ja się nie spóźnić. Lauren tam nie być.

- Nie rozumiem, jak mogłeś nie zauważyć jej na drodze -

zastanawiała się. A potem nagle coś przyszło jej do głowy. Może Lauren nie czekała na Vladimira na drodze. Może poszła ścieżką i...

Poszła do ojca. Problem polegał jednak na tym, że Ashley absolutnie nie mogła zadzwonić do niego i zapytać, bo Robert natychmiast wykorzystałby to przeciw niej. Widzicie, ta kobieta zupełnie nie nadaje się na matkę, powiedziałaby z pewnością. Nie wie nawet, gdzie jest jej córka.

W porządku, zadzwoni więc do niego, ale nie spyta wprost, czy Lauren tam jest.

Wystukała numer, który tak dobrze знаła, numer do domu na zboczu Red Mountain. Domu, który urządziła z takim pietyzmem. Domu, który nowa żona Roberta zmieniła w świątynię nowoczesności ze szkła i stali nierdzewnej, pełną drogich dywanów, z marmurem w holu. Włoskim marmurem.

- Halo?

- Och, cześć, Elaine. Mówi Ashley.

- Co słysząc, Ashley? - spytała Elaine.

- Wszystko w porządku, tylko zastanawiałam się właśnie...

zapomniałam, czy Lauren je dzisiaj kolację u mnie, czy u was?

- Na pewno nie u nas, bo wybieramy się na ten bankiet w Harris Hall.

- Och, no tak, oczywiście. Jak mogłam zapomnieć? Luda nie była pewna, więc...

- Ta Luda - powiedziała Elaine słodko.

- W porządku, dziękuję.

- A jak się ma Lauren?

- Och, doskonale. Doskonale. Dziękuję, Elaine.

Właściwie nie martwiła się o Lauren. Nic strasznego nie mogło jej spotkać w Aspen. Przestępstwa miały tu miejsce rzadko - były to przede wszystkim wykroczenia drogowe, awantury w barach wszczynane przez pijanych gości albo oszustwa podatkowe. Dzieciaki jednak mogły swobodnie poruszać się po mieście, spacerować, jeździć na rowerach czy przemieszczać się darmowymi autobusami. Aspen nadal było niewielkim miasteczkiem. Na ulicach ciągle spotykało się znajomych.

Nie martwiła się więc. Ale była zła. Lauren wiedziała doskonale, że nie powinna sobie pozwalać na takie rzeczy. Była zbuntowana, tak, i pyskata. Z całą hormonalną energią nastolatki walczyła o niezależność. Ashley pamiętała, jak to jest, oczywiście, że tak. Choć jej własna młodość została tak brutalnie zakończona, zamordowana. Pamiętała jednak ten czas dobrze.

Gdzie ta dziewczyna się podziewa?

Ashley pochyliła się nad matką i dotknęła jej ramienia.

- Mamo, jadę do centrum poszukać Lauren. Biorę komórkę. Gdyby zadzwoniła albo wróciła do domu, zaraz do mnie zadzwoń. Znasz numer mojej komórki?

- Tak, kochanie. Jest zapisany na okładce książki telefonicznej na wypadek, gdybym zapomniała.

- Dobrze. I powiedz jej, że oberwie za ten wyskok. Potem Ashley powtórzyła to samo Rostovom.

- To kolacja być później? - Luda zmarszczyła brwi i wytarła ręce w ściereczkę.

- Wy możecie zjeść z mamą. Nie czekajcie na mnie ani na Lauren.

Wyjechała z prywatnej drogi, ostrożnie, by nie potrącić któregoś z samochodów czekających na naprawę u Jaya. Zaciśnęła palce na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły jej kostki. Przeklęta smarkula.

Sunęła powoli Main Street, rozglądając się wokół. Chodnikami ciągnęły grupy młodych ludzi, ale nie było wśród nich Lauren. Przy Mill Street, gdzie zaczynał się deptak, w końcu znalazła miejsce, zaparkowała, pieszo wróciła do miasta, zaglądając w twarze wszystkim mijanym ludziom. Grupki nastolatków stały, jak zwykle, pod Paradise Bakery. Dziewczęta w szortach albo obcisłych džinsach i podkoszulkach na ramiączkach. Chłopcy w workowatych spodniach i luźnych koszulach. Turyści wychodzili ze sklepów z torbami pełnymi zakupów. Miejscowi, spieszący do pracy. Kelnerki albo barmani. Studenci z Aspen Music Festival grali kwartet smyczkowy Dvoraka; muzyka dźwięczała słodko w wieczornym powietrzu.

Lauren nigdzie nie było.

Nie, to nie jest dobry pomysł. Lauren mogła pójść gdziekolwiek, do innej przyjaciółki albo do któregoś sklepu, gdzie teraz leniwie przegląda ubrania.

Ashley wróciła więc do domu sama. Ciągle zła, ale teraz już też trochę zaniepokojona. Nikt do niej nie zadzwonił, Lauren nie wróciła więc jeszcze do domu. Gdzie zatem była?

Ashley stanęła pod domem o wpół do ósmej. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, oświetlając dolinę ciepłym blaskiem i kładąc długie cienie na podjeździe. Powiało chłodem, jak zwykle w górach o tej porze, bez względu na to, jak gorący był dzień. Chmury rozplynęły się i odsłoniły niebo.

- Nie ma Lauren, co? - powiedziała Pauline. Oglądała telewizję.

- Nie.

- Cóż, nie zadzwoniła ani nie wróciła do domu. Rozrabiara.

- No, oberwie jej się za to, kiedy wróci - mruknęła Ashley.

- Może usiądziesz i zjesz kolację?

- Później. Najpierw muszę jeszcze zadzwonić.

- Na policję?

Ashley odwróciła się gwałtownie.

- Dobry Boże, nie, nie na policję. O czym ty myślisz, mamó?

Zatelefonowała do wszystkich koleżanek i kolegów Lauren, ale nigdzie jej nie było. Czuła się zakłopotana i coraz bardziej niespokojna.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy odłożyła słuchawkę po ostatniej rozmowie. Serce zabiło jej mocniej. Lauren, nich to będzie Lauren.

- Och, Ashley, martwiłam się i pomyślałam, że...

- Betty?



- Czy Lauren wróciła już do domu?

- Nie, jeszcze nie.

- O Boże, powinnam kazać jej poczekać w domu.

- To nie twoja wina.

- Czuję się okropnie.

- Daj spokój, Betty. Skąd mogłaś wiedzieć, że Lauren wywinie taki numer?

- Proszę, zadzwoń, jak tylko ją znajdziesz. Tak się denerwuję. Ja też, pomyślała Ashley.

Zaczęło się ściemniać. Zadzwoiła już do wszystkich przyjaciółek Lauren i nie miała nic do roboty. Nie była w stanie jeść, choć burczało jej w brzuchu. Nie mogła myśleć, nie potrafiła się uspokoić.

Złość zastąpił strach. Gdzie jest Lauren? Przypomniała sobie wszystko, o czym rozmawiały tego ranka, każde słowo, szukając jakiejś wskazówki. Czy Lauren była zła? Czy Ashley powiedziała niechętnie coś, co ją rozłościło?

Chodziła po pokoju, nie odrywając wzroku od telefonu, jakby był zwiniętym w kłębek jadowitym wężem. Zadzwoń, do cholery. Najgorsze, najbardziej przerażające w tym wszystkim wydawało jej się to, że ona, Ashley, została porwana takiego dnia jak ten. Jej matka przechodziła dokładnie takie same męki, taki sam strach i torturę niewiedzy. Nigdy dotąd Ashley nie patrzyła na to, co jej się przydarzyło, z perspektywy swojej matki. Nie, zawsze z własnej. A teraz sama była matką, która nie wie, co się stało z jej dzieckiem.

Ale teraz sytuacja jest oczywiście zupełnie inna. Nie ma porównania. Lauren nie została porwana. Coś takiego po prostu nie mogło się zdarzyć.

O wpół do dziesiątej Luda i Vladimir poszli do siebie. Pauline spoglądała na Ashley, jakby miała ochotę coś powiedzieć, milczała jednak, widząc wyraz twarzy swojej córki.

- Cóż - odezwała się w końcu. - Idę do łóżka.

- Dobrze, mamó.

- Ty też powinnaś się położyć.

- Zaczekam na Lauren.

- To ona jeszcze nie jest w łóżku?

- Nie, mamó. Pamiętasz? Była u Hayley.

- Och, no tak, oczywiście. A potem ty pojechałaś szukać jej w mieście. Tak, teraz sobie przypominam.

- Dobranoc, mamó.

Dziesiąta. Zapadła ciemność. Ashley ciągle siedziała na kanapie albo krążyła po salonie, patrząc na telefon i podskakując nerwowo przy każdym dźwięku. Gdzie jest Lauren?

Czy powinna zadzwonić na policję? Ale wiedziała przecież, że osoba może zostać uznana za zaginioną dopiero po dwudziestu czterech godzinach. Poza tym Ashley nie ufała policji. Gardziła nią nawet. Jej nie potrafili pomóc, prawda? Nie, nie zadzwoni.

A może Robert? Nie. Nie, nigdy. Robert będzie ją o to obwiniął, uzna, że nie nadaje się na matkę, odbierze jej Lauren.

Usiadła, potem wstała i znowu zaczęła chodzić. Następnie wyszła na ganek. Stała tam, obejmując się ramionami, i słuchała odgłosów nocy, jakby ciemność mogła jej powiedzieć, co stało się z Lauren. Z daleka dobiegło ją ujadanie kojota. Zadrżała i wróciła do środka.

Jedenasta. Jedenasta trzydzieści. Gdzie jest jej córka?

Tuż przed dwunastą zadzwoniła jej komórka. Ashley zmartwiała, serce stanęło jej na moment w piersi. Chwyciła telefon tak gwałtownie, że omal go nie upuściła.

- Lauren? - rzuciła.

- Nie, to nie twoja mała, ale owszem, mam ją tu. O tak, mam ją, Ashlee.

Przez chwilę, która zdawała się trwać całą wieczność, stała w swoim pustym salonie, zaciskając palce na telefonie, jak sparaliżowana. Potem nagle ogarnęło ją takie przerażenie, że osunęła się bezwładnie na kolana, ciągle przyciskając telefon do ucha, i skuliła się na podłodze.

Ona знаła ten głos.



## Rozdział 3

Siedział na krześle w ciemności, całkowicie ubrany. Nie mógł zasnąć, choć było już po drugiej w nocy. Nie potrafił zatrzymać upiornego kalejdoskopu scen z przeszłości, które przewijały się przed jego oczami. Powoli obracał w dłoniach swój stary policyjny rewolwer.

Kim jest? Nieudacznikiem, skorumpowanym byłym gliniarzem? Przyjacielem, ojcem, byłym mężem? Johnnym, drobnym kryminalistą z obrzeży mafii? Tajniakiem, który tak dobrze wczuł się w swoją rolę, że w końcu zapomniał, po czyjej jest stronie?

Kim jest?

Tak, był wyjątkowo dobrym tajniakiem. Emanowało z niego coś takiego... miał regularne rysy twarzy, często przyciągał spojrzenia kobiet. Przystojny szatyn, średniego wzrostu, sprawiający wrażenie trochę bezczelnego. Kiedy chciał, jego twarz stawała się zupełnie zwyczajna, niczym się nie wyróżniała. Miał jasnobrązowe włosy, orzechowe oczy o miłym, bystrym spojrzeniu i zawsze lekki, popołudniowy zarost na brodzie, co czasem dodawało mu uroku, a czasem wyglądało trochę niechlujnie.

Ale nie chodziło tylko o to, jak wyglądał. Jego twarz była atutem, ale ważniejszy okazał się wrodzony talent - podatna osobowość. Potrafił stać się Johnnym Tutello. Naprawdę stał się Johnnym Tutello.

Odkrył bowiem szybko, że aby grać swoją rolę przekonująco, trzeba grać ją szczerze. Między maską a człowiekiem, który ją nosi, musi być pewna zgodność. Praca w charakterze tajniaka uświadomiła mu, że jest w

nim coś, co pozwala mu wcielić się w graną postać - a potem to coś sprowadziło go na manowce.

Siedział teraz, spocony, i rozczulał się nad sobą. Nagle przypomniała mu się pewna sytuacja z przeszłości. Sytuacja, która śmiertelnie go przeraziła. Początek końca?

Wreszcie został zaproszony na ważne spotkanie. Zaufali mu na tyle, by go tam wpuścić, choć wyznaczyli mu nieistotną pozycję.

- Tylko słuchaj - powiedział mu Sal Damato. - Siedź cicho, bądź miły, uprzejmy i słuchaj.

Sal, jego najlepszy przyjaciel w organizacji, jego mentor, człowiek, którego zdradził bardziej niż kogokolwiek innego.

- W porządku - odparł. - Słuchaj, świetnie, czuję się zaszczycony. Rodziny z Long Island i Manhattanu zbierały się na spotkanie w Newark.

Spotkanie na szczycie. Bardzo ważne. Szef Chrisa z policji chciał je mieć nagrane. Nalegał.

Jego szef był agentem FBI, człowiekiem, który nigdy się nie pocił. Zawsze wyglądał nieskazitelnie. Chris widział go kiedyś stojącego na ulicy, bez kapelusza, płaszcza i parasola - zacinający deszcz nie przemoczył jego eleganckiego szarego garnituru, nie zmierzwił włosów.

Agent specjalny Maxwell Hearn. Nie Max. Nigdy Max.

North Jersey Task Force składał się pięciu oddziałów, a w każdym z nich pracowało dwóch policjantów z Newark, dwóch agentów DEA, jeden stanowy i jeden agent FBI. Chris był jednym z policjantów w Oddziale Drugim. Tajniakiem. Zaprzyjaźnienie się z Salem i jego kumplami zabrało mu prawie rok, ale dokonał tego. Wszedł do organizacji.

Max kazał mu się okablować na wielkie spotkanie. Wcześniej Chris nigdy nie nosił kabli - było to bardzo niebezpieczne - ale tym razem poszedł do biura, gdzie przyklejono mu do piersi druciki, pokazano, jak to działa, i zapewniono, że jego koledzy z policji będą siedzieć w vanie przecznicę dalej, nagrywając każde słowo ojców chrzestnych.

Siedział sam w swoim bezbarwnym mieszkaniu w Denver, pocił się i patrzył na swój rewolwer, lśniący metalicznie w ciemności. I bał się; bał się tak samo, jak tamtej nocy.

Bo wtedy, po raz pierwszy, odkąd zaczął spotykać się z Salem, wszyscy wpuszczani na spotkanie mieli zostać przeszukani.

- To dlatego, że przyjeżdżają grube ryby - powiedział Sal niemal przepraszająco.

- Nie pozwolę nikomu się obmacywać.

- Przykro mi, Johnny - tak brzmiało jego przybrane imię, Johnny Tutello - ale będziesz musiał.

Wtedy zaczął się pocić. Chryste, znajdą druty i załatwią go na miejscu; potem wsadzą ciepłe jeszcze ciało do bagażnika jednego z cadillaców i wyrzucą gdzieś w Jersey Pine Barrens. W porządku, wszystko będzie dobrze, myślał gorączkowo, szukając jakiegoś rozwiązania.

- No, chodź, Johnny. - Sal zaczynał się niecierpliwić.

Co powinien zrobić? Znaleźć jakąś wymówkę i zwiać? Brnąć w to dalej w nadziei, że nikt nie znajdzie drutów?

Na korytarzu, przed drzwiami do biura, w którym miało się odbyć spotkanie, stało dwóch ochroniarzy. Za drzwiami znajdował się jego cel, do którego osiągnięcia przygotowywał się miesiącami, on i jego oddział...

- Sal, posłuchaj, strasznie mnie rozboleł brzuch. Muszę iść do kibla. -  
Zgiął się wpół, udając atak bólu, ale pot na czole był prawdziwy.

- Świetny sobie wybrałeś moment, Johnny.

- Przykro mi, naprawdę muszę.

W brudnej, zagraconej łazience usiadł na klapie od sedesu, oparł głowę na dłoniach i zaczął głęboko oddychać. Było mu niedobrze, naprawdę niedobrze. Łzy napłynęły mu do oczu. Wstał, podciągnął koszulę i odczepił druty, wrywając sobie przy tym włosy z piersi. Zwinął je w kłęb i wcisnął głęboko do sedesu.

Potem przemył twarz, przyglądził drżącymi rękami włosy, włożył koszulę w spodnie i wyszedł. Dał się obszukać ochroniarzom, a następnie wszedł do biura, gdzie stał pod ścianą, słuchając, jak grube ryby rozmawiają o narkotykach i łapówkach.

Teraz siedział w swoim mieszkaniu i wspominał. Nagle ciszę rozdarł głośny, nagły dzwonek telefonu. Zdawał się dobiegać z bardzo daleka, w pierwszej chwili Chris nie wiedział, co to za dźwięk. Potem z trudem zorientował się, że to telefon, i zmarszczył brwi. Co, do diabła? Telefon?  
O drugiej w nocy?

Ale to wydawało się bez znaczenia. Miał ważniejsze rzeczy na głowie niż jakieś telefony. Niech automatyczna sekretarka odbierze. Poglądził rewolwer -to piękne narzędzie, które mogło mu dać zapomnienie szybko i skutecznie.

Był gotowy. Rozejrzał się po pokoju. Tak, był gotowy. Musi tylko podjąć ostateczną decyzję, tę, której Joe Garcia bał się podjąć. To proste, pociągnięcie za cyngiel i cierpienie się skończy. A wtedy przestanie mieć znaczenie to, kim jest.

Telefon dzwonił... jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty sygnał. Potem rozległo się ciche kliknięcie i włączyła się automatyczna sekretarka.

Pociągnij za cyngiel. Na co czekać? Czyżby naprawdę miał jeszcze nadzieję, że coś zmieni się na lepsze?

Usłyszał swój głos, cichy i obcy: Tu numer Chrisa Judge'a. Wiesz, co robić.

Do diabła, nie obchodziło go, kto dzwoni. Pewnie pomyłka, ktoś niechcący przeszkodził mu w chwili, kiedy osiągnął dno. A może osiągnął dno już wtedy, kiedy wziął pieniądze za narkotyki?

Nieważne.

Odwrócił rewolwer i spojrzał w czarną, okrągłą czeluść lufy. I wtedy rozległ się ten głos. Głos przerażonej kobiety. Bliskiej łez. I paniki. Cholera.

- Chris, jesteś tam? Wiem, że jest późno. Tak mi przykro... Proszę, muszę z tobą porozmawiać. Proszę, Chris... jesteś tam?

Chris miał wrażenie, że zadano mu cios prosto w serce. Ten głos. Znał ten głos. Poznałby go nawet po stu latach. Nigdy go nie zapomni. Ashley Lacouter.

Zmusił się, by wstać, cały zeszywniały, drżący, obolały. Położył rewolwer bardzo ostrożnie na stoliku do kawy i podszedł do telefonu. Z telefonu ciągle płynęły słowa, potok słów, wypełniając pokój czymś boleśnie znanym.

Strachem.

- ...Chris, dostałam twój numer w informacji, nie wiedziałam, co mam robić... Chodzi o moją córkę, Lauren. Została porwana... O Boże, Chris...



Wyciągnął rękę i położył ją na słuchawce. W głębi duszy czuł, że jeśli odbierze telefon, ten mały gest zmieni bieg jego życia. Będzie to punkt zwrotny, tak jak spotkanie z Ashley Lacouter stało się punktem zwrotnym dwadzieścia lat temu.

Podniósł jednak słuchawkę, przyłożył ją do ucha i usłyszał, jak sekretarka się wyłącza.

- Witaj, Ashley - powiedział, ale z zaschniętego gardła wydobył się tylko jakiś niezrozumiały skrzek, odchrząknął więc.

- Chris? Chris, czy to ty?

- Tak, to ja.

- Och, dzięki Bogu! - wykrzyknęła. - Tak się bałam, że cię nie zastanę albo że...

- Jestem.

- Nie wiedziałam, co robić. Tak mi przykro... Obudziłam cię?

- Nie przejmuj się tym.

- Och... Ja... ja...

- Co się stało z twoją córką?

- Lauren, ma piętnaście lat i dzisiaj...

Nie słyszał reszty. Myślał: piętnastoletnia córka. Mój Boże, jak to możliwe, przecież Ashley ma dopiero... No tak, to było wiele lat temu; wiedział, że wyszła za męż. Za jakiegoś nadzianego faceta, Roberta Marina. Oczywiście, wiedział o tym, ale nie miał pojęcia, że...

- Chris?

- Tak, mogłabyś powtórzyć?

- Lauren, zniknęła dziś po południu, najpierw myślałam, że to kolejny wybryk nastolatki, że wcześniej czy później wróci do domu... i czekałam...

- Hm, zaczekaj. Skąd dzwonisz?

- Z Aspen. Ciągle mieszkam w Aspen.

- W porządku, więc twoja... Lauren nie wróciła do domu.

- Czekałam. Od szóstej. A potem - usłyszałam łkanie - on do mnie zadzwonił... Och, Chris, ten człowiek, powiedział, że ma Lauren.

- Kiedy?

- Kiedy zadzwonił? Koło północy. Powiedział... powiedział. O Boże, że nikt jej nie znajdzie i że jeszcze zadzwoni...

- Pieniądze? Okup?

- Nie, nic takiego. Ale... Chris, jego głos... Ja znam ten głos.

Chris wyprostował się nagle i zacisnął palce na słuchawce.

- Jestem pewna, że to Davey Potts.

- Jezu.

Davey Potts. Dźwięk tego nazwiska był jak cios w splot słoneczny. Jeden z ludzi, którzy porwali Ashley. Ale on przecież siedział...

- Ashley, uspokój się. Potts jest w więzieniu.

- Nie, został zwolniony.

- Jesteś pewna?

- Tak. Posłuchaj, wszystko ci opowiem, ale on ma Lauren, a ja...

Chris, możesz mi pomóc ją odnaleźć?

- Ja?

- Możesz mi pomóc? Możesz wziąć urlop i przyjechać tutaj? Chris, ja muszę ją odnaleźć.

- Nie mogę ci pomóc, Ashley. Zadzwoń na policję. Jeśli to porwanie, FBI się tym zajmie.

- Nie! On powiedział, że... że ją zabije, jeśli zawiadomię policję, i...

- Ashley...

- Nie chodzi tylko o jego pogroźki. Wiesz, jak było ostatnim razem. Policja, szeryf, FBI. Cała ich cholerna armia nie potrafiła mi pomóc.

Chciał jej powiedzieć, że jest nieudacznikiem, wywalonym z policji byłym gliniarzem, z którego nikt nie ma żadnego pożytku. Chciał to powiedzieć jej, jedynej osobie na całym świecie, która go potrzebowała.

- Zadzwońska do niewłaściwej osoby. Nic nie mogę zrobić.

- Mnie znalazłeś.

- To był czysty przypadek.

- Tylko tobie ufam. Wiem, że jesteś policjantem. Słyszałam... byłeś w Denver, a potem się przeprowadziłeś... nie mogę uwierzyć, że wróciłeś akurat teraz, kiedy tak cię potrzebuję. Boże, Chris, nie każ mi błagać.

Wiem, że jesteś policjantem. Zemdliło go nagle. Czy ma jej pozwolić wierzyć w to kłamstwo?

- Chris... - Płakała teraz, głos jej drżał. - Moja mała dziewczynka. Pomyślał o swoim synu i o tym, jak by się czuł, gdyby jakiś świr w rodzaju Potts'a go uprowadził.

Może to pomogło mu podjąć decyzję. A może łązy Ashley; nie był w stanie ich znieść dwadzieścia lat temu i nie mógł ich znieść teraz.

- Ashley, przestań płakać. Posłuchaj, przyjadę do ciebie rano. Nie wiem, co mógłbym zrobić, ale przyjadę.

- Och, dziękuję ci, dziękuję. Tak bardzo się boję. A jeśli...

- Twoja córka żyje. Jeśli rzeczywiście Potts to zrobił i zadzwonił do ciebie... Ashley, słyszysz mnie?

- Tak - powiedziała ledwo dosłyszalnie.

- On chce, żebyś cierpiała. Na razie nic nie robi. Chce, żeby to trwało.

- O Boże.

- To działa na jej korzyść. Zaufaj mi.

- Tylko tobie ufam.

- A ojciec twojej... ojciec Lauren?

- Nie. Rozwiedliśmy się i... i... - westchnęła. - To długa historia. Ale nie chcę go do tego mieszać.

Rozwiedziona...

- Ashley, będę tam za kilka godzin. Dasz sobie radę? Gorzki śmiech.

- Nie, ale chyba nie mam wyboru.

- Gdzie dokładnie mieszkasz?

Podawała mu adres, powiedziała, jak dojechać. Zapisał wszystko na odwrocie jakiejś koperty.

- Czekaj na mnie.

- Dobrze.

- Prześpij się trochę.

- Jasne.

- Naprawdę, Ashley, spróbuj się trochę przespać.

- O której tu będziesz?

- Wyjadę tak szybko, jak tylko będę mógł.

- Chris...

- Tak?

- Będę czekać.
  - Rozpoznam cię? - spytał.
  - A ja ciebie?
- Dobre pytanie.
- Do zobaczenia, Ashley.

Rozłączył się i w pokoju nagle zapanowała martwa cisza. Ashley Lacouter. Ashley Marin. Piętnastoletnia córka. Davey Potts.

W głowie kłębiły mu się tysiące myśli, planów, możliwości. To prawda, pracował w policji, w wydziale do spraw narkotyków. Był tajniakiem. Nigdy nie zajmował się porwaniami. Ale wiedział o tym co nieco, znał sporo takich historii, znał statystyki. Jak wszyscy gliniarze.

A jeśli przez niego córka Ashley zginie? Ale przecież pojedzie do Aspen tylko po to, żeby pomóc Ashley, wyjaśnić, że wszyscy porywacze grożą, iż zabiją swoje ofiary, jeśli ktoś zawiadomi policję. Mógł jej przynajmniej zaoferować moralne wsparcie.

Davey Potts. Interesujące. Znowu wywinął swój stary numer. Recydywa. A co się stało z jego ojcem, Jerry'ym? Zapomniał spytać Ashley o Jerry'ego.

Podszedł do stolika i spojrzał z góry na rewolwer. Wydawał się mniejszy. Nieruchomy kawałek metalu. Pochylił się i zabezpieczył go.

Stał tam jeszcze przez chwilę. W pokoju nadal było ciemno, ale przez okno wpadało trochę światła z ulicznej latarni. Chris uśmiechnął się do siebie.

- To chyba nie był jednak odpowiedni dzień na śmierć - powiedział na głos.

## Rozdział 4

Noc zdawała się nie mieć końca. Ashley siedziała, trzymając w ręce komórkę, chodziła po pokoju, znowu siadała. Kilka razy zapadła w drzemkę, z której zawsze budziły ją przerażające sny. Jej umysł produkował horrory, jeden gorszy od drugiego.

Davey Potts. Siedział w więzieniu dwadzieścia lat. Jego ojciec, Jerry, też trafił do więzienia. Dwie nędzne kreatury. Wiedli nędzny żywot w nędznej chacie w górach nieopodal małego miasteczka Marble, zaledwie dziewięćdziesiąt parę kilometrów od Aspen - a jednak od normalnego świata zdawały się ich oddzielać lata świetlne.

Davey był wtedy niewiele starszy od niej, a jego ojciec dobiegał czterdziestki. Podobni do siebie, bezbarwni, o spłowiałych włosach, szarych oczach i zaczerwienionej skórze tam, gdzie była wystawiona na działanie słońca. Szczupli, żyłaści, znali się dobrze na polowaniu, łowieniu ryb i potrafili wyżyć z tego, co dawała im ziemia. Matka Daveya już wówczas nie żyła, było ich więc tylko dwóch - ojciec i syn. Pewnego dnia uznali więc, że potrzebują kobiety, by poprowadziła im dom.

Ashley siedziała w salonie, przy jednej tylko zapalonej lampie. Z zewnątrz docierały do niej odgłosy nocy, wycie kojotów, szum samochodów na głównej drodze, choć w miarę upływu czasu było ich coraz mniej. Brzęczenie lodówki. Lauren. Żeby tylko Lauren nic się nie stało.

Później, już w czasie procesu, dowiedziała się, że Jerry'ego Pottsza zainspirował artykuł w gazecie. Artykuł o dwóch mężczyznach, którzy zrobili dokładnie to samo, porwali dziewczynę, żeby im usługiwała. Ashley

miała nieszczęście być na wycieczce w górach z ojcem i jedną ze swoich koleżanek akurat wtedy, kiedy Pottsowie postanowili zrealizować swój plan.

Wiedziała, że Jerry Potts już nie żyje; zachorował i zmarł w więziennym szpitalu cztery lata temu. Davey kilka razy starał się o przedterminowe zwolnienie od tego czasu. Za każdym razem Ashley zeznawała przed komisją, argumentując, że powinien zostać w więzieniu. Ale ostatnim razem - wiosną- mimo że jak zwykle opowiedziała swoją historię, Davey został jednak zwolniony. Ponieważ kiedy dopuścił się przestępstwa, był bardzo młody, a także dlatego, że to jego ojca uznano za prowodyra.

Ashley jednak знаła prawdę o Davey Pottsie. Wiedziała, że jest gorszy, niż komukolwiek się wydaje. Naprawdę zły.

Złapali ją, kiedy weszła w kępę drzew za potrzebą. Zrobili to tak szybko i tak cicho, że sama nie wiedziała, kiedy to się stało. Jej ojciec i koleżanka nie usłyszeli żadnego dźwięku, nie zorientowali się nawet przez dłuższy czas, że zniknęła. A jej zawiązano oczy i zawleczono ją ścieżką na bitą wiejską drogę, gdzie została skrepowana sznurem i wrzucona na pakę starej furgonetki jak worek kartofli.

Płakała i błagała, ale nie zwracali na nią uwagi. Jechali długo, zdawało jej się, że całymi godzinami, potem zwlekli ją z samochodu i... Nie była w stanie dłużej o tym myśleć.

Znacznie później dowiedziała się, gdzie ją trzymali - w Close Call, starej, zamkniętej kopalni srebra, która działała w szczytowym okresie rozwoju Aspen jako osady górniczej, to znaczy ponad sto lat temu.

Porwanie i uwięzienie było punktem zwrotnym w życiu Ashley Lacouter. Pottswowie trzymali ją tam przez całe lato, aż do późnej jesieni, kiedy rozpoczął się sezon polowań na łosie i w górach pojawili się myśliwi. Jeden z nich usłyszał ją i uratował.

Później dowiedziała się też, że jej zniknięcie wywołało prawdziwą burzę w mediach, burzę, jakiej nie było od czasu, kiedy seryjny morderca Ted Bundy wyskoczył z okna drugiego piętra budynku sądu w Aspen i policja szukała go przez kilka dni.

Ojciec Ashley zawiadomił policję w Aspen, policję stanową, a potem FBI; jej nazwisko i rysopis podawały wszystkie stacje radiowe, miejscowe gazety i gazety w Denver. Nic to nie dało. Policja długo przeczesywała lasy wokół miejsc, w których Ashley obozowała tego feralnego dnia. Było jednak już za późno, ślady zostały zatarte, a ją uwięziono w ciemnym kopalnianym szybie. Czasami siedziała tam samotnie przez cały dzień. Miała tylko lampę naftową, wiadro i miskę z jedzeniem.

A teraz Davey Potts porwał Lauren, jej córkę, jej dziecko. Z zemsty, była tego pewna. Bo kiedy wyszła z kopalni, zidentyfikowała Jerry'ego i Daveya i zeznawała przeciw nim w sądzie. Tylko ona była odpowiedzialna za ich skazanie i uwięzienie.

A teraz ma za to zapłacić.

Godziny wlokły się nieznośnie, aż w końcu niebo na wschodzie pojaśniało, przybierając odcień perłowej szarości. Ptaki zaczęły swój poranny koncert, od strony drogi znowu dał się słyszeć szum samochodów. Była zziębnięta, tak długo siedziała bez ruchu. Zadrzała i naciągnęła koc na plecy. Starła się myśleć tylko o jednym: Chris wkrótce tu będzie. Uratuje Lauren, tak jak kiedyś uratował ją.



Było za pięć siódma, kiedy zadzwoniła komórka. Ashley podskoczyła i uderzyła się nadgarstkiem w kant stolika, ale nic nie poczuła.

- Halo? - rzuciła bez tchu.

- Dzień dobry, Ashlee.

- Davey Potts, prawda? Gdzie jest moja córka? Nie waż się jej skrzywdzić, słyszysz?

- Nie zadzwoniłem, żeby słuchać twoich pogrózek.

- Czego chcesz?

- Chcę, żebyś się zastanawiała, co robię twojej małej ślicznej Lauren.

Ashley zrobiło się słabo.

- Nie... nie rób jej krzywdy.

- Zrobię wszystko, na co mi przyjdzie ochota. Naprawdę długo siedziałem w tym pieprzonym więzieniu.

- Ojciec Lauren jest bardzo bogaty. Zapłaci okup. Ile chcesz?

Powiedz, a ja...

- Nie chodzi o pieniądze, Ashlee.

- Chcę porozmawiać z Lauren.

- Nie.

- Wiesz... wiesz, że to ci nie ujdzie na sucho.

- Ależ ujdzie.

- Ostatnim razem ci nie uszło. A teraz będzie gorzej. Teraz, kiedy wszyscy wiedzą...

- Mam nadzieję, że nie zawiadomiłaś policji - powiedział spokojnie.

Tak, to nie był już głos nastolatka, ale znała go dobrze. Zaciągał nieco, jak

wielu miejscowych w Kolorado. I brzmiała w nim nowa nuta, nuta więziennej edukacji.

- Nie, nie, i nie zrobię tego. Ale jej ojciec.

- Panujesz nad sytuacją, mam nadzieję.

- Nie rób Lauren tego, co mnie... ta kopalnia... Proszę, dam ci wszystko, możesz mnie zabrać w zamian, ale zostaw Lauren w spokoju.

- Do usłyszenia, Ashlee. Rozłączył się.

Ashley patrzyła na telefon przez chwilę, a potem ostrożnie położyła go na stoliku. Lauren, Lauren. Dobry Boże. I co ona powie Robertowi? On natychmiast wynajmie detektywów i prawników i na pewno wciągnie w to media.

Przez niego Lauren zginie. Nie, nie, nie wolno jej tak myśleć. Musi wszystko utrzymać w tajemnicy przed Robertem - może to nieuczciwe, ale tak musi być - przynajmniej przez jakiś czas. Chris. Chris zaraz przyjedzie.

Potem zwinęła się w kłębek na kanapie i zaczęła płakać. Tłumiła szloch, przyciskając dłonie do ust. Lauren. Och, Lauren.

Kiedy Luda weszła do kuchni zrobić śniadanie, Ashley znowu nad sobą panowała.

- Ty nie zrobić kawa? - spytała Luda. Ashley każdego ranka parzyła dzbanek kawy.

- Zapomniałam.

- Ja zrobić?

- Jasne, proszę.

Jeśli Luda zauważyła, że Ashley ma na sobie to samo ubranie, co poprzedniego dnia, nie dała tego po sobie poznać. Nie powiedziała też nic

na temat Lauren. Czy sądziła, że Lauren wróciła w nocy do domu? Czy w ogóle ją to obchodziło?

Nalała sobie kawy do kubka i patrzyła, jak Luda rozpoczyna swoją pracę w kuchni.

Luda włożyła dwie kromki chleba do tosterka, a potem odwróciła się do Ashley i w końcu poruszyła temat:

- Ja by ukarać ta mała, gdyby ona być moja córka.

Ashley uświadomiła sobie, że Luda nie wie, iż Lauren nie wróciła do domu, nie mówiąc już o tym, że została porwana. Ile powinna jej powiedzieć? Boże, tak bardzo chciała, żeby Chris już tu był.

Wzięła głęboki oddech.

- Lauren nie wróciła do domu - zaczęła.

Luda otworzyła szeroko oczy i zaczęła coś mówić, ale Ashley powstrzymała ją gestem. Zaraz potem do kuchni wszedł Vladimir.

- Ja ustawić zraszacz, ale trzeba wymienić wąż. Pojechać do sklep? - spytał, myjąc ręce.

Wcześniej czy później i tak się dowiedzą. Zorientują się, że stało się coś strasznego, kiedy przyjedzie Chris. Ashley była pewna, że Vladimir zatrzyma swoje przemyślenia dla siebie. Ale Luda? Jeśli Luda odezwie się choć słowem, Ashley zacznie krzyczeć, wiedziała to na pewno. I nie będzie w stanie przestać.

Zastanawiała się, kiedy im powiedzieć prawdę, ale nagle zadzwonił telefon. Dzwoniła jedna z koleżanek Lauren.

Ashley zacisnęła spocone palce na słuchawce, z szybkością światła rozważając różne możliwości.

- Och, Shelly, Lauren nic ci nie powiedziała? Poleciała odwiedzić rodziców ojca w Kalifornii... Hm, nie wiem, tydzień, może trochę dłużej. - Tydzień. Czują, że słuchawka wyslizguje jej się z dłoni. Nie wiedziała, jak wytrzyma to jeszcze choćby jeden dzień, nie mówiąc już o tygodniu. - Dobrze, Shelly, powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła.

Odłożyła słuchawkę i się odwróciła. Luda i Vladimir przyglądali jej się uważnie.

- Posłuchajcie - powiedziała i odchrząknęła. - Muszę wam coś powiedzieć, coś bardzo przykrego. I nie chcę żadnych rad. Jestem już wystarczająco zdenerwowana. Lauren... Lauren została porwana.

Zareagowali identycznie. Znieruchomieli, ich oczy, przez chwilę puste, zaraz potem przybrały wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Zdawali się przeżuwać to, co właśnie usłyszeli.

Luda opadła na krzesło bez jednego słowa, Vladimir oparł się o zlewozmywak i zaczął potrząsać głową.

- To dlatego, że ja tankować. Ona zniknąć, kiedy ja tankować, prawda? Ashley kiwnęła głową,

- Ale to nie twoja wina. Ani przez chwilę nie myśl, że to twoja wina. Nie odpowiedział. Stał tylko, jakby wrósł w podłogę, i pokręcił głową.

- Ty zawiadomić policja? - spytała Luda.

- Ja... tak, przyjedzie tu policjant, tak. Stary przyjaciel.

- On znaleźć Lauren?

- On... tak, on ją znajdzie - odparła Ashley, bo czuła, że musi w to wierzyć.

Ale gdzie jest Chris? Przyszło jej do głowy, kiedy tak siedziała w swojej słonecznej kuchni, że Lauren może być w kopalni, w ciemności i

zimnie, gdzie po ścianach bezustannie spływają strużki wody, jakby mroczne wnętrzości ziemi ronily nad nią łzy. Nie, nie zmusi się, żeby tam pojechać.

Dochodziła ósma i Pauline zaczęła się budzić, kiedy na podjeździe zachrząścił żwir pod kołami samochodu. Ashley zerwała się tak gwałtownie, że potraćiła stół i wylała kawę. Podeszła do drzwi. Przed domem zatrzymał się czarny ford mustang, wzniecając kurz, który wirował w słońcu. Drzwiczki otworzyły się i z samochodu wysiadł mężczyzna. Odwrócił się w stronę domu.

Ashley wyszła na ganek i patrzyła na niego. Czy to Chris? Minęło tyle lat... Mężczyzna wzrostu nieco ponad średniego, średniej budowy ciała, brązowe włosy, twarz... tak, znajoma twarz, ale szczuplejsza niż kiedyś, starsza. Miał na sobie jasną koszulkę polo i zmięte spodnie koloru khaki; samochód był pokryty kurzem i miał numer rejestracyjny z New Jersey.

- Chris? - spytała niepewnie.

Mężczyzna zrobił krok w jej stronę. Jeden, a potem drugi.

- Ashley - powiedział bez uśmiechu.

- To naprawdę ty.

- Spodziewałaś się kogoś innego?

- Nie, nie. - Ashley zeszła z ganku i ruszyła w jego stronę. Drżały jej kolana.

- Wydarzyło się coś nowego? - spytał.

Z bliska widziała jego orzechowe oczy - jak mogła zapomnieć, że płonęły w nich te złociste światełka?

- Tak - przyznała. - On znowu zadzwonił.

Nagle kolana się pod nią ugięły, usiadła na schodkach. Chris podbiegł natychmiast i pochylił się nad nią.

- Ashley? Wszystko w porządku?

Głos Chrisa przywołał kolejną falę wspomnień. Jak mogła zapomnieć ten głos? Taki ciepły i miękki.

- Nie, nie jest w porządku - odparła. - Oczywiście, że nie jest w porządku. Och, Chris.

Pomógł jej wstać. Była zażenowana i wdzięczna. Bała się, a jednocześnie odczuła ulgę. Objął ją ciepłymi i silnymi ramionami. Miała ochotę się w nie wtulić, miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję, tak jak wtedy, kiedy wynosił ją z kopalni, a ona tak bardzo potrzebowała poczucia bezpieczeństwa, które w niej wzbudzał.

Ale nie po to tu teraz przyjechał. Patrzyła na niego badawczo, z troską. Widziała zmarszczki na jego twarzy, których kiedyś nie było. głębokie bruzdy wokół ust i między brwiami. Zarost na brodzie. On także jest zmęczony, ale przecież przez całą noc prowadził. Ta nowa, dojrzała, w pełni ukształtowana twarz nie była już twarzą nastolatka.

Chris odsunął się i zdjął ramię z jej pleców. Natychmiast zaczęło jej brakować tego dotyku.

- Lepiej? - spytał.

- Dziękuję. Ja... och, właściwie w ogóle nie spałam. Nie jadłam. Na pewno wyglądam okropnie.

- Wyglądasz świetnie. Uśmiechnęła się smutno.

- Zdaje się, że zawsze widzisz mnie w moich najgorszych chwilach.

-Przełknęła ślinę. - Posłuchaj, muszę cię ostrzec. Mam dom pełen dziwaków. Moja matka, Pauline...

- Tak, pamiętam ją.
- Ale teraz... teraz ona ma zaniki pamięci.
- Rozumiem - uspokoił ją.
- Jest tu też małżeństwo z Rosji, mieszkają w drugiej części domu.

Luda i Vladimir. Pomagają mi opiekować się matką.

- Rozumiem.
- Nie jestem pewna, czy rozumiesz. Ale zrozumiesz. Wejźmy do środka. Napij się kawy.
- Chętnie.

Powiedziała mu, co wymyśliła, by wyjaśnić nieobecność Lauren, a potem przedstawiła go Ludzie, która tylko ponuro skinęła głową, i Vladimirowi, który wymienił z Chrisem długi uścisk dłoni. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał zamiaru puścić jego ręki.

Do kuchni weszła Pauline, miała rozwichrzone włosy i nieobecny wyraz twarzy. Och, pomyślała Ashley, to znowu jeden z jej gorszych dni.

Pauline nie pamiętała Chrisa, ale zdecydowanie uznała, że jest przystojny. Ona także nieco za długo przytrzymała jego dłoń w swojej i zachowywała się trochę kokieteryjnie. Ashley czuła się potwornie zażenowana.

- Mamo - powiedziała. - Zjedz śniadanie. Muszę omówić z Chrisem kilka spraw.

Gdzie, na Boga, mogliby porozmawiać w cztery oczy? Przypomniała sobie o mieszkaniu nad garażem. Teraz się przyda. Wzięła komórkę, poprowadziła Chrisa schodami na górę i otworzyła drzwi kluczem.

- Tu możemy porozmawiać - wyjaśniła. - Chcę je wynająć, ale teraz...

- Usiądź, jesteś wykończona. I opowiedz mi wszystko od początku. Ashley opadła na kanapę, obitą tanim materiałem w paski, a Chris usiadł na wysłużonym fotelu, pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach.

- No więc - zaczęła, biorąc głęboki oddech. - Wczoraj o piątej Vladimir pojechał do domu Hayley Hodges po Lauren...

Opowiedziała wszystko, starając się dokładnie powtórzyć słowa Daveya Potts'a. Nie zabrało to wiele czasu, bo ta historia nie miała jeszcze rozwinięcia ani zakończenia.

Chris słuchał w milczeniu, dopóki nie skończyła. Potem patrzył przez chwilę przed siebie i zdawał się wszystko rozważać w myślach. Ashley wbiła wzrok w jego twarz, jakby szukała w niej odpowiedzi.

- Jesteś pewna, że to był Potts? - spytał w końcu.

- Tak. Dzwonił na moją komórkę. Nie na telefon stacjonarny.

- Nie mogłaś więc sprawdzić, kto dzwoni? Zaprzeczyła.

- Twój numer jest zastrzeżony?

- Tak, ale zna go mnóstwo ludzi.

- Davey Potts... Mówisz, że został zwolniony z więzienia?

- Trzy tygodnie temu.

- Jerry zmarł w więzieniu?

- Tak.

- Nie śledziłem ich losów - powiedział w zamyśleniu. - Choć pewnie mogłem. Ale dostałem ofertę pracy z New Jersey, a poza tym sądziłem, że to już zamknięty rozdział.

- Ja też.

- W porządku, wróćmy do sprawy. Czy sądzisz, że ta Hayley, albo jej rodzina, może mieć coś wspólnego ze zniknięciem twojej córki?



- Nie, absolutnie nie. Mówiłam ci już, że to Davey. Chris podniósł dłoń.

- Musimy rozważyć wszystkie możliwości. Nawet mało prawdopodobne.

- Oczywiście, przepraszam.

- Vladimir?

- Boże, nie. On przepada za Lauren. Poza tym, kiedy przyjechał po Lauren, jej już nie było.

- Luda?

- Luda nienawidzi całego świata, ale nigdy nie skrzywdziłaby Lauren.

- W porządku, a twój były mąż? Ashley pokręciła głową.

- Robert uwielbia córkę. Od rozwodu ciągle stara się o wyłączne prawo do opieki nad nią.

- Od kiedy jesteś rozwiedziona?

- Od ośmiu lat.

- Może Robert uprowadził Lauren, wyjechał z nią z miasta? A potem zadzwonił, zmieniając głos, żebyś myślała, że została porwana? Porwania przez jednego z rodziców dość często się zdarzają.

- Robert jest w mieście. Ożenił się ponownie i ma małe dziecko. A Elaine, jego żona, powiedziała mi wczoraj, że idą właśnie na jakiś bankiet dobroczynny w Harris Hall. Nie opuściłby czegoś takiego. Nie, to nie Robert Marin, filar lokalnej społeczności.

- Jest bogaty?

- Tak.

- Dlaczego więc porywacz nie zadzwonił do niego, żądając okupu, tylko skontaktował się z tobą?

- Nie wiem. Myślę, że chodzi o zemstę, jak już ci mówiłam.

Chris umilkł, wstał i zaczął chodzić po pokoju. Ashley wodziła za nim oczami. Wydawał się potężniejszy niż kiedyś, ale nadał był szczupły i trzymał się prosto. Jego włosy, zawsze w nieładzie, ani trochę nie posiwiały... Ile on ma teraz lat? O sześć więcej niż ona, to znaczy czterdzieści dwa. Wyglądał tak samo, a jednak inaczej, jakby coś go odmieniło. Życie, pomyślała.

- Chris...

- Tak?

- Nie zapytałam... nie pomyślałam nawet o twojej rodzinie, kiedy do ciebie dzwoniłam.

- Jestem rozwiedziony - powiedział obojętnie.

- Och, ty też - odparła cicho. Wzruszył ramionami.

- Dzieci?

- Tak, mam dziesięcioletniego syna, Richarda. Nazywamy go Rich.

- Aha.

- Mojej żonie nie podobało się Newark. Nie podobała jej się moja praca. Cóż, takie rzeczy często spotykają policjantów.

- Przykro mi.

- Teraz jest już w porządku. Odkąd mieszkam w Denver, mogę częściej widywać Richa. - Zatrzymał się i spojrzał na nią. - Ale tu nie chodzi o mnie.

- Nie.

- Chodzi o twoją córkę.

Nagle ogarnęło ją takie poczucie bezsilności, że ukryła twarz w dłoniach.

- Nie wiem, co mam robić.

- Zawiadam policję. Podniosła na niego wzrok.

- Nie. Nie słyszałeś jego głosu. On zabije Lauren, on... O Boże. Chris patrzył na nią wyczekująco.

- Robert jeszcze nie wie - wyszeptała.

- Co?

- Robert nie...

- Jezu, Ashley.

- Wiem. Ale ty nie masz pojęcia, jaki on jest. Mówiłam ci, chce mi odebrać Lauren. Gdyby się dowiedział, uznałby, że to moja wina, rozumiesz, że byłam złą matką. Może wynająć prawników, pozwać mnie do sądu. Nie mogę mu powiedzieć, Chris.

- On i tak się dowie.

- Pomyślałam, że... że może ty ją znajdziesz i nie będę musiała...

- Ashley.

- Wiem, to idiotyczne. Zupełnie oszalałam.

- Nie jesteś szalona. Jesteś zrozpaczoną matką. Ale nie unikniesz powiadomienia swojego byłego o tym, co się stało.

- Później.

- Wiesz, gdzie mieszka Ports? Gdzie zamieszkał po wyjściu z pudła? Czy musi się widywać z kuratorem? - Patrzył na nią uważnie.

- Nie.

- Cóż, tego możemy się dowiedzieć. To znaczy, policja może się tego dowiedzieć.

- Chris, proszę, nie każ mi do nich dzwonić. To zbyt ryzykowne. A poza tym ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że ci ludzie okazali się zupełnie do niczego. Dla mnie nie byli w stanie nic zrobić.

- Ale teraz jest inaczej.

- Jest tak samo!

- Ashley, ja do niczego ci się nie przydam. Nic nie mogę zrobić...

- Możesz. Możesz! - Zaczęła płakać, łzy płynęły jej po policzkach.

Pociągnęła nosem.

- Ashley - powiedział bezradnie.

- Musisz ją znaleźć.

A jeśli Potts już zamknął Lauren w jakiejś kopalni? Nie mogła znieść tej myśli, nie mogła... Nagle znowu ogarnęła ją panika, odżyły strach i poczucie, że śmierć jest blisko, ciemna i zimna... Znowu czuła, że ściany napierają na nią i nikt nie słyszy jej krzyku.

## Rozdział 5

Widział, jak nagle zmieniła się na jego oczach ze zrozpaczonej matki w drżące, przerażone stworzenie z przeszłości. Taka właśnie była wtedy, gdy wyprowadzał ją, potykającą się, z kopalni. Wtedy miała szesnaście lat. Później także widywał ją w takim stanie, w szpitalu, gdzie ją odwiedzał.

Ta nowa Ashley, ta, która powitała go na ganku, była obca. Dojrzała, piękna. Poruszała się z wdziękiem, miała kobiecą figurę i krótsze włosy. Ale oczy pozostały takie jak dawniej - ciemne, głębokie i bardzo smutne. O tak, kiedy tylko się do niej zbliżył, rozpoznał te oczy.

Kiedy znalazł ją w kopalni, objął ją mocno, otulił kocem i niemal zaniósł na powierzchnię, na jesienne słońce, a potem do jeepa swojego ojca. Gdy próbował się choć na chwilę odsunąć, zaczynała płakać i tulić się do niego. Wtedy wiedział, co powinien robić. Ale teraz?

Czy odważy się jej dotknąć, objąć, pocieszyć? Ta kobieta po rozwodzie, matka, obarczona odpowiedzialnością za cały dom, nie była już zagubioną szesnastolatką, którą kiedyś znał.

- Ashley - powiedział spokojnie, kładąc dłoń na jej pochylonych plecach. - Nie martw się. Damy sobie radę.

- Chcę, żeby moja córka wróciła do domu.

- Wiem, wiem. Ale to wymaga czasu.

- Ona może nie mieć go wiele.

- Nie, on będzie to przeciągał, jeśli to jest rzeczywiście Potts. Jeśli się nie mylisz. Już ci to mówiłem. To element tej gry.

- Nie wiem, czy to wytrzymam, Chris. Tak się boję. A jeśli...

Trzymał rękę na jej ramieniu, czując jego ciepło przez białą bluzkę, którą miała na sobie. Potem pogłaskał ją delikatnie. Zdawała się tego nie zauważać.

- Musisz być silna - powiedział. - Dla Lauren. Ona potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek. Musisz spać, jeść i starać się zachować jasność umysłu. To najważniejsze, co możesz zrobić.

Nie odpowiedziała; siedziała tylko ze zwieszoną głową. Ciemne włosy zakrywały częściowo jej twarz.

- Ashley, słyszysz mnie?

- Tak - wyszeptała.

- Dasz radę.

- Spróbuję.

- Dobrze. Teraz możemy tylko czekać na jego telefon. Gdybyś poszła z tym na policję...

- Nie, nie próbuj mnie do tego przekonać. Nie uda ci się.

- Chcę tylko powiedzieć, że gdybyś poszła z tym na policję, założyli ci podsłuch na telefon. Wtedy moglibyśmy go namierzyć, dowiedzieć się, skąd dzwoni. - Zmarszczył brwi. - Chyba że korzysta z publicznego telefonu albo komórki. Wtedy sprawa staje się bardziej skomplikowana.

Kiwnęła głową.

- Problem polega na tym, że policja ma prawo to zrobić, a ja nie. - Myślał przez chwilę. - Kiedy on ostatnio dzwonił?

- Koło siódmej.

Chris spojrział na zegarek.

- W porządku, prawdopodobnie odczeka trochę, zanim znowu się z tobą skontaktuje. Może byś się trochę przespała?

- A ty?

- Nie jestem zmęczony.

- Nigdy ci tego nie mówiłam, ale wtedy myślałam z początku, że jesteś Supermanem.

- Co?

- Wtedy, w kopalni. Byłam taka zdezorientowana, a ty pojawiłeś się tam nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Zgadza się, to ja. Superman.

- Chris... - Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. - Zostaniesz tu? Na pewno masz pracę, do której będziesz musiał wrócić. Nie zapytałam cię o to ani o twoje życie. Jestem taka samolubna.

- Nie pracuję już w policji - powiedział, wiedząc, że Ashley nie wyczuje ironii w jego głosie. - Nie mam pracy, nie mam rodziny.

- Możesz więc zostać? Możesz mieć to mieszkanie tylko dla siebie.

- Nie chcesz go wynająć?

- To może poczekać. Na razie jest twoje, tak długo, jak będzie ci potrzebne.

- Nie wiem, czy potrafię ci pomóc - odparł. - Mówiłem ci, że...

- Wiem. Ale nikomu innemu nie ufam. Chris, pracowałeś w policji, musisz wiedzieć, co robić.

Co za ironia. On ma wiedzieć, co robić. A to dobre.

- Dobrze, zostanę dzień czy dwa, tylko tyle mogę ci obiecać.

Zobaczmy. Skłonił ją w końcu, by zjadła kawałek tosta. W kuchni było

pusto, Pauline oglądała telewizję. Zdażyła już zapomnieć, kim jest Chris, trzeba było ponownie dokonać prezentacji.

- Lauren? - spytała, zdezorientowana. - Lauren jest w szkole, prawda?

- Tak, mam - odparła Ashley. Nie miała siły kolejny raz powtarzać całej historii.

- Dotrzymam twojej mamie towarzystwa - powiedział Chris. - A ty się zdrzemnij.

- Zdrzemnąć się? Na Boga, Ashley, nie za wcześnie na drzemki? - spytała Pauline.

- To dobry pomysł - odezwa! się Chris. - Ashley nie czuje się dobrze.

- Przeziębła się? Lato jest chłodne w tym roku.

- Możliwe.

Pauline machnęła ręką.

- No to idź. A my sobie tu utniemy małą pogawędkę. Dobrze, Cliff?

- Chris.

- No tak, Chris.

- Czyli Christopher.

- W roku 1492 Christopher Columbus przepłynął ocean-oznajmiła Pauline. Musiał zasnąć podczas programu dla dzieci. Zbudził się nagle, z zeszywniała szyją. Potarł dłonią brodę i usiadł. Która może być godzina?

Usłyszał jakieś głosy w kuchni. Pauline, Vladimira i Ludy. Czy Ashley ciągle jeszcze śpi? Jezu, czuł się jak żywy trup.

Siedzieli przy stole i jedli kanapki.

- My cię nie budzić - powiedziała Luda.

- Dzięki. Nie widzieliście... Ashley?



- Ona ciągle u siebie - odparł Vladimir.

- Nie rozumiem, czemu ta dziewczyna jest ciągle taka zmęczona - odezwała się Pauline. - Ma za niski poziom cukru czy co? Nic nie je.

Miał ochotę wziąć Ashley w obronę, ale czuł, że to tylko strata czasu. Narzekanie na córkę najwyraźniej przynosiło Pauline ulgę.

Luda wstała i bez pytania przygotowała dla niego kanapkę. Postawiła talerzyk na stole i nalała mrożonej herbaty do szklanki.

- Zjeść - powiedziała.

Czarująca, pomyślał. Przypominała kobietę ze starej komedii telewizyjnej, która prezentowała rosyjską modę. „Rosyjska suknia wieczorowa”, słychać było głos spoza kadru, a na ekranie pojawiała się wieśniaczka w worku po kartoflach.

Ashley zbudziła się po lunchu i wyszła ze swojej sypialni. Wydawała się zagubiona, miała zapuchnięte oczy, rozwichrzone włosy i zmięte ubranie.

- Dzwonił? - spytała bez tchu. Pokręcił głową.

- Nie.

Stała przez chwilę, chwiejąc się lekko. Potem przyłożyła dłoń do czoła.

- Ludo, czy mogłabyś przygotować kanapkę dla Ashley? - zapytał.

Luda wymruczała coś po rosyjsku.

- Naczynia pozmywane - powiedziała po angielsku.

- Proszę, Ludo.

- Nie jestem głodna, Chris, naprawdę.

- Ściągnęłaś mnie tu z Denver, będziesz więc robić to, co ci powiem.

Zgoda?

- Zgoda.

Potem mogli już tylko czekać. Chris znał tę grę, grę na zwłokę. Było to coś, co poznał w policji. Ale Ashley nie wiedziała, jak znieść to czekanie. Nie mógł na nią patrzeć, kiedy siedziała tak spięta, zaciskając kurczowo dłonie.

Po południu zmusił ją, by poszła na spacer.

- A jeśli on zadzwoni? - spytała.

- Weźmiesz komórkę.

Poszli w dół drogi, minęli dom mechanika, potem nowy, świeżo wykończony dom należący do miejscowego małżeństwa uprawiającego triathlon i znacznie starszy dom, w którym mieszkali właściciele restauracji. Przyjemna okolica, drzewa, prywatna, pełna dziur droga.

- Opowiedz mi o New Jersey - poprosiła.

- To niezbyt interesujące.

- Muszę czymś zająć myśli. Poza tym to pewnie jednak jest interesujące. Dzień był ciepły, wiał lekki wietrzyk, a oślepiająco białe cumulusy zbierały się nad Independence Pass na końcu doliny.

- Newark - powiedział w końcu po chwili milczenia. - Ma nie najlepszą reputację, w pełni zresztą zasłużoną, ale poza tym to dość fajne miejsce. Jest tam kilka naprawdę ładnych dzielnic.

- Dlaczego się tam przeprowadziłeś?

- Ponieważ dostałem świetną ofertę pracy i pomyślałem, że tam szybciej zrobię karierę. Stawki są tam wyższe. Jest ciekawiej, więcej się dzieje, łatwiej można doczekać się awansu. Dla mnie była to naturalna droga zawodowego rozwoju. DEA działa tam bardzo aktywnie.

- Byłeś w DEA?

Stary czarny labrador o posiwiałym pysku wyszedł na drogę, żeby ich obwąchać. Chris z roztargnieniem pogłaskał go po głowie.

- Byłem w policji, w grupie do zadań specjalnych.

- To chyba niebezpieczna praca. Odwrócił wzrok.

- Owszem, czasami.

- Ale rzuciłeś to?

- Tak.

- Dlaczego?

- Cóż, chyba się wypaliłem.

- Och. To musi być przykre. Przykre.

- Hm.

- A nie mogłeś na przykład poprosić o przeniesienie do Denver czy do innego departamentu?

- Wybrałem inne rozwiązanie.

- Jesteś więc teraz bezrobotny?

- Tak.

- Szukasz pracy?

- Hej - znowu zmienił się w beztroskiego, lekkomyślnego Chrisa - zadajesz mnóstwo pytań. Powinnaś zatrudnić się w policji. Byłabyś świetna podczas przesłuchań.

- Przepraszam. - Spojrzała na niego uważnie, ale jego oczy były zasłonięte ciemnymi okularami.

Kolacja upłynęła w dość nieprzyjemnej atmosferze. Pauline była nieznośna, Ashley milcząca i nieobecna, Luda ponura, a Vladimir zachowywał stoicki spokój, nie spuszczał wzroku z Ashley i Chrisa.

Po kolacji Ashley zaproponowała, że pościeli łożko w mieszkaniu nad garażem.

- Po prostu daj mi pościel - odparł Chris.

- Nie, jato zrobię. Naprawdę. - Ściszyła głos. - Nie mogę tu zostać, Chris. Proszę.

Pomógł jej pościelić łożko. Powiesił w łazience ręczniki. Potem przyniósł z samochodu swoją torbę podróżną.

- Wytrzymasz tu? - zapytała.

- Jest tu lepiej niż w moim mieszkaniu w Denver.

Spojrzała na niego.

- Żartujesz, prawda?

- Jasne. Żartuję.

Później usiedli, Ashley na kanapie, Chris w fotelu. Ashley ostrożnie położyła komórkę na stoliku.

- Mogę tu chwilę zostać? - spytała.

- Oczywiście.

- Chcesz porozmawiać o czymś konkretnym?

- Nie. Ty mów. Ze mnie wycisnęłaś już wszystko. Patrzyła na niego przez chwilę smutnymi, ciemnymi oczami.

- Jeszcze nawet nie zaczęłam.

- Opowiedz mi o Lauren. Odchyliła głowę na oparcie kanapy.

- Lauren. Cóż, ma piętnaście lat. W kwietniu przyszłego roku będzie miała urodziny. Pamiętam, że w dniu, kiedy przyszła na świat, padał śnieg. Ma jaśniejsze włosy niż ja, jak jej ojciec, ale myślę, że do mnie też jest trochę podobna. Już mnie przerosła. Przez jakiś czas nosiłyśmy ubrania tego samego rozmiaru, ale teraz moje rzeczy są na nią za małe. Co ma

swoje dobre strony. Poza tym jest pyskata. Myślisz, że moja matka ma niewyparzoną buzię? Cóż. musiałbyś posłuchać Lauren. Uparta jak osioł. Ale dobrze się uczy. I ma mnóstwo przyjaciół. Gra w tenisa, jeździ konno. I gra w szkolnej drużynie siatkówki.

- Musi być ładna - zauważył.

- Owszem. Będzie jeszcze ładniejsza, kiedy dorośnie.

- Dogadujesz się z nią? Wiem, że czasem stosunki na linii matka-córka bywają trudne. Moja siostra...

- Masz siostrę?

- Tak, mieszka w Nowym Orleanie.

- Och, no tak, przypominam sobie teraz. Oczywiście, wspominałeś o niej.

- Ma męża i trójkę dzieci.

- Ja nie mam rodzeństwa. No tak, wiesz o tym. Przepraszam. Kiedyś spytałam matkę, dlaczego nie miała więcej dzieci. Powiedziała, że nie dałaby sobie rady z więcej niż jednym.

Rozmawiali, dopóki Ashley nie zaczęła ogarniać senność. Oparła głowę na rękę.

- Myślisz, że nic jej nie jest? - spytała nagle.

- Tak, Ashley. I wkrótce będziesz ją tu miała z powrotem. - Wiedział jednak, że szanse Lauren maleją z każdą mijającą godziną. Porywacz nie zażądał okupu, a to był zły znak. Oznaczało to, że kierują nim inne pobudki. Możliwe, że zemsta, zgodnie z intuicją Ashley.

Zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła.

- Idź spać - powiedział.

Znowu zamknęła oczy. Chris patrzył, jak odpręża się powoli. Oddychała głębiej, spokojniej. Siedział bez ruchu w swoim fotelu i patrzył na nią, bojąc się głębiej odetchnąć. Tyle już zniosła w życiu, tyle złego. Ale przeszła przez to tak dojrzałe i zachowała swoją urodę. Wzruszała go, teraz chyba nawet bardziej niż wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

To niesprawiedliwe, pomyślał. Ale życie często nie jest sprawiedliwe. On zasłużył na swój los, Ashley na swój nie. Ani Lauren.

Tylko jaki sens ma zastanawianie się, co jest sprawiedliwe, a co nie? Stało się - radź sobie. I to musi właśnie zrobić, musi pomóc Ashley poradzić sobie z tą sytuacją. Zrobi, co będzie mógł, może wykorzysta swoje kontakty. Parę osób ma wobec niego dług wdzięczności. Znał ciągle kilku ludzi w Kolorado; szefa FBI, szefa w Denver, a także kilka osób w biurze prokuratora. Teraz nie może jeszcze do nich zadzwonić, jest za wcześnie. Poza tym musi usłyszeć głos tego faceta, który porwał Lauren, musi przekonać się, czy to istotnie Potts.

A potem weźmie się do roboty. W myślach już rozważał różne możliwości, starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o tworzeniu psychologicznych portretów przestępców.

Ashley spała. Zastanawiał się, co by o nim pomyślała, gdyby знаła prawdę, gdyby wiedziała, jaką porażkę poniósł w swojej pracy, jak pozwolił się skorumpować. Na pewno by nim gardziła, kazałaby mu się pakować.

Nigdy nie powie jej prawdy. Musi ją chronić przed tym, czym się stał. Ona musi teraz w niego wierzyć, potrzebuje tej wiary. A on musi jej na to pozwolić.

Zesztywniał, poruszył się więc lekko i zmienił pozycję. Ashley drgnęła, jej powieki zatrzepotały. Chris znieruchomiał, a ona natychmiast znowu zapadła w sen.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Robiło się późno. W rogu paliła się tylko jedna lampa. W bladym świetle nie widział dokładnie twarzy Ashley, tylko zarys jej sylwetki, włosy opadające na policzek, miękką linię odsłoniętej szyi. Była naprawdę piękna. Dojrzała teraz, z pełniejszymi biodrami i piersiami, ale piękna. Jej długie nogi nadal były kształtne, stopy małe, dłonie smukłe.

Na zawsze zapamiętał oczy Ashley, ciemne, błagalne, ogromne. Ale zapomniał, jak wyglądają jej usta. A były to najbardziej zmysłowe usta, jakie kiedykolwiek widział. Piękne, pełne, miękkie. O takich ustach mężczyźni śnią po nocach.

Zastanawiał się, czy od czasu, kiedy została porwana przez Pottsów, była choć przez chwilę szczęśliwa. Wyszła za bogatego człowieka - bo pragnęła bezpieczeństwa? Ale małżeństwo się rozpadło. Może kiedy dojrzała, doszła do wniosku, że poczucie bezpieczeństwa można uzyskać na wiele sposobów, a pieniądze są na ogół dość zawodnym środkiem, by osiągnąć ten cel.

Czy zaznała kiedykolwiek spokoju?

Teraz z pewnością ma pełne ręce roboty. Matka chora na Alzheimera, rosyjskie małżeństwo - pewnie przebywające w Stanach nielegalnie - które wydaje się bardziej obciążeniem niż pomocą, były mąż, który nie zaniedbuje żadnej okazji, by jej dopiec, a teraz jeszcze porwanie córki.

A on uważa, że został źle potraktowany przez życie.

Zrobiło się naprawdę późno. Komórka leżała na stoliku. Ten facet znowu zadzwoni, to pewne. A Chris posłucha jego głosu i zdecyduje, jaki będzie ich następny krok.

Co on tu właściwie robi? Szuka rozgrzeszenia? Chce wykorzystać porwanie Lauren jako coś, co wskaże mu kierunek w życiu? Jeśli tak, to nie jest to w porządku wobec Ashley, a Lauren może przez niego znaleźć się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Z drugiej strony on sam przecież nie darzy policji zbyt wielkim zaufaniem. Ashley ma rację, wleżą tylko z butami w życie jej rodziny i zapewne wszystko spieprzą. Cholera, pomyślał. W co on się wpakował? Spojrzał na leżącą na kanapie kobietę i nagle poczuł, że ma ochotę zwać, zostawić ją tu taką niewinną, pogrążoną we śnie, wsiąść w swój samochód i odjechać. Ale nie zrobił tego. Siedział bez ruchu w fotelu i w końcu sam zasnął.

Telefon zadzwonił o piątej nad ranem. Nagłący dźwięk brutalnie rozdarł ciszę.

Chris usiadł gwałtownie, ale Ashley zdążyła już odebrać komórkę. - Halo? - usłyszał jej głos.



## Rozdział 6

Davey lubił mówić tym specyficznym głosem. Długo to ćwiczył. Marzył o tym. Ten głos. Miękki, obojętny, nawet zmysłowy. Spokojny, niespieszny.

- Ash-lee, dzień dobry. Ash-lee, dobrze spałaś? Och, doskonale. Doskonale, pomyślał.

Wreszcie odezwała się do niego. Wydawała się bardzo zdenerwowana. Napięcie w jej głosie dostarczyło mu wielkiej satysfakcji.

- ...Lauren, chcę rozmawiać z Lauren, ty sukinsynu.

- Ash-lee - powiedział spokojnie, a potem powtórzył jej imię w ten sposób jeszcze kilka razy, dla zwiększenia efektu, tylko wolniej. Panował nad sobą w stu procentach. Och, cudownie, po prostu doskonale.

Mówiła coś, szybko, ostro. Jakby miała nad nim jakąkolwiek władzę. Zaśmiał się do trzymanej w ręce komórki. Co za fantastyczny pomysł, telefony komórkowe. Słyszał o nich w więzieniu, widział je w telewizji. Ale ten wynalazek ciągle go zdumiewał. A poza tym tak, jak mówił jego kumpel z celi, praktycznie nie można było ich namierzyć bez najnowocześniejszego sprzętu, jaki posiadały tylko rządowe agencje.

Ash-ley Ash-lee - ciągle coś gadała, błagała go, żeby oddał jej córkę, prosiła, żeby nie robił jej krzywdy, proponowała pieniądze, ile tylko by zechciał. Sugerowała, by wziął ją zamiast Lauren.

Och, sprawiało mu to niewysłowioną rozkosz.

- Och, Ash-lee - powiedział, napawając się dźwiękiem własnego głosu - nie dogadamy się, jeśli będziesz się tak zachowywać. Przemyśl to sobie, Ashley - dodał i się rozłączył.

Podłączył telefon do ładowarki i uśmiechnął się pod nosem. W całym ciele czuł przyjemne ciepło. Jedynym problemem była dziewczyna. Cholerny bachor miał bardziej niewyparzoną gębę niż jej matka w swoim czasie. W tej chwili jadaczkę miała zaklejoną taśmą. Kolejny pożyteczny wynalazek. Ale nie spuszczała z niego oczu. Wielkich, brązowych oczu, podobnych do oczu Ashley, ale nie tak ładnych.

Niepokoila go. No, może nie ona - w tej chwili miał ją pod kontrolą - ale myśl o niej. Przeszkadzała mu. Musi się jej pozbyć. Miał na to ochotę, odkąd dostał ją w swoje ręce, ale to nie był odpowiedni czas.

Niewykluczone że w końcu będzie musiał pozwolić Ashley porozmawiać z córką. Dwa słowa, nie więcej. A może nie zrobi tego - może będzie wolał, by Ashley cierpiała, nie wiedząc, czy jej córka żyje.

W więzieniu nauczył się czytać. To znaczy umiał oczywiście czytać już wcześniej, nauczył się w szkole, gdzie zaliczył osiem klas, zanim ojciec wyrwał go z tego skorumpowanego systemu. Ale w więzieniu zaczął czytać prawdziwe książki.

I nauczył się pewnego wyrażenia: *coup de grace*\*. Nie wiedział dokładnie, co oznaczają te słowa, ale podobało mu się ich brzmienie. I od tego czasu marzył o cierpieniu, jakie zada Ashley, kiedy odbierze jej dziecko. I o ostatniej scenie tego dramatu. O swoim *coup de grace*.

Tego ranka nie była w stanie myśleć racjonalnie. Zaczęła więc sprzątać w kuchennych szafkach, po to tylko, by zająć czymś ręce. Chris próbował dodać jej otuchy, ale jego wysiłki na niewiele się zdały.

\* *fr. ostateczny cios, dobitcie.*

- Na litość boską, Ashley - powiedział - pomyśl tylko. Zareagowałaś dokładnie tak, jak sobie tego życzył Potts. Zrobiłaś to, czego oczekiwał. Lauren żyje. Będzie żyła tak długo, jak długo ten świr nie przestanie się napawać twoją męką.

- Chcesz powiedzieć, że mam z nim rozmawiać, ilekroć do mnie zadzwoni? Nawet jeśli nie pozwoli mi porozmawiać z Lauren?

- Może. Tak, może to jest sposób. Pozwól mu myśleć, że ma władzę. Niech się tym nacieszy. A w tym czasie...

- Ty będziesz jej szukał. I znajdziesz ją. Ale Chris pokręcił głową.

- Ashley, nadal uważam, że to nie mnie potrzebujesz. Po jakimś czasie Pottsowi znudzi się ta zabawa i zażąda pieniędzy. Wtedy będziesz potrzebowała FBI. Oni właśnie zajmują się takimi sprawami.

- Mówiłam ci już sto razy: nie. I nie ma pewności, że on zażąda pieniędzy. Potts chce mnie torturować. Torturuje mnie. Może będzie chciał zatrzymać Lauren tak jak przedtem mnie. To właśnie może być ta zemsta, której szuka, prawda?

- Do diabła, nie wiem. Może masz rację. A Potts chce się zemścić, ale chce też pieniędzy. Może planuje, że weźmie forszę i zatrzyma Lauren. Nie jestem psychologiem. Nie potrafię powiedzieć ci, co się dzieje w jego głowie. Ale profesjonalista...

- Nie mówmy już o tym. - Ashley westchnęła i przycisnęła palce do skroni. - gdybym tylko mogła uspokoić się trochę i pomyśleć. Znam Daveya Potts.

- Znałaś go. Ale ten człowiek spędził dwadzieścia lat w pudle. Nie wiesz, kim się tam stał. Ja też tego nie wiem.

Tego ranka Ashley mogła tylko trzymać się myśli, że Lauren żyje. Chris nie skończył psychologii, ale był inteligentny, miał doświadczenie i pracował na ulicy. Z pewnością zdążył tam poznać wielu obłąkanych kryminalistów. I miał intuicję. Wiedziała o tym. Czuła, że musi mu ufać, bo w przeciwnym razie oszaleje.

Chris zbierał informacje. Powoli, metodycznie. Wiedziała, co robił. Sama próbowała rozeznać się w meandrach życia w taki sposób. Traktowała problemy jak zadania matematyczne. Nie rozwiążesz problemu, jeśli nie wykonasz odpowiednich kroków we właściwej kolejności.

Czekając na następny telefon od Potts'a, usiedli z Vladimirem w mieszkaniu nad garażem.

Ashley wybrała stare krzesło z dala od Vladimira - tak jak chciał Chris. Rosjanin usiadł na kanapie, Chris w fotelu naprzeciw niego. Pochylił się do przodu, z łokciami na kolanach. Poważny, zatroskany, ale czujny.

Zaczął rozmowę spokojnie, łagodnie. Spytał Vladimira o jego rodzinne miasto w Rosji, a potem o pracę w moskiewskim szpitalu.

Mówił cicho, jego głos brzmiał tak miękko jak mruczenie kota.

Ashley przysłuchiwała się rozmowie i nagle zrozumiała, co robi Chris - zaprzyjaźnia się z Vladimirem. Nie spytał, czy on i jego żona są w Stanach legalnie - a byli i będą jeszcze przez kilka miesięcy. Ashley nie miała pojęcia, co pocnie później. Wynajmie prawnika, żeby postarał się o przedłużenie ich wiz?

- A więc - mówił Chris - zatankowałaś kilka minut przed piątą?

Vladimir kiwnął głową.

- Tak. Na moim zegarku być za dziesięć piąta. Ale on nie zawsze dobrze chodzić. - Umilkł i jęknął. - Gdyby ja się nie zatrzymać... najpierw odebrać Lauren, może...

- Hej - przerwał mu Chris. - Skąd mogłeś wiedzieć? Nie powinieneś się o to obwiniać.

- Ale...

- Nie, zapomnij o tym, człowieku. Po Lauren mogła pojechać Ashley. Albo Luda. To bez znaczenia kto.

- Ja tam być o piątej. Na pewno. Może kilka minut później, przez ten zegarek, ty rozumieć? Ale ja się dużo nie spóźnić. Ja być zawsze wtedy, kiedy Ashley mi powiedzieć.

- Wierzę ci - powiedział Chris. - Zakładam, że nie musiałeś czekać na Lauren, kiedy po nią przyjeżdżałeś?

Vladimir uśmiechnął się lekko.

- Och, Lauren zawsze punktualna. Ashley - odwrócił głowę, by na nią spojrzeć - ona mówić, że nie przysłać więcej samochód, jak Lauren się spóźnić. Lauren nie lubić autobusy.

- Hm. Dobrze. - Chris położył ręce na oparciach fotela i założył nogę na nogę. Tak, zdecydowanie było w nim coś, coś nieuchwytnego, co mówiło: Hej, możesz mi zaufać. Jestem w porządku.

Musiał wiele razy przesłuchiwać ludzi w taki sposób i na pewno był dobrym policjantem. Mogła sobie wyobrazić, jak wzbudzał w ludziach zaufanie, a w końcu sprawiał, że zaczynali mówić.

- Nie widziałem jeszcze tego miejsca, gdzie mieszkają Hodgesowie - zauważył i Ashley znowu zaczęła uważnie przysłuchiwać się jego słowom.

- Ale z tego, co mówiła Ashley, wiem, że to wąska droga u podnóża Red Mountain, tak?

- Tak - odparł Vladimir.

- Ślepa ulica?

- Tak, to znaczy, tam być droga do Red Mountain Road, ale prywatna. To zła droga. Bardzo długa.

- Rozumiem.

Ashley także rozumiała. Jeśli Potts zaczął się tam na Lauren i obserwował ją od kilku dni, może nawet tygodni, to kiedy ona wyszła na spotkanie z Vladimirem, mógł ją porwać z drogi i zniknąć na długo przed przyjazdem Vladimira.

Jak Potts sobie z nią poradził? Związał ją? Zakneblował? Ogłuszył? Ale rozmyślania Ashley przerwał dzwonek telefonu. Chwyła go błyskawicznie. Chris i Vladimir znieruchomieli. Chris kiwnął głową.

Odebrała. Ale to nie był Potts, tylko koleżanka Ashley z pracy, która spytała, czy Ashley nie wybrałaby się z nią następnego dnia na wycieczkę.

- Och, Michelle... - Ashley wzięła głęboki oddech. - Nie... nie mogę. Może w następny weekend? - Słuchała przez chwilę, a potem pożegnała się i rozłączyła. Czowała, jak serce tłucze jej się w piersi. - To moja przyjaciółka - powiedziała w końcu. - Nic ważnego.

Chris skończył rozmawiać z Vladimirem, po czym zadzwonił ze stacjonarnego telefonu do starego przyjaciela z Denver.

- Ale to nie jest policjant? - spytała Ashley z niepokojem.

- Nie, już nie. Zna jednak wielu ludzi w policji i jest bardzo dyskretny. W porządku?

- W porządku.

Połączył się natychmiast.

- Cześć, Joe, mówi Chris - powiedział. - Tak, jasne, że gorąco, ale nie jestem w Denver, tylko w Aspen. - Urwał. - Nie, nie na urlopie. Pomagam przyjaciółce... nie, wolałbym na razie nie mówić. Może mógłbyś zadzwonić do paru osób i znaleźć mi pewien adres? Świetnie. Facet jest na warunkowym. nazywa się Potts. Davey Potts. Tak. Siedział dwadzieścia lat w Canon City. Wyszedł parę tygodni temu i zakładam, że ma kuratora. Aha, jeszcze jedno. Przydałoby mi się aktualne zdjęcie tego gościa. Kurator policyjny na pewno ma jakieś w aktach. Gdyby mógł ci przefaksować... Super. - Urwał znowu, a potem podał Joemu numer telefonu. - Jestem twoim dłużnikiem, Joe. Wielkie dzięki. - Odłożył słuchawkę.

- Nie sądzisz chyba, że Potts będzie pod adresem, który dostaniesz, prawda? - spytała Ashley.

- Może nie. Ale lepiej sprawdzić. Mój kumpel zadzwoni tylko do paru osób. Jemu kurator Potts'a nie poda adresu, ale poda go oficerowi na służbie.

- Ten Joe... był policjantem?

- Najlepszym - odparł Chris poważnie.

Potem podniósł słuchawkę po raz drugi. Siedział w milczeniu i słuchał.

- Witaj, Murray - powiedział w końcu. - Mówi Chris Judge. - Umilkł. - Jakież pół roku temu, tak. - Znowu umilkł. - Nie, chyba nie. Mam trochę oszczędności. - Słuchał przez chwilę, a potem się roześmiał. - Tak, Newark to na pewno nie Denver. Tam obowiązują zupełnie inne zasady.

Ashley słuchała uważnie, ale Chris przez dłuższą chwilę opowiadał o rozwodzie i swoim synu.

- A co słyhać u prokuratora stanowego? - spytał w końcu i przeszedł do sprawy. - Wiesz, jestem teraz w Aspen... Tak. Nie, pomagam komuś. Wyświadczysz mi przysługę? Chciałbym pogadać z paroma więźniami w Canon City. Nie, to nie to. Chodzi o jednego faceta na zwolnieniu warunkowym, który naprzykrza się mojej znajomej. - Słuchał przez chwilę. - Świetnie, zadzwonię, jeśli będę potrzebował poparcia. I dzięki. Masz jeszcze te sezonowe bilety na Rockies? To może kiedy wrócę do Denver, pójdziemy na kolację i mecz. Ja stawiam. - Znowu urwał. - W porządku, będę się z tobą kontaktował - powiedział w końcu i odłożył słuchawkę.

- Wiedziałam, że możesz mi pomóc. - Ashley uśmiechnęła się słabo.

Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy telefon zadzwonił znowu. Dzwonił Joe.

- Człowieku, szybki jesteś - powiedział Chris i zapisał informacje. - Dzięki, jestem twoim dłużnikiem. Zadzwonię jeszcze w sprawie tego zdjęcia. Zajmij się tym, proszę. Pozdrów Charlene i dzieciaki. Tak. Będę dzwonił - zakończył rozmowę i odwrócił się do Ashley.

- W porządku. Potts podał kuratorowi adres swojego kuzyna w Glenwood Springs.

Ashley zagryzła wargi. Glenwood Springs znajdowało się po drugiej stronie doliny, jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Marble, gdzie dawniej mieszkał Potts.

Chris znalazł numer i zadzwonił do kuzyna Potts.



- Kiedy Davey wróci? - spytał Chris. Chwilę słuchał, a potem zapytał: -A może zastanę go jutro?

Odłożył słuchawkę i pokręcił głową.

- Co za dupek - powiedział i spojrzał na Ashley. - Przepraszam. Ale znam ten typ. Wiem, że kłamie. Nienawidzi glin. Założę się, że Potts tam nie było, odkąd wyszedł z pudła.

- A ten kurator? Czy Davey...?

- Tak, pewnie Potts musi się z nim widywać raz w tygodniu i tak dalej i pewnie dotychczas zachowywał się wzorowo, ale założę się, że w tym tygodniu się z nim nie skontaktuje ani w przyszłym, ani już nigdy.

- Wspaniale. - Ashley na moment zamknęła oczy.

- Tak - mruknął Chris.

Po południu pojechał do Hodgesów i rozmawiał z Betty i Hayley. Ashley ubłagała go, żeby nie mówił im prawdy, wymyślił więc, że uciekła z domu.

- Wybryk nastolatki.

- Nie uwierzyły w to, prawda? - spytała Ashley.

- Nie wiedzą, co o tym myśleć - odpowiedział, wzruszając ramionami.

- O Boże.

- Niewiele się od nich dowiedziałem. Domyślam się tylko, że Potts musiał mieć Lauren na oku od dłuższego czasu. Czekał na sposobność, która nadarzyła się, kiedy Vladimir spóźnił się kilka minut. Samo porwanie nie zabrało mu wiele czasu. Pewnie kilka sekund. I już go nie było.

Nadszedł wieczór, zbliżała się noc, a Davey Potts nie zadzwonił znowu. Godziny mijały, a oni czekali. Chris siedział obok Ashley i przypominał jej co jakiś czas, że Potts prawdopodobnie nie pozwoli jej na razie porozmawiać z Lauren. Jeśli w ogóle się na to zdecyduje.

- Będzie przeciągał twoją udrękę tak długo, jak zdoła - powiedział.

- Mam go błagać? Naprawdę tak uważasz czy tylko się domyślasz, że on tego chce?

- Do diabła, Ashley - odparł. - Domyślam się. Czuję, że on tego właśnie chce.

- W takim razie będę błagać. I nawet nie będę musiała udawać.

- Dobrze.

Ashley nie umiała wyrazić słowami, jaką ulgą było dla niej to, że Chris zgodził się jej pomóc. Miał w sobie tyle siły. Jego zachowanie, sposób mówienia, gesty zdawały się rzucać wyzwanie całemu światu.

Czasami zasepiał się i pogrążał w rozmyślaniach. Wtedy jego oczy ciemniały, twarz tężała. Ashley czuła, że w takich chwilach jest gdzieś bardzo daleko. Wyglądał groźnie i wydawał się znużony, jakby doznał w życiu zbyt wielu rozczarowań.

Potem jednak jego twarz ożywiała się znowu i uśmiechał się do Ashley, jakby chciał powiedzieć: Wszystko w porządku, jestem tu, zaopiekuję się tobą.

Później tego wieczoru siedział na schodkach wiodących na ganek. Pił kawę i patrzył w niebo. Wcześniej zanosilo się na deszcz, teraz jednak wielkie burzowe chmury, ciemne od spodu i oślepiająco białe u góry, odpłynęły na zamglony, ozłocony słońcem horyzont. W dolinie zapadł już zmrok, było dobrze po zachodzie.

- Dziwnie wygląda dziś niebo - zauważył.

- Myślę, że to w Utah wybuchł pożar. To chyba dym.

- Hm - mruknął. - Na pewno jest tu inaczej.

- Tak. - Ashley usiadła obok niego. Lekki wietrzyk owiewał jej szyję i twarz. - Jest jeszcze jasno, a mama już poszła się położyć. Co za wieczór.

Pauline była wyjątkowo trudna tego popołudnia; nie pamiętała, co stało się z Lauren. Nie wiedziała, kim jest Chris. Zachowywała się tak, jakby nawet Ludę i Vladimira widziała pierwszy raz w życiu.

- Domyślam się, że Pauline dostaje wszystkie nowe leki? - spytał.

- Co do jednego.

- I żaden nie pomógł?

- Och, czasami niektóre pomagały. Na tydzień czy dwa, ale potem zawsze następował regres.

- Cóż, czytałem gdzieś, że codziennie wynajdują coś nowego.

- Tak. - Ashley westchnęła. - A to jeszcze dość wczesne stadium choroby, jest więc nadzieja.

- Zawsze jest nadzieja, prawda? - powiedział Chris, rzucając jej jeden z tych swoich uśmiechów, zdolnych stopić lodowiec.

- No, a ty, Chris? Nie możesz przecież przejść na emeryturę w wieku... Ile ty masz właściwie lat? Czterdzieści dwa?

- Czterdzieści jeden i trzy czwarte.

Ashley roześmiała się cicho.

- A więc nie czterdzieści dwa. Nie chcesz wrócić do pracy? Wzruszył ramionami.

- Kto wie?

- To nie jest odpowiedź. Wiesz, nie mogę sobie wyobrazić, że jestem na emeryturze. Zawsze chciałam uczyć w szkole. Owszem, miło jest mieć długie wakacje... jeśli oczywiście wszystko nie wali mi się wtedy na głowę. Ale i tak bardzo lubię wrzesień. Twarze nowych uczniów, którzy nie wiedzą jeszcze, czy mają się mnie bać, czy wręcz przeciwnie. Uwielbiam dzieciaki. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym nie miała swojej pracy.

- Hm - mruknął.

- Oczywiście ta praca była początkiem końca mojego małżeństwa.

- Jak to?

- Och, kiedy Lauren poszła do szkoły, postanowiłam zostać nauczycielką musiałam więc wrócić do szkoły, żeby uzyskać uprawnienia. Można to. rzecz jasna, zrobić tu, w dolinie, ale Robert i tak dostał szału. Wiem, czuł, że traci nade mną kontrolę. Aleja po prostu nie mogłam całymi dniami siedzieć w domu i układać kwiaty w wazonach, czekając, aż Lauren wróci ze szkoły.

- Mówisz tak, jakby przyszło ci to bez trudu.

- Bez trudu? Rozwód to prawdziwe piekło. Wszyscy nasi wspólni znajomi byli właściwie jego znajomymi, ten dom został zapisany na jego nazwisko i musiałam o niego walczyć.

- A dom Marina? Czy on nie jest przypadkiem na Red Mountain?

- Cóż, on miał lepszego adwokata niż ja. - Pokręciła głową. - Ale przetrwałam to jakoś, nawiązałam nowe przyjaźnie i poukładałam sobie życie. I wiesz co? Ani razu nie żałowałam swojej decyzji. Zawsze będę uczyć. Ty jednak najwyraźniej nie tęsknisz za swoją pracą.

- Hm - mruknął znowu Chris.

- Czy chodzi o Newark? Tam się zniechęciłeś do tej pracy?

- Jezu.

- No tak, rozumiem, koniec tematu. - Ashley bawiła się komórką: Żałowała, że Chris nie chce rozmawiać ani o tym, ani o czymś innym. Rozmowa, choćby tylko z Ludą czy Pauline, pozwalała jej zająć myśli. Chociaż przez kilka sekund. Potrzebowała tych krótkich chwil wytchnienia.

Czego Chris jej nie mówi? Była pewna, że ma jakąś tajemnicę. Czasem wyczuwała w nim napięcie, a jego twarz przybierała czujny wyraz, jakby nie chciał się z czymś zdradzić.

W końcu telefon zadzwonił. Ashley drgnęła i patrzyła nieruchomo. Chris wstał.

- Weź głęboki oddech - powiedział. - I pamiętaj, staraj się robić to, czego on oczekuje.

- Dobrze - wyszeptała. Serce waliło jej jak młotem.

Ale dzwonił telemarketer. O tej godzinie, niech ich diabli wezmą. Telemarketer.

Chris usiadł przy niej i położył dłoń na jej kolanie.

- On chce cię wytrącić z równowagi. Dlatego każe ci czekać. Wierz mi, dasz radę, to wszystko pewnego dnia będzie ci się wydawało tylko złym snem. Nie zapomnisz tego, oczywiście, ale to będzie już przeszłość, zamknięty rozdział. Takie koszmary nie trwają wiecznie.

Ashley kiwnęła głową.

- Mówiłeś mi to już, wiesz o tym?

- Naprawdę?

- Tak.

- I zapamiętałaś to?
- Chris - odrzekła. - Pamiętam wszystko. Każde słowo.
- Hm.

RS

## Rozdział 7

Telefon zadzwonił następnego ranka, zaraz po dziewiątej. Ale i tym razem nie był to Davey Potts. Sekretarka ze szkoły chciała wiedzieć, czy będą jakieś zmiany w planie na następny semestr.

- Och, tak - odparła Ashley, próbując zebrać myśli. Czowała się bardzo słabo. - Ale w tym tygodniu nie mogę się tym zająć. Podam wszystko w przyszłym, dobrze?

- Najdalej do dziesiątego, Ashley. Zdaszysz?

- Och, tak, na pewno.

Może zrobię to teraz, pomyślała. Cokolwiek, byle zająć czymś myśli. Lauren.

Czy on jej nie głodzi? Czy ma ciepło w nocy? Czy zachowuje się tak, jak kiedyś Ashley? Udaje odwagę i pielęgnuje w sobie nadzieję, że ktoś zaraz ją uratuje?

Ale wtedy każda minuta wydawała się Ashley godziną, każdy dzień tygodniem.

Wybiegła na zewnątrz. Chris siedział na miejscu dla pasażera w swoim samochodzie, drzwi były otwarte. Na siedzeniu obok leżały rozłożone mapy.

- Chris, musimy ją znaleźć. Szybko. Ona tego nie wytrzyma. Wiem o tym. Lauren udaje twardą, ale boję się, że nie jest tak silna, jak ja byłam. Teraz dzieci są takie rozpieszczone i... Co ty robisz? Nie chcesz chyba wyjechać? Chris?

- Nie, Ashley, nie chcę wyjechać. Uspokój się.

- O Boże, zobaczyłam te mapy i...
- Chcę się tylko zorientować w okolicy. Sprawdzam lokalne drogi.
- Tu niewiele jest prawdziwych dróg. Jest autostrada 82 między

Glenwood Springs a Twin Lakes po drugiej stronie przełęczy.

- Interesują mnie boczne drogi.
- Och. Rozumiem. Myślisz, że zabrał Lauren...
- Na razie nic nie myślę. Po prostu patrzę na mapę.
- Ale...
- Jak tylko coś wymyślę, zaraz ci powiem. Dobrze?
- Tak, oczywiście. To znaczy, że zostaniesz?

Był w ciemnych okularach. Zdjął je teraz i spojrzał jej w oczy.

- Jest jeszcze kilka rzeczy, którym mógłbym się przyjrzeć.
- Kilka rzeczy?
- Może. Kiedy tylko coś przyjdzie mi do głowy, pierwsza się o tym

dowiesz. To na razie wszystko, co mogę ci powiedzieć.

- W porządku - odparła. To jej na razie wystarczyło.

Miała wrażenie, że Chris nagle zmienił się na jej oczach w Supermana. Tak. Znajdzie jej dziecko. Na pewno. Dla Supermana nie ma rzeczy niemożliwych.

Ucałowałyby go, nie byłaby w stanie się powstrzymać, ale na podwórku pojawił się sąsiad, z wymazaną smarem szmatą w ręce, w starej baseballowej czapeczce włożonej daszkiem do tyłu. Miał na sobie szorty, brudne tenisówki i czerwony podkoszulek z napisem: LAKE POWELL.

- Jay - westchnęła.
- O, cześć, Ashley, jak leci? - spytał, ale patrzył na samochód. -

Nowe opony?



- To samochód Chrisa - wyjaśniła. - Chrisa Judge'a... A to jest mój sąsiad, Jay Rose. Już zakochał się w twoim mustangu. Prawda, Jay?

- Niezupełnie. Ale jestem zaciekawiony. Chris wstał z uśmiechem.

- Tak, niezły wóz.

Zanim Ashley zdążyła powiadomić sąsiada, że są zajęci, Jay zdołał namówić Chrisa do podniesienia maski i po chwili obaj wpatrywali się w silnik, jakby widzieli coś takiego po raz pierwszy w życiu.

Dwadzieścia minut później, kiedy Jay ruszył w końcu w stronę domu, Ashley dostrzegła dwoje rowerzystów, jadących w ich stronę. Obok nich biegł pies.

- Och, nie - jęknęła, czując, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Co się dzieje? - spytał Chris.

- Robert i jego lalka. To znaczy mój były mąż i jego nowa żona, Elaine. Boże, są z dzieckiem. Co ja mam mu powiedzieć, Chris?

- Posłuchaj, może ja spróbuję... - zaczął, ale Robert i Elaine już zatrzymali się obok i zsiadli ze swoich drogich górskich rowerów.

Oboje wyglądali jak zawodnicy Tour de France, od stop do głów odziani w spandex, mieli na głowach kaski, które Lauren nazywała pieczarkami. Kiedy pierwszy raz zobaczyła ojca w kasku, skrzywiła się pogardliwie.

- Ale obciach - mruknęła.

Pies, Sandy, rasy golden retriever, oparł łapy na kolanach Ashley.

- Sandy, do licha, na dół. Ale już. - Robert chwycił psa za obrozę i szarpnął. - Przepraszam, Ashley, była na szkoleniu, ale obawiam się, że jest tępa.

Ale Ashley nie zwracała najmniejszej uwagi na psa. Myślała tylko o jednym: co powinna powiedzieć ojcu Lauren?

Chris przedstawił się, uścisnął dłoń Roberta, a potem Elaine, pozwolił nawet dziecku, które siedziało w nosidełku na plecach Roberta, pobawić się swoimi palcami...

- Jestem starym przyjacielem Ashley z Denver - powiedział.

- Dziwne, że się dotąd nie spotkaliśmy - odparł Robert. - Judge.

Chris Judge. Hm.

Nie, wcale nie dziwne, pomyślała Ashley. Chris należał do tej części jej życia, którą dawno zamknęła. Nie dzieliła się nią z nikim. Nawet z mężem.

- Pomyśleliśmy, że może Lauren miałyby ochotę pojechać z nami na Smugglers Mountain. - Elaine uśmiechnęła się szeroko. - Myślisz, że Luda mogłaby dać Sandy trochę wody?

- Och, jasne - odparła Ashley, zawołała Ludę i poprosiła ją, żeby wzięła psa do domu i dała mu miskę z wodą.

- Gdzie jest Lauren? - spytał Robert, poprawiając nosidełko z dzieckiem. Ashley pociemniało przed oczami.

- Ashley? - Robert spojrzał na nią uważnie. Wzięła głęboki oddech.

- Musimy porozmawiać - odrzekła. - Na osobności. Może Elaine wzięłaby na chwilę dziecko, a my przeszlibyśmy się kawałek i...

- Co tu się dzieje, do diabła? - Robert zdjął okulary przeciwsłoneczne i kask i powiesił je na kierownicy roweru.

- Proszę - powiedziała Ashley. - Daj dziecko Elaine i chodź.

Zazwyczaj Robert Marin żądał natychmiastowej odpowiedzi na swoje pytania. Ale napięcie w głosie Ashley, jej desperacja musiały go zastanowić, bo zdjął nosidełko i podał dziecko Elaine.

- A nasza wycieczka? - zaprotestowała Elaine, całując dziecko w policzek. Robert spojrział na nią z ukosa i umilkła.

Zostawili więc Elaine i Chrisa i ruszyli w dół drogi. Ashley czuła jego zniecierpliwienie i irytację. Zawsze miała wrażenie, że go irytuje.

- Ashley? - zaczął. - O co chodzi? Oczywiście chodzi o Lauren. I już czuję, że mi się to nie spodoba. Chodzi o narkotyki? Chłopaka? Mam nadzieję, że nie zaszła w ciążę. Chryste, ostrzegałem cię setki razy. Jesteś dla niej zbyt miękka. Gdybyś mi pozwoliła...

- Robert - przerwała mu - proszę, pozwól mi wyjaśnić, dobrze? Nic z tych rzeczy. Lauren... zniknęła.

Wyznanie prawdy było czystą torturą. Rozzłościł się tak, że jego twarz na-biegła krwią, na skroniach zaczęły pulsować żyły.

- Dobry Boże - syknął. - Ten sam człowiek, który cię porwał, ma teraz moją córkę? Jezu, muszę się zastanowić. Nie, nie mogę nawet o tym myśleć. Powiedział ci, kim jest?

Pokręciła głową.

- Nie.

- Skąd więc możesz wiedzieć, że to on?

- Ja... Poznałam jego głos.

- Głos.

- Tak. I sposób, w jaki wymawia moje imię.

- To wszystko? I na tej podstawie...

- Robert - powiedziała. - To jest Davey Potts. Zmarszczył brwi i patrzył na nią przez chwilę.

- Powiedzmy, że masz rację. W takim razie chcę wiedzieć, jak mogłaś dopuścić do tego, by taki świr porwał moją córkę. Jak to się stało? I gdzie ty wtedy byłaś, do diabła!

Opowiedziała mu wszystko. Zanim jednak doszła do wyjaśnienia, dlaczego nie zawiadomiła policji, Robert chciał wiedzieć, gdzie jest FBI.

- Czy nie powinni założyć bazy w domu? Kto dowodzi tą akcją? Natychmiast chcę z nim rozmawiać!

- Ja... -Ashley przełknęła ślinę. -Nie zadzwoniłam na policję ani do FBI.

- Co takiego? - wykrztusił.

- Zadzwoniłam do... do Chrisa.

- Do Chrisa? Do tego faceta, którego widziałem przed domem? Kto to w ogóle jest?

- To mój... przyjaciel.

- Przyjaciel? Życie mojej córki wisi na włosku, a ty dzwonisz do przyjaciela?

- Chris jest policjantem.

- Co to znaczy: jest policjantem?

- Właśnie to. Ma duże doświadczenie.

- Ale skąd...? Nie rozumiem. Wyjaśnij mi to wreszcie.

- Posłuchaj, Davey Potts zagroził, że... że zabije Lauren, jeśli zawiadomię policję.

- Jezu... Ale to oczywiste, że tak powiedział. To pewnie blef.

- Może. Ale nie mam zamiaru ryzykować życia Lauren. A ty?

Robert potarł się dłońmi po ramionach, jakby zrobiło mu się zimno.

- Dobrze już, dobrze, muszę pomyśleć. Jezu. Ale co właściwie robi ten facet? Nie zawiadomiłaś policji, więc...

- Pracował w policji w Denver, potem przeniósł się do Newark. Nie wiem, co to wszystko ma do rzeczy. On mi pomaga.

Robert uniósł jedną brew.

- A skąd ty go znasz? Chris... Judge. Tak? Skąd znasz policjanta z... - Urwał i kiwnął głową. - Och... och, już wiem, skąd znam to nazwisko. To on cię wtedy znalazł.

Ashley zaniemówiła. Skąd Robert...?

- Nie dziw się tak - odparł. - Twoja matka mi powiedziała. Podobno się w nim podkochiwałaś jako nastolatka. - Zaśmiał się pogardliwie. - Teraz więc wydaje ci się, że on odnajdzie także Lauren. Na litość boską, Ashley, kiedy ty wydoroslejesz?

Ashley opanowała wzbierający w niej gniew.

- Naprawdę nie chcę się kłócić. Policja schrzaniła sprawę w moim przypadku i nie zaryzykuję tego samego w przypadku mojej... naszej córki.

- Posłuchaj, Ashley, wiem, jak się czujesz, ale... Podniosła rękę i pokręciła głową.

- Proszę, żebyś mi zaufała. Na razie minęło tylko czterdzieści osiem godzin. Davey nie zażądał jeszcze nawet pieniędzy.

- Boże - wyszeptał, zatrzymał się i oparł o zwalony pień leżący przy drodze. Przesunął dłonią po czole. - Nie mogę w to uwierzyć. Lauren. Nie mogę w to uwierzyć. A ty nawet mi o tym nie powiedziałaś.

- Bo wiedziałam, jak zareagujesz. Robert, ja znam Daveya. Wiem, że jak długo będę przestrzegać zasad tej chorej gry, Lauren pozostanie bezpieczna. Po prostu to wiem.

Spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Wiesz to, tak? Wiesz to na pewno?

- Davey chce się zemścić za lata, które spędził w więzieniu. Jego ojciec tam zmarł. A on obwinia o to mnie.

- To jakieś szaleństwo.

- Tak, zgadzam się. I jestem pewna, że w końcu zażąda pieniędzy. Ale chce, żebym cierpiała. Nie odda Lauren, dopóki nie sięgnę dna.

- To koszmar - wyszeptał Robert. - Koszmar.

- Tak. Koszmar. Kiedy przyjdzie pora, będziesz musiał wyłożyć pieniądze. Ja ich nie mam. Nie mam nawet skąd pożyczyć. W zeszłym roku musiałam obciążyć hipotekę. Mieszkanie... Ale to bez znaczenia. Będziesz mógł zapłacić, prawda?

- Oczywiście. Oczywiście, że zapłacę.

- Może do tego nie dojdzie. Chris ma kilka pomysłów i...

- Chris - rzucił Robert. - Nie FBI. Nikt...

- On jest policjantem. Mówiłam ci. Obiecuj, że nie będziesz się wtrącał. Nie zadzwonisz na policję ani do FBI.

- Ashley, to nie tak. Zabierasz się do tego od niewłaściwej strony. Nic takiego ci nie obiecuję. Lauren jest moją córką, na litość boską.

- Naszą córką.

- Oczywiście. Gdyby była jednak pod moją opieką...

- Nie wracajmy teraz do tego. Proszę cię... nie, żądam, żebyś mi zaufał i pozwolił się tym zająć. Daj mi kilka dni. Powiedzmy, jeszcze dwa. Zrobisz to dla mnie?

Ale Robert nadal kręcił głową.

- Muszę to przemyśleć. Chryste, jestem w szoku. I chcę wiedzieć znacznie więcej na temat Chrisa Judge'a, w którym pokładasz tyle nadziei. Wierz mi, dowiem się.

- Doskonale. Rób, co chcesz. Tylko nie dzwoń na policję.

- Wiesz co, Ashley - powiedział, wstając - z tobą coś jest nie w porządku. Powinnaś...

- Do tego także lepiej teraz nie wracajmy - przerwała mu.

Ruszyli w stronę domu. Ashley zaczęła się zastanawiać, czy Robert przypadkiem nie ma jednak częściowo racji. Może rzeczywiście coś jest z nią nie tak. Może tylko udawała przez wszystkie te lata. Może nie powinna polegać na swoich sądach. Co właściwie wie o Chrisie? Znała go, owszem, ale to było dwadzieścia lat temu. Może popełniła błąd, dzwoniąc do niego - fatalny błąd.

Weszli do domu. Dziecko płakało, Luda krzątała się po kuchni.

- Ta kobieta jest obłąkana - oznajmiła Elaine, usiłując uspokoić dziecko. Chodziła po pokoju i kołysała je w ramionach.

Pauline, zdezorientowana, rozchełstana, skryła się w swojej sypialni. Vladimira nigdzie nie było widać. Nigdy nie radził sobie w sytuacjach kryzysowych.

Ashley na moment zamknęła oczy, potem je otworzyła.

- Posłuchaj - powiedziała do Roberta. - Daj mi tylko kilka dni.

Pozwól, że zajmę się tym po swojemu, a jeśli mi się nie uda, zadzwonimy

na policję, do FBI. Zaryzykujemy. Będę cię o wszystkim informować. Mogę dzwonić do ciebie co godzinę, jeśli chcesz.

Spojrzał na nią gniewnie.

- Już to widzę - mruknął i odwrócił się do swojej żony. - Nie mogłabyś uciszyć tego dzieciaka?

W końcu wyszli. Ashley stała na ganku, drżąc, i patrzyła, jak Robert podnosi swój rower jedną ręką. Popisywał się. O Boże, a Chris był świadkiem tego wszystkiego. Potem Robert odwrócił się do Chrisa.

- W porządku, daję wam trochę czasu - powiedział ostro - ale będę wam patrzył na ręce. Tu chodzi o moje dziecko.

Chris wstał spokojnie. Jego twarz była wyprana z wszelkich emocji.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Sam mam dziecko.

- Po prostu nie spieprz tego, człowieku, to wszystko.

- Spróbuję - odparł Chris łagodnie.

Robert odwrócił się, włożył dziecko do nosidełka i zagwizdał na psa. Elaine dęsała się, bo wcześniej podniósł na nią głos. Ashley czekała na ganku, aż odjadą. Nie mogła opanować drżenia. W domu Luda mamrotała coś do siebie, w pokoju Pauline ryczał telewizor włączony na cały regulator.

Miała ochotę krzyczeć. Krzyczeć, płakać, wyć. I tulić Lauren w swoich ramionach. Nagle znowu dopadła ją klaustrofobia, mimo że znajdowała się na wolnym powietrzu. Serce zaczęło jej bić szybciej, oddychała z trudem. Powoli osunęła się na kolana, kurczowo przytrzymując się poręczy.

- O Boże, Boże - jęknęła - a jeśli się mylę? A jeśli...?



Ale obok był Chris. Czują, że przykleknął obok, oderwał jej dłoń od poręczy i przytrzymał w swojej.

- O Boże, Chris. Powiedz mi, że nie oszalałam. Powiedz mi, że robię to, co trzeba!

- Nie oszalałaś. Robisz to, co trzeba - wyszeptał jej do ucha.

Po chwili przestała się dusić, wzięła głęboki oddech i znowu poczuła słońce na swojej skórze, ciepłe i łagodne.

RS

## *Rozdział 8*

Chris złożył mapy i wsadził je z powrotem do schowka w swoim samochodzie. Boże Wszchemogący, pomyślał, ten dom to jakiś cyrk. A Robertowi Marinowi wydaje się, że jest treserem lwów. Co za dupek.

Próbował sobie wyobrazić Ashley w roli żony tego człowieka, w jego domu, w jego łóżku, ale nagle ogarnęła go zazdrość. Wściekła, ślepa zazdrość. Zacisnął zęby. Co za głupota.

Teraz ma co robić. Jeden krok dziś, drugi jutro. Najpierw będzie potrzebował pomocy Jaya, tego mechanika. Poszedł więc do niego. Jay naprawiał coś, zanurzony pod maską starego subaru.

- Zastanawiałem się - zaczął - czy nie mógłbyś rzucić okiem na mój gaźnik. Widzę, że jesteś zajęty - wskazał ręką w stronę kilku samochodów, oczekujących na naprawę - ale myślę, że to tylko kwestia wysokości. Wolę się jednak upewnić, żeby nie przegrzać silnika.

Zgodnie z przewidywaniami, Jay był zachwycony możliwością dobrania się do mustanga.

- Nie ma problemu - powiedział. - To pewnie wtrysk, za mały na dwóch tysiącach pięciuset metrach. Zabierze mi to tylko kilka minut.

- Nie ma pośpiechu - odparł Chris. - Ale pomyślałem sobie... ten stary żółty jeep? To twój samochód?

- Tak. Ta furgonetka też i bmw.

- Hm. Może mógłbym pożyczyć tego jeepa na kilka godzin, a ty w tym czasie zajrzysz do mustanga? Zatankuję, oczywiście.

Jay wzruszył ramionami.

- Jasne, kluczyki są w środku. Dobrej zabawy. I już.

Ashley trudniej było przekonać.

- Chcesz pojechać do tej kopalni?

- Aha.

- Ale... jeśli Lauren rzeczywiście tam jest? Czy nie powinnam pojechać z tobą? Muszę tam być, kiedy... ja...

- To tylko rekonesans. Wątpię, czy Lauren tam jest. Ale muszę to sprawdzić. Sprawdziłem dom kuzyna, teraz muszę sprawdzić kopalnię.

- Ale... to wiele kilometrów stąd, aż pod Taylor Pass.

Chris wyciągnął rękę i założył kosmyk włosów za jej ucho. Potem nagle zorientował się, co robi. No, no, pomyślał.

- Chcę tam pojechać - zdołał w końcu powiedzieć - bo jest jednak jakaś szansa. Zaliczymy to i będziemy mogli ruszyć dalej.

Ashley patrzyła na niego niepewnie.

- Powinnam pojechać z tobą. Naprawdę - powiedziała bez tchu. Widział, że na samą myśl o kopalni zaczyna brakować jej powietrza. Nagle ogarnął go gniew, zimna wściekłość. Do diabła z tymi ludźmi, którzy doprowadzili ją do takiego stanu. Cieszył się, że Jerry Potts nie żyje. Miał nadzieję, że nie miał lekkiej śmierci.

- Nie - powiedział tylko. - Ty nie zbliżysz się do tego miejsca.

Skinęła głową.

Wyjechał później tego ranka starym jeepem Jaya. Miał na sobie dzinsy, wysokie buty, koszulę w kratę i granatową wiatrówkę. Ashley i Luda dały mu plecak z latarką, kanapkami, wodą i napojami. Zatrzymał się w mieście, żeby zatankować i kupić mapę White River National Forest, obejmującą setki kilometrów terenu wokół Roaring Fork Valley.

Zaskoczył go fakt, że Aspen, to małe, stare miasteczko, tak bardzo się rozrosło od czasu, kiedy odwiedził je ostatnio dwadzieścia lat temu. Ulice nadal były bardzo czyste i zadbane, obsadzone drzewami, a pod wiktoriańskimi kamieniczkami stały donice pełne kwiatów. Budynek sądu wyglądał tak samo, a znajdujący się przecznicę dalej stuletni Hotel Jerome został odnowiony. Przywrócono mu jego dawną świetność z końca XIX wieku. Po obu stronach Main Street stały pomalowane na jasne kolory wiktoriańskie domy, ale między nimi pojawiły się nowe, niektóre utrzymane w dawnym stylu, inne nowoczesne, w stylu Bauhaus. Mieściły wszystko - od agencji obrotu nieruchomościami po małe kafejki z ogródkami.

Miasto wyglądało jak z obrazka. Kiedy tankował, patrzył na gondolę, sunącą powoli w górę Aspen Mountain - przypomniał sobie, że miejscowi nazywają tę górę Ajax. U jej podnóża rozpięły się luksusowe hotele, które zastąpiły niewielkie prywatne pensjonaty. Tak wygląda postęp, pomyślał, zakręcając wlew paliwa.

Doszedł do wniosku, że Aspen pozostało takie samo - gościnne i pełne wdzięku. Miejscowi ciągle jeździli swoimi furgonetkami, z psami wystawiającymi głowy przez okna, wzdłuż ulic sunęli rowerzyści, a chodnikami ciągnęły tłumy pieszych. Studenci konserwatorium spieszyli do autobusów kursujących do namiotu Aspen Music Festival. A w tle wznosiły się góry. Ajax, najwyższa z tej perspektywy, dominowała nad miastem, tak stroma i bliska, że wyglądała jak zielona fala, która lada chwila się załamie.

A jednak Aspen się zmieniło. Zniknęły zarośnięte chwastami podwórka między domami i atmosfera epoki wiktoriańskiej. Tak,

pomyślał, jak wieloma innymi górskimi kurortami, Aspen także zawładnęły elity.

Ruszył wzdłuż Castle Creek Valley w stronę Taylor Pass. Wąska, kręta droga ciągnęła się trzydzieści kilometrów aż do Ashcroft.

To dawna górnicza osada także go zaskoczyła. Kiedy był tu przed laty, miasteczko składało się przede wszystkim z rozlatujących się, starych budynków. Teraz stało się bazą rowerzystów, a między odrestaurowanymi domami krążyły grupki turystów. Postęp. A jednak, kiedy na to patrzył, ogarnęła go nostalgia za czasami, kiedy koniec doliny należał do jeleni, łosi i nielicznych zapaleńców, którzy naprawdę kochali góry.

On i jego ojciec postarali się o licencję na polowanie na łosie w tej okolicy właśnie dlatego, że spotykało się tu niewiele ludzi. Chris od dwunastego roku życia aż do ukończenia studiów co roku przyjeżdżał tu z ojcem na tydzień.

Polowanie było poważną sprawą. Listopad w Górach Skalistych to często bardzo zmienna i trudna pora roku. Zbliża się zima, w nocy temperatura spadała czasem tak bardzo, że Chris nie był w stanie opanować szczykania zębów, kiedy po raz pierwszy odszedł od ogniska i wsunął się do swojego śpiwora. Często na zachodnich zboczach trzeba ratować myśliwych, zaskoczonych nagłymi zadymkami, które zasypują śniegiem ich obozy. Zdarzało się też, że babie lato trwało aż do połowy listopada, świeciło słońce i było ciepło, ale dla myśliwych nie były to sprzyjające warunki. Łosie nie schodzą bowiem w niższe rejony gór, dopóki nie zmusi ich do tego zima.

Chris i jego ojciec zaciskali więc zęby i modlili się o niskie temperatury.

- Mięso wjeżdża na stół - mawiał jego ojciec, kiedy spadał pierwszy śnieg i stada zaczynały schodzić niżej.

Dan Judge, ojciec Chrisa, urodził się w Kolorado i był inżynierem. Przez trzydzieści lat pracował dla firmy, która budowała autostradę międzystanową prowadzącą przez Góry Skaliste. Budowę rozpoczęto w latach pięćdziesiątych za prezydenta Eisenhowera, który marzył o chwili, kiedy cały kraj zostanie opleciony siecią autostrad.

- Cóż, chyba zapomniał o Górach Skalistych - mówił Dan.

Rok po zakończeniu budowy autostrady numer 70 Dan Judge zmarł po wylewie w pięćdziesiątym siódmym roku życia. Murile, matka Chrisa, przeprowadziła się do Nowego Orleanu, ponieważ chciała mieszkać bliżej córki i trójki swoich wnuków. Było to jeszcze przed narodzinami Richa. Teraz Muriel widywała Richa tylko kilka razy w roku. Jeszcze jeden smutny skutek uboczny rozwodu, myślał Chris. Jeszcze jedna rzecz, której nie mógł zmienić. Kiedy ożenił się z Joanie, to ona zajmowała się takimi sprawami - organizowała wyjazdy do Nowego Orleanu, zapraszała Muriel na cały miesiąc do Kolorado w czasie wakacji, a raz zaprosiła ją nawet do Newark. Dzwoniła do jego rodziny, wysyłała kartki z życzeniami urodzinowymi i prezenty na Boże Narodzenie.

Chris jechał zaniedbaną drogą w stronę Taylor Pass w bardzo melancholijnym nastroju. Cholera. Tęsknił za ojcem, tęsknił za matką i siostrą, które mieszkały tak daleko, tęsknił za czasami, kiedy co wieczór całował syna na dobranoc w czubek głowy. Tęsknił za swoim małżeńskim życiem. Tęsknił za wieczorami, kiedy kładł się do łóżka obok kobiety, którą kochał. Tęsknił za poczuciem bezpieczeństwa, związanym ze stałą

pracą i regularnymi wpływami na konto. A najbardziej tęsknił za tym przyzwoitym człowiekiem, jakim kiedyś był.

A Ashley tak bardzo mu ufała. Superman.

Na szczęście kiedy stara droga zaczęła piąć się stromo pod górę, musiał porzucić te nostalgiczne rozmyślania, zatrzymać się i włączyć reduktor. Jeep przypominał mu samochód, który jego ojciec trzymał przykryty brezentem obok ich garażu w Denver. Jeep Dana był czerwony, ale spłowiały od słońca i miał wytarte, postrzępione siedzenia. Tak, to mógłby być ten sam wóz, pomyślał, i znowu ogarnęło go poczucie straty.

Chris pamiętał jak przez mgłę niektóre odcinki tej drogi -- zwłaszcza te porośnięte po obu stronach iglastym lasem, wyżej jednak okolica wydawała mu się zupełnie obca. Zbyt zielona i bujna. Cóż, kiedyś bywał tu tylko w listopadzie.

Pamiętał jednak miejsce, w którym rozbijali obóz. Znajdowało się dalej, na Taylor Pass, pod czterotysięcznymi szczytami Elk Mountain Range. To były już prawdziwe góry. Wyżej, za pasmem kosodrzewiny, prawie nic nie rosło.

Inne samochody i grupki turystów dawno zostały za nim. Chris dotarł do obozu i zaparkował pod potężną sosną - tą samą, na której jego ojciec wieszał upolowane zwierzęta. Zaciągnął hamulec ręczny i przez chwilę siedział w samochodzie, wdychając głęboko chłodne, rzadkie powietrze. Patrzył na sosnę. Jego ojciec przybił do pnia drzewa tabliczkę z hakami. Część tabliczki wisiała tam jeszcze, na zardzewiałym gwoździu, przekrzywiona i na wpół przegniła.

Nieco dalej widać było też oczyszczone z trawy miejsce - pozostałości po ognisku. Wokół stało jeszcze kilka dużych kamieni,

częściowo osmalonych przez dym. Ale przez zgromadzony w środku popiół przedzierały się już zielone rośliny.

Chris wysiadł z samochodu i stanął w palącym letnim słońcu, ręce oparł na biodrach, czapkę baseballową nisko nasunął na oczy. Rozejrzał się dookoła.

Obozowisko było niewielkie, mniejsze niż je zapamiętał. Cóż, był wtedy chłopcem i wydawało mu się ogromne. Stał tam zbity z desek stół, a przy ognisku leżało kilka bali. Wielki, zielony wojskowy namiot na cztery osoby miał w środku mały piecyk. Boże, rozbicie tego namiotu zajmowało godzinę. A teraz, żeby rozbić namiot, wystarczy kilka minut.

- Kiedy się szarpniemy na prawdziwy myśliwski namiot? - spytał Chris, kiedy byli tu po ostatni raz.

Ojciec odwrócił się do niego.

- To pewne nasza ostatnia wyprawa, mały. W tym roku skończysz szkołę i będziesz tak zajęty, że zabraknie ci czasu na takie rzeczy.

Chris tylko się roześmiał.

- Żartujesz? Nigdy nie będę tak zajęty, żebym nie miał czasu na nasze polowania. W przyszłym roku przyjedziemy tu z prawdziwym namiotem. Ja go kupię.

Ojciec rzucił mu wiązkę gałęzi.

- Zobaczymy - powiedział tylko.

To była ostatnia wyprawa, a dla Chrisa także punkt zwrotny w jego życiu. Wtedy właśnie odnalazł Ashley.

Teren, na którym polował Chris tamtego dnia dwadzieścia lat temu, był zbyt skalisty, by jeździć po nim jeepem. Teraz stanął na środku obozowiska i usiłował sobie przypomnieć, jak daleko stąd znajdowała się



kopalnia. Osiemset metrów? Pamiętał swoją trasę tak dobrze, jakby szedł nią wczoraj. Tylko że wtedy był obciążony i niósł strzelbę. Teraz sięgnął do tylnej kieszeni spodni i namacał swój rewolwer, zatknięty za pasek spodni. Już miał go wyjąć i załadować, kiedy przypomniał sobie, że rewolwer jest już załadowany. Od ubiegłej nocy.

Uśmiechnął się do siebie pod nosem.

- Doskonale - powiedział na głos.

Ale teraz nie było czasu na ponure rozmyślania. Musi się rozejrzeć po okolicy, zanim zapadnie zmrok.

Odwrócił się i zastanowił chwilę. Tak, droga prowadziła tamtędy, między sosnami. Wszedł w las i w miarę jak posuwał się do przodu, miał wrażenie, że cofa się w czasie. Znowu miał dwadzieścia jeden lat, a przed sobą świetlaną przyszłość. Cały świat leżał u jego stóp.

Była piąta trzydzieści nad ranem.

- Zimno jak cholera - powiedział jego ojciec. - Masz ciepłe rękawiczki, mały?

- Tak, tato, wziąłem je.

Na zewnątrz było piętnaście stopni mrozu. Zimne powietrze wdzierało się do płuc. Chris pomyślał, że w dole, w Aspen, jest pewnie tylko minus pięć. Ale oni polowali na wysokości ponad trzech tysięcy metrów, gdzie było lodowato. Jak zawsze późną jesienią.

Księżyc nie świecił. Las spowijała nieprzenikniona ciemność. Chris szedł z rękami wyciągniętymi do przodu, żeby nie wpaść na drzewo albo nie zjechać z jakiegoś urwiska.

Przed nimi rozciągała się łąka. Zawsze dopisywało im szczęście na tych wysoko położonych łąkach. Przez jej środek płynął strumień, do

którego wychodziły z lasu łosie. Najpierw klepy z młodymi z wiosennych miotów. Potem byki. Jeden albo dwa. Czasem trzy, jeśli poprzedniego roku stado nie zostało za bardzo wytrzebione.

Najważniejsze było zachowanie ciszy. Należało poruszać się powoli i ostrożnie, zając upatrzone wcześniej miejsce i czekać na świt. Trzeba też uważać na kierunek wiatru. Łosie mają doskonały węch.

Ale tego ranka, na początku sezonu polowań na łosie, nad strumieniem nie pojawił się ani jeden byk. O siódmej trzydzieści Chris wyszeptał:

- Chyba nic z tego, tato. Musiały pójść do wąwozu.

- Albo jeszcze nie zeszły z gór - odparł, również szeptem, jego ojciec. - Co robimy? Może zjemy śniadanie, a potem rozejrzemy się tu trochę, poszukamy świeżych tropów?

Chris zazwyczaj był zachwycony perspektywą posiłku składającego się z jajek na bekonie, ale tego dnia prowadziła go chyba ręka losu.

- Hm - mruknął. - Wiesz co, spróbujmy jeszcze w wąwozie. Mam przeczucie, że tam będą.

- Jak chcesz. Dam ci szansę. - Dan wstał, stanął za obalonym pniem i przeciągnął się, a potem zarzucił strzelbę na ramię. - Ty idź górą i rozglądaj się uważnie. Ja wejść przesmykiem przy tym wielkim głazie. Wiesz, o którym mówię?

- Jasne. Jest jakieś czterysta pięćdziesiąt metrów w dół zbocza.

- Tak, to ten.

- Ruszajmy więc. Do zobaczenia za parę godzin w obozie, jeśli nic nie upolujemy.

- Dobra.

Zastanawiał się, dlaczego wybrał akurat tę drogę, kiedy rozstał się z ojcem i wszedł w las. Sądził, że naprawdę miał jakieś przeczucie, przeczucie, że coś się tego ranka wydarzy.

Las prowadził w stronę Castle Paek, wznoszącego się na jeszcze tysiąc metrów nad miejscem, skąd wyruszał. Wspinaczka była trudna i mimo iż szedł powoli, ciężko dyszał. Ale przynajmniej w końcu się rozgrzał. Zaczął się nawet pocić pod wełnianą czapkę.

Nigdy nie był po tej stronie wąwozu, choć dobrze znał ten teren. Musiał tu uważać na strome urwiska i kamieniste żleby. Ale zdarzały się też płaskie ustępy, z których mógł dojrzeć zwierzynę schodzącą w dół wąwozu. Dan czekał na nią na dole.

Później wydawało mu się, że to cud, iż w ogóle zauważył tę szczelinę w skale. W każdym razie wtedy uważał, że to szczelina. Zboczył trochę ze swojej trasy i ze zdumieniem odkrył wejście do starej kopalni srebra. Zardzewiałe, powyginane szyny prowadziły w głąb mrocznego wnętrza. Górnicy w dawnych czasach nie mieli łatwo, to pewne. Musieli wspinać się tak wysoko, pomyślał. W górach wszędzie były pozostałości po starych kopalniach. Wejścia do niektórych znajdowały się na trasach narciarskich i oznaczono je pomarańczową taśmą. Kiedyś pewien chłopiec zjeżdżający poza trasą wpadł do szybu i się zabił. Pisały o tym gazety.

To jednak była kopalnia na zboczu, do której wystarczyło wejść przez ziejącą w skale dziurę. Zauważył resztki drewnianego dachu, osłaniającego kiedyś wejście. Dostrzegł nawet starą posrebrzaną tabliczkę z wymalowanym łuszczącą się farbą napisem, która leżała obok tego, co kiedyś było drzwiami. Pochylił się, zdmuchnął z niej kurz i przeczytał: CLOSE CALL MINE\*. Tak, właściciel miał poczucie humoru.

\* coal mine - *kopalnia, a podobnie brzmiące call - krzyk, wołanie;*  
mine - *moje, mój, można więc to przetłumaczyć jako moje ostatnie wołanie*  
*(przyp. red.).*

Chris bardzo chciał zbadać to miejsce, ale wiedział, że ojciec na niego czeka. Wiedział też, co mógłby znaleźć w środku: zardzewiałe narzędzia, stare, jakich od dawna się nie używa. Fajna sprawa. Ale nie miał latarki, a Dan czekał.

Odwrócił się niechętnie i spojrzał w górę, wypatrując łośi. Słońce wychodziło już zza Castle Peak, rzucając długie smugi światła na dolinę. Wkrótce temperatura się podniesie.

Ruszył przed siebie, stąpając ostrożnie wśród kamieni i wystających z ziemi korzeni. I wtedy usłyszał ten dźwięk. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Łoś? Jeśli tak, musi być bardzo daleko. Zbyt daleko, by zawracać sobie nim głowę.

Ale stał tam, w promieniach porannego słońca, padających w stronę wejścia do kopalni.

- Cóż. - Uśmiechnął się do siebie. - Światło, które wskazuje drogę?

Wtedy znowu coś usłyszał. Słabe mruczenie. Odwrócił się w stronę, z której dobiegał dźwięk. Wiatr poruszał gałęziami, Chwilami zupełnie zagłuszając wszystko.

Tak, to przypominało ludzki głos, śpiewający jakąś piosenkę. I ten głos dobywał się z kopalni. Chris poczuł, jak podnoszą mu się włosy na głowie. Niemożliwe, pomyślał. To musi być jakieś zwierzę, które ma w kopalni kryjówkę. Ptak. Albo kojot czy lis...

I znowu. Chris zdjął strzelbę z ramienia i wycelował przed siebie. Czuł się jak idiota. A ojciec na niego czeka.

Zrobił krok w stronę wejścia do kopalni. Potem drugi. Wejście było czarne, kiedy wszedł do środka, znalazł się nagle w innym świecie, odcięty od rzeczywistości, od słońca i drzew, i postrzępionych wierzchołków gór. Nagle ogarnęła go panika; pomyślał, że kopalnia wciągnie go do wnętrza, skąd już nigdy nie zdoła się wydostać.

Teraz słyszał ten głos wyraźniej. Tak, dobiegał z jakiegoś położonego głębiej miejsca. Był niemal w stanie rozróżnić słowa. Ale oczywiście to niemożliwe, by tutaj znajdowała się istota ludzka.

Szedł przed siebie. Światło za jego plecami znikało szybko. W rękach ciągle trzymał strzelbę. W ciemności posuwał się ostrożnie, macając stopami podłogę.

Jęk. I grzechotanie łańcucha. Tak, coś tu było. Jezu.

Wciągnął w płuca wilgotne powietrze i się skrzywił. Śmierdziało stęchlizną.

- Halo?! - krzyknął, ale jego głos był słaby i drżący. Przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz: - Halo?

W pierwszej chwili odpowiedziało mu tylko echo. Dźwięk, który słyszał wcześniej, umilkł i zapadła cisza, absolutna cisza, w której usłyszał tylko wodę ściekającą po ścianach.

- Jest tu kto?! - krzyknął. Czuł się jak ostatni kretyn.

Głos, tak. Ludzki głos. Szloch, który brzmiał w tym miejscu zupełnie absurdalnie.

- Halo? Gdzie jesteś?

Kolejny szloch, głośniejszy, odbił się echem od ścian kopalni.

- Idę do ciebie - powiedział, słysząc mocno bicie swojego serca. To niemożliwe, by ktoś tu był. A jednak...

Zmusił się, by ruszyć z miejsca. Lufa strzelby ocierała się o ściany, zahaczając o sterczące z nich powyginane druty. W tej chwili Chris oddałby pięć lat życia za latarkę.

Korytarz zakręcił nagle, a za rogiem, o dziwo, było światło, słabe, migotliwe. Czyżby jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności? A może jest tu gdzieś wyjście na powierzchnię?

Światło?

Przyspieszył, potykając się, skręcił jeszcze raz i jeszcze raz. Od korytarza odchodziły węższe tunele prowadzące w różne strony. W powietrzu unosiła się mgła, na belkach stropowych rosły dziwne białe grzyby, fosforyzujące upiornie w ciemności.

- Halo? - spróbował jeszcze raz.

- Pomocy! - usłyszał i stanął jak wryty. Nie wiedział, jak długo tam stał, zmartwiały, nie wierząc własnym uszom i przerażony jak dziecko w ciemnym pokoju. W końcu jednak ruszył przed siebie, krok po kroku, najpierw powoli, potem szybciej, aż w końcu rzucił się niemal biegiem w stronę światła. Strzelbę zawiesił na ramieniu - wiedział już, że nie będzie mu potrzebna. To był głos kobiety.

Omal się o nią nie potknął. Siedziała skulona. W mdłym świetle lampy naftowej dostrzegł coś niebieskiego i...

- O mój Boże - usłyszał. A potem znowu szloch.

- Jezu. - Ukląkł przy niej. - Co...

Odwróciła do niego twarz. Brudną, otoczoną pasmami zmierzwionych włosów.

- Proszę... - jęknęła.

- Kto...? - zdołał tylko zapytać, nie wiedząc, co robić.

- Oni tu wrócą - powiedziała.

- Kto wróci?

Pokręciła głową i odsunęła się od niego.

- Kto wróci? - spytał znowu. Jęknęła, a potem odparła:

- Ci ludzie. Ci, którzy...

- Jesteś ranna?

Zaprzeczyła po chwili namysłu.

- Jak się nazywasz?

Milczała chwilę, jakby musiała się nad tym zastanowić.

- Ash... Ashley - wyszeptała w końcu.

- Ashley, Jezu, co ty tu robisz?

- Oni... oni mnie tu trzymają.

Znowu „oni”?

- No dobrze, w porządku... ale dlaczego stąd nie wyjdiesz?

Poruszyła się i Chris dostrzegł, że jest owinięta w niebieski śpiwór.

Wyciągnęła rękę. Zmrużył oczy, spojrział i otworzył usta. Na nadgarstku miała łańcuch.

- Dobry Boże.

- Oni niedługo wrócą - wyszeptała. - Pomóż mi, proszę.

Kim byli ci „oni”?

- Dobrze, dobrze. Boże. Drugi koniec łańcucha był przykuty do ściany. Szarpnął, ale łańcuch trzymał mocno.

- Próbowałam już! - krzyknęła. - Pospiesz się, proszę!

Lampa migiała i Chris wiedział, że kiedy skończy się nafta, zapadnie ciemność i...

- W porządku - powiedział. - Rozwalę ten łańcuch, dobrze?

Przestrzele go. Ale nie chcę, żeby coś ci się przy tym stało. Posłuchaj, wyciągnij rękę i owiń ją śpiworem.

- Pospiesz się.-Zaczęła płakać.

- O tak, teraz dobrze. Odwróć głowę. Będzie głośno. I nie ruszaj się.

Dobrze, Ashley?

Patrzyła na niego, ale nie był pewny, czy zrozumiała, co do niej mówił. W końcu jednak odwróciła twarz do ściany, wyciągnęła ramię i otuliła się śpiworem. A potem skuliła się, drząc, pod ścianą.

Oddałby wszystko, by mieć przy sobie mniej groźną broń.

Trzydziestka-szóstka była strzelbą na grubego zwierza i Chris wiedział, że jeśli nawet siła strzału nie wyrwie jej ramienia z barku, kula może odbić się rykoszetem od łańcucha i zabić ich oboje.

- Nie, to chyba nie jest jednak dobry pomysł - zaczął, ale ona znowu się rozplakała, przyłożył więc lufę do łańcucha, ustawił pod właściwym kątem, pomodlił się i pociągnął za cyngiel.

Huk był ogłuszający, kurz wzbił się w górę i zawirował w powietrzu. Chris poczuł gwałtowne szarpnięcie, przez jedną straszną sekundę sądził, że odstrzelił dziewczynie ramię. Wydawało mu się, że krzyknęła, ale tylko zadzwoniło mu w uszach.

Oszołomiony hałasem zrobił krok do przodu. W powietrzu unosił się ostry zapach prochu. Zaczął kaszleć.

- Ashley?

Usłyszał płacz i ruszył w jej stronę.



- Ashley? Wszystko w porządku?

Odpowiedziało mu ciche łkanie, przypominające skomlenie jakiegoś małego zwierzęcia.

Dotknął jej, namacał ramię dziewczyny. Trzymała je przyciśnięte do piersi. Z nadgarstka zwisał kawałek łańcucha.

- Nic ci nie jest? Pokaż rękę. Ale ona odsunęła się od niego.

Boże, co tu się działo? Kto to zrobił? Czy ta dziewczyna była jednym z tych dzikich dzieci, o których czasem piszą w gazetach?

- Ashley - powiedział znowu, starając się mówić spokojnie, łagodnie.

- Jesteś wolna. Widzisz? - Podniósł do góry koniec łańcucha. - Chodźmy stąd. Możesz chodzić?

Spojrzała na niego.

- A jeśli oni wrócą?

- Nie martw się, mam broń. Zaopiekuję się tobą. Nikt cię nie skrzywdzi, Ashley, obiecuję. - O kim ona mówi? - Dasz radę wstać?

Dziewczyna uklękła, śpiwór opadł na ziemię. Była bardzo chuda i mogła mieć jakieś piętnaście lat. Brudne ubranie. Od jak dawna siedziała w tej kopalni? Ujął ją pod ramię i delikatnie pomógł jej wstać.

Zachowywała się tak, jakby była rannym zwierzęciem.

- No - powiedział. - W porządku?

- Spieszmy się.

- Oczywiście, chwyć się mnie. O tak. Jeszcze chwilę, wezmę lampę, żebyśmy mogli coś zobaczyć. - Złapał metalowy uchwyt i szybko wrócił do niej. - To niedaleko, wyjście jest tuż za rogiem.

Drżała, objął ją więc ramieniem. W drugiej ręce trzymał lampę. Ojciec pewnie sądzi, że natknął się na potężnego byka, i poszedł za nim.

- Ashley, jak masz na nazwisko?

- Lacouter - odparła.

- Gdzie mieszkasz?

- W Aspen.

- A czy... hm... - Czuł, że musi być ostrożny. - Czy twoi rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

- Nie. Nie! Nie, nie, nie! O Boże!

- W porządku. Mamy jeepa, mój ojciec i ja. Zawieziemy cię do domu. Miała wąskie, kościste ramiona i trzęsa się jak w febrze. Szli podziemnym korytarzem, minęli pierwszy zakręt, potem drugi, aż ich oczom ukazało się światło dnia.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - powiedział.

- Jest... jest dzień - wymamrotała.

- Tak. Jest koło dziewiątej rano.

- Ja nie...

- Chodź, to jeszcze tylko kilka kroków, Ashley. Zatrzymała się przy wyjściu i zaczęła mrugać.

- Jasno, prawda? Jak długo... to znaczy... Kiedy ostatni raz byłeś na zewnątrz?

- Nie wiem - wydyszała.

Naprawdę dziwna historia, pomyślał. Chryste, może był jakiś powód, dla którego ona... Ale nie, nic nie mogłoby usprawiedliwić przykucia dziecka łańcuchem do ściany w kopalni.

Na zewnątrz dziewczyna otworzyła usta i zaczęła się rozglądać. Ciągle drżała, zdjął więc swoją pomarańczową kurtkę i zarzucił jej na ramiona.

Jak daleko stąd jest obozowisko? Osiemset metrów? Czy ona da radę przejść taki dystans?

Dziewczyna zachwiała się i omal nie upadła, wziął ją więc na ręce. Była lekka - właściwie prawie nic nie ważyła - i przyłgnęła do niego, jakby uznała go za samego Zbawiciela.

Tak dotarli do obozu. Kiedy próbował ją puścić czy choćby zmienić pozycję, przyciskała się do niego z całej siły i zaczynała płakać. Ojciec, który wrócił, gotów zmyć mu głowę za to, że nie pojawił się w umówionym miejscu, zdębiał na widok brudnej, przerażonej nastolatki, tulącej się do jego syna. Dan musiał usiąść za kierownicą jeepa, bo Ashley się go bała i przez całą drogę aż do Aspen Valley Hospital nie dała się oderwać od Chrisa.

Potem rozpętało się piekło, przyjechała policja, rodzice dziewczyny w stanie bliskim hysterii i media. Czujne oko kamer spoczęło na Christopherze Judge'u, studencie college'u i bohaterze.

Później Chris dowiedział się, że Ashley Lacouter została porwana i była przetrzymywana w opuszczonej kopalni srebra przez trzy miesiące.

Trzy miesiące.

Przez parę świrów, Jerry'ego i Daveya Pottsów, ojca i syna. Chcieli, by jakaś kobieta poprowadziła im dom, prała, sprzątała i gotowała. Ashley jednak odmówiła, a jej opór sprawił, że uwięzili ją w kopalni.

Chris często się z nią kontaktował. Poznał jej rodziców, Pauline i Kena, i odwiedzał Ashley na oddziale dla nastolatków szpitala w Denver.

Minęła zima i przyszła wiosna. Skończył college. I nadal odwiedzał Ashley, która cierpiała na klaustrofobię i zespół stresu pourazowego.

Nie pamiętał dokładnie, kiedy po raz pierwszy przyszedł mu do głowy pomysł, by zostać policjantem. Może już wtedy, kiedy odnalazł Ashley w kopalni. A może w czasie przed procesem Pottsów. Pamiętał chwilę, kiedy przygotowywał się do złożenia zeznań na procesie. Wychodził z budynku sądu, kiedy jeden z detektywów podszedł do niego i powiedział:

- Powinieneś pomyśleć o pracy w policji, synu.

Nie był pewny, kiedy podjął decyzję. Jednego dnia był absolwentem college'u bez sprecyzowanych planów na przyszłość, następnego złożył podanie o przyjęcie do Akademii Policyjnej.

Przygotowania do procesu Pottsów trwały prawie rok. Wtedy był już studentem akademii. Ciągłe odwiedzał Ashley w szpitalu, obserwował jej powrót do zdrowia. Mimo różnicy wieku stali się bliskimi przyjaciółmi. Przypuszczał nawet, z młodzieńczą pychą, że nastolatka zaczęła się w nim podkochiwać.

Proces rozpoczął się kilka tygodni po wyjściu Ashley ze szpitala. Miał wrażenie, że pomógł jej w tych trudnych chwilach. A potem wszystko się skończyło. Ashley wróciła do szkoły i ich kontakty ograniczyły się do rozmów telefonicznych raz w tygodniu, potem raz w miesiącu, a potem Ashley wyjechała do college'u i przez kilka lat przysyłali sobie tylko kartki z życzeniami świątecznymi.

Od czasu, kiedy wyjechał do Newark, kontakt urwał się całkowicie.

Drgnął i wrócił do rzeczywistości. Stał w kopalni, oświetlając miejsce, w którym znalazł Ashley wiele lat temu. Teraz nie było tu nic poza kurzem, który pokrywał posadzkę grubą powłoką. W powietrzu unosiła się mgła.

Oczywiście, że nikogo tu nie było. Czyżby rzeczywiście przypuszczał, że zostanie tu kolejną dziewczynę przykutą łańcuchem do ściany? Wiedział przecież, że prawdopodobieństwo, iż znajdzie tu Lauren, jest znikome. Nie było tu śladów wskazujących, że była tu ostatnio jakakolwiek istota ludzka, żadnych śmieci, żadnych odcisków stóp. Nic.

Po co właściwie tu przyjechał? Może w jakiś chory sposób chciał wrócić do przeszłości? Do tego jedyne momentu w swoim życiu, kiedy zrobił coś wartościowego? Nie, to przecież nieprawda. Dokonał jeszcze kilku innych dobrych rzeczy - kochał Joanie, spłodził Richa, pomógł Joemu. Tak, w jego życiu jest kilka jaśniejszych rozdziałów.

Więcej jednak było tych mrocznych. I one wydawały mu się miazdzące.

Odwrócił się i omiół korytarz światłem latarki. Brudna posadzka, ociekające wodą ściany. Nic, tylko ślady jego stóp i zapach stęchlizny. I ta dusząca, gęsta wilgoć, taka dziwna w suchym klimacie Kolorado.

Wyszedł z kopalni, mrugając i mrużąc oczy, w ciepły letni dzień. Wracając do obozowiska, myślał z ironią o swoim życiu.

Zdecydował się na pracę w policji z powodu Ashley. Do diabła, wiedział, że podkochiwał się trochę w dziewczynie, którą uratował. Jak każdy młody idealista sądził, że może zmienić świat na lepsze. Chciał być jednym z dobrych ludzi w białych kapeluszach. Chciał być narzędziem sprawiedliwości.

Od tego czasu bardzo się zmienił.

Szedł powoli w dół zielonego zbocza. Niebo było bezchmurne, szafirowe, drzewa kołysały się lekko na wietrze, szemrał strumień. Cykady nawoływały się tęsknie w trawie.

A Chris zastanawiał się, kiedy dokładnie jego życie wymknęło się spod kontroli.

RS

## Rozdział 9

Jak tam było? Ashley zmusiła się, by zadać to pytanie. Spojrzał na nią i lekko pokręcił głową. Nie tutaj.

Ashley rozpaczliwie chciała wiedzieć, jak wygląda kopalnia, tak samo jak rozpaczliwie chciała uciec od swoich wspomnień.

- Ludo, muszę porozmawiać z Chrisem, dobrze? Będę u niego, gdybyś mnie potrzebowała.

- *Da* - odburknęła Luda, pobrzękując talerzami.

Nad garażem Chris usiadł na wysłużonym fotelu, Ashley zaś usiadła na kanapie. Trzymała się prosto, dłonie wcisnęła między kolana. Spięta, ciekawa, oczekująca.

- A więc?

Skrzywił się lekko i podrapał po głowie.

- Było tak samo.

- Chris, proszę.

- Ciemno, wilgotno. Nikt tam od dawna się nie pojawiał, żadnych śladów, żadnych śmieci. Te same zardzewiałe szyny. - Wzruszył ramionami.

Zamknęła oczy.

- Pamiętam, że było tam zimno... Tak zimno. - Głos jej drżał. - Od samego początku marzłam okropnie, nawet latem. Stała temperatura około piętnastu stopni, w zimie i w lecie, tak w każdym razie szeryf zeznał na procesie. - Zadrżała i otuliła się ramionami, jakby poczuła na sobie dotknięcie przeszłości. - Pierwszy raz zrobiło mi się ciepło, kiedy dałeś mi swoją kurtkę.

- Tę pomarańczową. Mam ją jeszcze.

- I nadal polujesz?

- Nie, już nie. Mój ojciec zmarł rok po tej wyprawie.

- Przykro mi. Boże, naprawdę mi przykro. Mówiłeś mi już o tym?

- Chyba nie. Miałaś dosyć problemów.

- Przeprosiłeś go ode mnie? Wiesz, za to, że tak się go bałam? Wiem, że to śmieszne, ale... ja wtedy nie myślałam racjonalnie.

- Nie było potrzeby. On to rozumiał.

- Zostało coś w tej kopalni? Łańcuch, uchwyt w ścianie?

- Wszystko zostało zabrane jako dowody.

- No tak, oczywiście.

- To tylko jama w zboczu góry, Ashley.

- Tak... i nie. - Podniosła na niego oczy. - To było piekło.

- Kiedyś, jak sądzę, to miejsce okazało się dla kogoś szczęśliwe. Jakiś przedsiębiorca zarobił tam mnóstwo pieniędzy.

- Nie. - Pokręciła głową. - Ta kopalnia nigdy nie była szczęśliwym miejscem.

- Cóż, pojechałem tam, ale tym razem była to strata czasu. Lauren tam nie znalazłem, Potts też nie. Wiedziałem, że to mało prawdopodobne, żeby tam wrócił, ale czasem przestępcy robią bardzo głupie rzeczy.

- Davey Potts nie jest głupi.

- Nie.

Było jej zimno mimo upału, zastanawiał się, czy jej o tym powiedzieć?

- Posłuchaj - zaczął - dzisiaj już nic nie mogę zrobić, ale jutro rano zadzwonię znowu do Murraya Kleina z biura prokuratora stanowego.



Może załatwi mi rozmowę z facetem, który siedział w jednej celi z Pottsem. Więźniowie często się sobie zwierają. Potts zapewne przygotowywał się do tego porwania przez wiele miesięcy, jeśli nie lat. Może to właśnie trzymało go przy życiu. Może rozmawiał o swoich zamierzeniach z tym gościem, może nawet się tym przechwalał. Ktoś, z kim Potts był blisko w pudle, może wiedzieć wszystko o jego planach.

- Naprawdę tak myślisz? Wzruszył ramionami.

- Historia zna wiele takich przypadków.

- Ale... dlaczego ten człowiek miałby ci coś powiedzieć? To znaczy...

- Posłuchaj, on może nic nie wiedzieć. A jeśli wie, postaram się to z niego wyciągnąć. Chcę po prostu spróbować innej drogi. Pierwsze dwie okazały się ślepyimi zaułkami.

Kiwnęła głową.

- Zastanawiam się, czy warto rozmawiać z kuzynem Potts z Glenwood Springs. Można by...

- Wątpię, czy uda nam się coś z niego wydobyć. Mogę skontaktować się z jego policyjnym kuratorem, ale to ryzykowne, nie jestem już w policji.

- A ta chata w Marble, gdzie kiedyś mieszkali Pottswie?

- Została sprzedana wiele lat temu. Pamiętasz? Prawnik Potts to załatwił.

- Och, no tak. Pewnie już o tym słyszałam.

- W tej sprawie będę twardy, Ashley. Ale policja... do diabła, mogliby wziąć w obroty jego kuzyna, zorganizować poszukiwania...

- Nie.

Podniósł dłonie.

- Tak, wiem. Cóż, spróbuję, ale...

Pochyliła się do przodu.

- Naprawdę mi pomagasz. Wiedziałałam, że mi pomożesz. Dlatego do ciebie zadzwoniłam.

- Słuchaj, to, co robię, to rutynowe działania policyjne, a policja nie potrzebowałaby nikogo prosić o przysługi.

- Ale Davey dowiedziałaby się, że samochody policyjne stoją przed domem. A wtedy... wtedy... - Nie była w stanie tego wypowiedzieć.

- Przecież nie możesz być tego pewna.

- Mogę. I jestem. Dowiedziałaby się. - Zamrugła, by powstrzymać łzy, i usilnie próbowała opanować drżenie rąk. - W porządku, jutro zatem jedziesz do Canon City?

- Tak, chyba że Murray nie będzie w stanie załatwić mi tego widzenia.

Następnego ranka ledwie zdążył upić pierwszy łyk kawy, Ashley podeszła do niego.

- Jadę z tobą.

Zmarszczył brwi i zaczął coś mówić, ale przerwała mu.

- Nie zostanę w tym domu wariatów. Myślałam o tym całą noc. Jadę z tobą. Patrzył na nią poważnie przez dłuższą chwilę, potem wymruczał coś niezrozumiale.

- Weź komórkę - powiedział w końcu.

Luda i Vladimir mieli dwa następne dni wolne, jak zwykle czwartek i piątek. Ashley poprosiła ich, by zmienili plany. Vladimir kiwnął głową, ale Luda była niezadowolona.

- Telefon dzwonić cały dzień do Lauren, a ja nie lubię powtarzać te kłamstwa, że ona na wakacjach. Nie. A Vladimir mieć zabrać mnie do te gorące źródła w Glenwood Springs. Od dawna to planować.

- Wiem, Ludo. Ale możecie tam pojechać następnego dnia.

- I Vladimir mieć w piątek dentysta. On mnie tu zostawić samą z twoja matka. To nie w porządku.

Dwa tygodnie wcześniej Luda pilnowała Pauline, podczas gdy Ashley i Vladimir pojechali po sprawunki. Pauline wyszła z domu i wybrała się do miasta kupić wełnę. Najwyraźniej w tym czasie zapomniała, gdzie mieszka, i poszła do starego domu na Garnish Street. Kiedy wrócili właściciele, była zupełnie zagubiona. Na szczęście wszyscy znali Pauline - i policja odwiozła ją do domu. Luda odchodziła od zmysłów i przez wiele dni burczała coś gniewnie po rosyjsku.

- Potrzebuję cię, Ludo - powiedziała Ashley ostro. - Nie chciałabym ci niczego wypominać, ale zmuszasz mnie do tego. Tyle razy szłam wam na rękę, sama nie wiem już ile. I zaczynam się zastanawiać, czy ciebie w ogóle obchodzi, co stanie się z Lauren.

Luda mruknęła coś pod nosem.

- Vladimir mógłby zabrać Pauline na bingo w Klubie Seniora w piątek. Pauline może zostać tam całe popołudnie, a on w tym czasie poszedłby do dentysty. Dobrze?

- Twoja matka nie lubić bingo.

- Ludo, po prostu poproś go, żeby ją tam zabrał. Na litość boską, ona sama nie bardzo wie, co lubi, a czego nie, i nie będzie pamiętała, że grała w bingo pięć minut po wyjściu z klubu.

- Bingo - mruknęła Luda.

Potem Ashley poinformowała matkę, że wyjeżdża na kilka dni.

Pauline zaczęła narzekać.

- Co mam powiedzieć Lauren, jak wróci do domu? Lepiej zadzwoń do niej, do Hayley. Sama jej powiedz, że wyjeżdżasz z tym człowiekiem. To nie moja sprawa. Ty jesteś jej matką... - urwała i zmarszczyła brwi.

Ashley spróbowała jeszcze raz.

- Mamo, pamiętasz? Lauren nie ma u Hayley. Została... - Ale nie dokończyła. Nawet jeśli Pauline zrozumie, co się stało, i tak zaraz znowu o tym zapomni. Lepiej, żeby sądziła, iż Lauren jest u przyjaciółki.

- Wyjeżdżam. Luda i Vladimir zostają, więc...

- No to jedź. Jedź z tym... Chrisem. Och, sama nie wiem, może Robert nie jest dla ciebie odpowiedni. Ale co ja mam mu powiedzieć?

Boże. Ashley przewróciła oczami.

- Słuchaj, nic nie musisz mu mówić. Ja się tym zajmę. Oglądaj telewizję, nie zapominaj o posiłkach i tabletkach. Nie kłóć się z Ludą i Vladimirem. Możesz to dla mnie zrobić, mamo?

- Świetnie sobie poradzimy, Ashley. Nie musisz się martwić.

- Doskonale. Masz numer mojej komórki na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała.

Chris poszedł do mieszkania nad garażem, by zadzwonić do Murraya Kleina, Ashley zaś zaczęła się pakować. Kręciło jej się w głowie. Ten dom doprowadzał ją do szału. Canon City, pomyślała, musi myśleć tylko o tym. Tylko o tym. Musi się skoncentrować i pomodlić, by Chrisowi udało się czegoś dowiedzieć od kumpla Potts'a. Jeśli Chrisowi uda się w ogóle załatwić to spotkanie. I jeśli ten człowiek w ogóle coś wie. Musi myśleć pozytywnie. Teraz może się tylko o to modlić.

Ile czasu ich nie będzie? Kilka dni. Więcej może, jeśli dowiedzą się czegoś i pójdą po tropie. Co zapakować?

Miała na sobie sportowe spodnie w kolorze khaki i lnianą różową koszulę - wyglądała w niej blado i bezbarwnie. Nie cierpiała różu, ale teraz to bez znaczenia. Zresztą, kto będzie na nią patrzył?

Sweter, na wypadek gdyby noce były chłodne. Dżinsy, bielizna. Szczoteczka do zębów i... Zadzwoiła komórka. Podniosła ją szybko z niezasałanego łóżka i wzięła głęboki oddech, co ani trochę jej nie pomogło. Gdzie jest Chris? No tak, w mieszkaniu...

Rozległ się drugi dzwonek. Odebrała i usiadła na brzegu łóżka, czując, że kolana się pod nią uginają.

- Halo? - wyszeptała. Ten głos. Jego głos.

- Ash-lee. Jak się dziś miewasz? Zagryzła wargi.

- Pozwól mi porozmawiać z Lauren. Proszę - dodała, przypominając sobie, co mówił Chris. Potts powinien sądzić, że ma nad nią władzę.

- Cóż, wiesz przecież, że tego nie zrobię.

- Proszę- powtórzyła- proszę, nie krzywdź mojego dziecka. Zrobię wszystko. Ile chcesz pieniędzy? Ojciec Lauren...

- Zamknij się i słuchaj. Mojemu kuzynowi nie podoba się, że wydzwania do niego jakiś obcy facet i wypytuje o mnie. A w ogóle, co to za jeden, Ash-lee? I skąd, u diabła... - Davey na moment zawiesił głos - skąd, u diabła, wie o moim kuzynie?

- Ja... naprawdę nie mam pojęcia. Może Robert... mój były mąż, kogoś wynajął.

- Ostrzegalem cię, żebyś na niego uważała.

- Tak, tak, ale mówiłam ci, że Robert mnie nie słucha... naprawdę próbowałam, ale...

- Jeśli jeszcze raz zdarzy się coś takiego, będziesz mogła załatwić pogrzeb dla swojego bachora - rzucił Davey i się rozłączył.

Kiedy przyszedł Chris, ciągle siedziała na brzegu łóżka, ściskając w ręce telefon komórkowy.

- On... zadzwonił - powiedziała, podnosząc na niego oczy. - Wie, że kontaktowałeś się z jego kuzynem. Wmówiłam mu, że to pewnie sprawka Roberta. Ale... Chris, nie możemy więcej dzwonić do tego kuzyna ani nawet dowiadywać się o niego. Naprawdę nie możemy.

- Nie będziemy więc.

- Mam nadzieję. - Przełknęła ślinę. - Boże, mam nadzieję, że to nie pogorszyło sytuacji Lauren.

- On robi to celowo. Cieszy się swoją władzą.

- Nie mogę... nie mogę tego znieść. Jego głosu, jego pogroźek. To takie okropne.

Podszedł bliżej, kucnął przy łóżku i położył dłoń na jej ramieniu.

- Dobrze sobie radzisz, Ashley.

- Nie wiem... sama nie wiem. Tak się boję.

- Wszyscy się boimy - odparł cicho.

Wyruszyli przed dziesiątą rano, na wschód, autostradą numer 82 w stronę Independence Pass. Więzienie stanowe w Kolorado, do którego Davey Potts został przeniesiony z poprawczaka, kiedy skończył osiemnaście lat, znajdowało się w zespole więziennym Canon City, cztery godziny drogi od Aspen.

Chris prowadził swojego mustanga pewną ręką, krętą drogą wiodącą przez Continental Divide. Kiedy minęli przełęcz, ostatni ślad cywilizacji, wymarłe miasteczko, niegdyś kwitnąca osada górnicza, został za nimi. Było pochmurno i chłodno. Nad przełęczą wznosiły się ośnieżone jeszcze szczyty gór.

- Nie jechałem tą drogą od dwudziestu lat - powiedział Chris - a teraz nagle jadę nią dwa razy w ciągu kilku dni.

- Chcesz, żebym usiadła za kierownicą? - spytała Ashley. - Może później?

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Lepiej nie.

- Jestem dobrym kierowcą.

- Pamiętam, kiedy jeszcze leżałaś w szpitalu, najbardziej zależało ci właśnie na tym.

- Na czym?

- Na tym, żeby dostać prawo jazdy.

- Och. Teraz to wydaje mi się mało ważne. Lauren ma piętnaście lat i też o niczym innym nie mówi. Nie może się doczekać. Chyba pamiętasz...

- Ukryła twarz w dłoniach. - Och, Lauren. - Wyprostowała się. - Nie, nie będę się rozklejać, przysięgam.

- Daj spokój. Nie mam nic przeciw temu.

- Ale ja mam.

Komórka zadzwoniła, kiedy dojeżdżali do Twin Lakes. Serce Ashley zaczęło walić jak młotem.

- Odbierz - powiedział Chris. Nacisnęła guzik.

- Halo?

- Jezu, Ashley! Gdzie ty, do diabła, jesteś?

- Robert-jęknęła.

- Słuchaj, obiecałaś, że będziesz mnie informować, co robi ten Judge.

Zadzwoiłem do Pauline, a ona mi mówi, że wyjechałaś!

- Robert, proszę. - Zaczęła drzeć na całym ciele.

- Daj mi telefon - powiedział Chris.

- Nie, Chris, ty prowadzisz, na litość boską.

- Co? Co? Kto to był? Ashley, do cholery!

- Posłuchaj, jadę z Chrisem do Canon City. Chris chce porozmawiać z jednym z więźniów, który znał Daveya Potts, i sprawdzić, czy ten człowiek nie wiedział czegoś o jego planach.

- Co za śmieszny pomysł! To tak zabrał się do szukania Lauren?

- Tak. - Boże, skamlała jak pies.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Miałam zamiar zadzwonić do ciebie, kiedy się czegoś dowiemy.

Naprawdę.

- Cholera, nie powinnaś wyjeżdżać z miasta bez mojej wiedzy.

- Przepraszam.

- Potts się z tobą kontaktował?

- Tak.

- A Lauren? Pozwolił ci z nią porozmawiać?

- Nie. Jeszcze nie.

- Czego on chce? Zażądał pieniędzy?

- Nie. Na razie wydaje się, że chce się zemścić. Ale jesteśmy pewni, że... To znaczy Chris uważa, że Lauren nic nie grozi tak długo, jak...



- Chris. A cóż on, do diabła, może wiedzieć? - powiedział Robert i rzucił słuchawkę.

- Nienawidzę tego człowieka - mruknęła Ashley przez zaciśnięte zęby.

- Nie zawsze tak było.

- Mój błąd.

Na lunch zatrzymali się w małym miasteczku o nazwie Salida, leżącym nad Arkansas River. Meksykańską restaurację, którą wybrał Chris, udekorowano palmami w donicach, błękitnymi kafelkami i pluskającą fontanną, a w dużej klatce siedziała sztuczna papuga. Kelnerki jednak były czystej krwi nastolatkami z Kolorado, dorabiającymi sobie w czasie wakacji. Ta, która ich obsługiwała, miała na sobie krótkie spodenki, podkoszulek i sandaalki, w nosie złote kółko i kolejnych sześć w jednym uchu.

- Lauren chce zrobić coś takiego - powiedziała Ashley, kiedy dziewczyna przyjęła zamówienie i odeszła.

- Co? Chce zostać kelnerką?

- Nie, zrobić sobie dziesięć dziurek w uchu.

- Och.

- Wszystkie dziewczęta w Aspen mają na to ochotę, ale na razie żadna z matek nie pozwoliła na to. Jeśli jedna zmięknie, wojna będzie przegrana.

- To jest wojna?

- Czasami.

- Cieszę się, że mam syna.

- Ty pewnie i tak nie miałbyś o niczym pojęcia. Bóg mi świadkiem, że Robert nie ma.

Na stole pojawiły się talerze z burito. Chris zaczął jeść, najwyraźniej był głodny. Ashley obserwowała go przez chwilę. W końcu musiał poczuć na sobie jej spojrzenie, bo przerwał i podniósł wzrok.

- Nie smakuje ci? - spytał.

- Przyglądam ci się po prostu.

- Dostrzegłaś coś interesującego?

- Zabawne. Jesteś taki sam, a jednak inny. Wiesz, o co mi chodzi?

- Niezupełnie. Kiedy się poznaliśmy, byłem jeszcze dzieciakiem. To oczywiste, że się zmieniłem.

- Nie tak bardzo. Myślę, że teraz wyglądasz lepiej.

- Jezu Chryste, Ashley.

- Co się stało w Newark? - zapytała i pochyliła się do przodu.

Zmrużył oczy.

- Żona ode mnie odeszła. Wypaliłem się zawodowo. Odszedłem z policji.

- Ale coś się tam wydarzyło.

- Jedz.

Ashley wzięła do ręki widelec.

- Czy twoja żona cię nienawidzi? Zawahał się.

- Nie. Tylko już mnie nie lubi.

- Jest dobrą matką?

- Tak sądzę.

- A ty, jesteś dobrym ojcem?

- Lepszym, odkąd wróciłem do Denver. Słuchaj, co to ma być?

- Próbuję cię zrozumieć.

- Nie warto, wierz mi.

- Bzdura.

- Doskonale. Jak uważasz. - Zaczął znowu jeść, celowo ją ignorując.

Ashley przełknęła kilka kęsów, z roztargnieniem spoglądając w okno.

W dół rzeki płynęło kilka kolorowych pontonów pełnych turystów w równie barwnych ubraniach i kapokach. Spływy były niezwykle popularne latem w Kolorado. Kiedyś Ashley też wybrała się na taki spływ z Robertem i Lauren. Spędzili bardzo miły dzień. Lauren ogromnie się podobało.

- Fajna sprawa - powiedział Chris.

- Aha. Byłeś kiedyś na takim spływie?

- Jasne, w szkole średniej.

Widziała, że jest skrupowany. Czy chodziło o jej pytania, czy o samą jej obecność? Żałowała, że nie potrafią wrócić do tej niewinnej przyjaźni, która łączyła ich wiele lat temu.

Zjadła jeszcze trochę swojego dania - była to mocno przyprawiona wołowina z serem i cebulą, polana bardzo pikantnym sosem. Nagle przypomniało jej się, że już kiedyś jadła z Chrisem lunch. Dostała przepustkę ze szpitala, a Chris zabrał ją do Taco Bell. Była szczęśliwa, że została wypuszczona z więzienia i mogła jeść tacos, jak każda normalna nastolatka. Z przystojnym młodym mężczyzną. Starszym od niej. W którym się podkochiwała.

Gdyby mu wtedy powiedziała... Może ich życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Nie wyszłaby za Roberta, Chris nie ożeniłby się ze swoją Joanie i...

Lauren mogłaby być ich córką. Nigdy by się nie rozstawali. Szczęśliwi. Razem spełniłyby się jej marzenia, które snuła, leżąc w szpitalu. Modliła się, żeby poczekał, aż ona dorośnie. Był jej przyjacielem i rycerzem na białym koniu; był jej Supermanem. Kończył college i wydawał się o tyle od niej starszy. Całkiem dorosły.

Czy naprawdę się w nim zakochała? Czy to, co do niego czuła, było tylko wytworem jej wyobraźni, spełnieniem potrzeby, zupełnie naturalnej, biorąc pod uwagę okoliczności?

Teraz zastanawiała się, dlaczego nigdy mu nie powiedziała, co do niego czuła. Wstydziła się pewnie, była zakłopotana. Tchórz.

Mogła tylko mieć nadzieję, że nauczyła się czegoś na swoich doświadczeniach.

- Teraz więc już nie jesteś w policji - powiedziała.

- Zgadza się.

- I nie planujesz powrotu do pracy?

- Ja... miałem szczęście i wygrałem sporą sumkę.

- Grałeś?

- Jasne, mnóstwo ludzi gra.

- Tak bardzo chciałeś zostać policjantem, Chris. Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu z tego zrezygnowałeś.

Czekała na jego odpowiedź.

- To czas, Ashley. Kiedyś byłem młody i nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak ciężka jest praca tajniaka i jaki będzie miała wpływ na mnie i moją rodzinę.

- Byłeś tajniakiem? No, no.

- Nic wielkiego. Rutynowe działania. - Upił łyk mrożonej herbaty i wytarł usta serwetką. - Dostałem zadanie do wykonania, miałem się zaprzyjaźnić z jednym facetem z mafii. Płotką. Nikim ważnym.

- Podobało ci się to?

- Tajne zadania? Tak, podobały mi się. - Zastanawiał się przez chwilę. - To było wyzwanie. I sprawdziłem się w tym.

- Naprawdę.

Odchylił się na oparcie i coś w jego wzroku pozwalało przypuszczać, że myślał o przeszłości. Ashley nagle poczuła, że musi się dowiedzieć, co takiego zrobił. Zrozumieć, co się z nim stało od czasu, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

- Powiedz mi - poprosiła cicho.

- Och, myślałem po prostu o pewnej sytuacji - powiedział z uśmiechem. - Sal, ten facet, z którym się miałem skumplować, postanowił załatwić psychiatrę od psów. Nie żartuję. Pies Sala był szurnięty, gryzł wszystkich i Sal zabrał go do psychiatry. Psychiatra stwierdził, że cierpi na nierozwiązane problemy z dzieciństwa. Nie potrafił mu pomóc i poradził Salowi, żeby go uspił. Sal wykrobał skądś pięć tysięcy i poprosił bossa, żeby wynajął zabójcę, który załatwi psychiatrę. Musieliśmy go długo namawiać, żeby odstąpił od tego zamiaru, tłumaczyć, że nie powinien tego robić, bez względu na to, jak jest wkurzony. Była niezła scena.

- Lubieś Sala.

- Tak. Był moim kumplem. -- Przestępcą, ale kumplem. Spojrzał na nią uważnie.

- Wiesz, Ashley, jedno z drugim ma niewiele wspólnego.

- Sal był miłym facetem?

- Tak, można tak powiedzieć. Był chudy i miał wielki nos podobny do ptasiego dzioba. Miał dwoje dorosłych dzieci i żonę, którą uwielbiał. Wstawał rano i szedł do pracy, jak wszyscy. Tyle tylko, że ta praca... to były nielegalne interesy. Ale on inaczej na to patrzył. - Spojrzał na Ashley i uśmiechnął się krzywo. - Tak, to był fajny gość.

- To musiało być trudne.

- Taką miałem pracę.

- A kiedy odszedłeś, co stało się z Salem?

Jego twarz zmieniła się nagle tak bardzo, że nie mogła rozpoznać w nim Chrisa.

- Cóż, powiedzmy, że odszedł z tego świata.

- O Boże, Chris.

Poruszył ręką - był to typowo włoski gest - i Ashley uświadomiła sobie, że na moment znowu stał się kimś, w kogo się kiedyś wcielił.

- To już skończone. Cóż, nieźle mi płacili za tę robotę.

- Ale to okropne. To musiało w tobie zostać, ten ból związany z robieniem takich rzeczy.

- Wiedziałem, w co wchodzę. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Astronauci też wiedzą, że to, co robią, jest bardzo niebezpieczne, ale muszą to robić. To praca, Ashley.

Pokręciła głową.

- Nie. Mój Boże, to znacznie więcej niż praca. To twoje życie, to...

- To już skończone i tyle. Zapomnij o tym. Pochyliła się do przodu.

- Ty o tym nie zapomniłeś.

- Dlaczego tak myślisz? Spojrzała mu w oczy i milczała.

- No już, rozchmurz się. W mojej przeszłości nie ma nic interesującego.

- Nie musisz przy mnie wkładać tej maski, Chris.

- Maski? Jezu...

- Chris.

Spojrzał w okno i przez chwilę widziała tylko jego profil. Prosty nos, mocno zarysowaną szczękę, zarost na brodzie.

- Chris? - ponagliła go.

- Zapewniam cię, że nie chcesz nic wiedzieć o tych sprawach. Nie chcesz wiedzieć, kim wtedy byłem ani co robiłem - powiedział z goryczą, ciągle patrząc w okno.

Och, chcę, pomyślała. Chcę wiedzieć wszystko.



## *Rozdział 10*

Robert Marin pochylił się do przodu i oparł łokcie na lśniącym blacie, przyciskając słuchawkę do ucha. Po drugiej stronie wysokich tekowych drzwi, oddzielających gabinet w jego domu od salonu, słyszał płacz dziecka i uspokajający głos Elaine. Zmarszczył brwi.

- Zaczekaj, Kingston, nie dosłyszałem. Dla kogo pracował? - Słuchał przez chwilę. - Aha. W porządku. Policja Northern Jersey? Interesujące. Kiedy odszedł?

Prywatny detektyw mówił coś przez kolejną minutę.

- Naprawdę? Więc Chris Judge wrócił do Denver ubiegłej zimy po wewnętrznym dochodzeniu?

Znowu słuchał.

- Hm. Zaczynam rozumieć. Tajniak, który zboczył z drogi cnoty. A w każdym razie jest o to podejrzewany.

Mark Kingston był najlepszym prywatnym detektywem, tak w każdym razie powiedział Robertowi jego adwokat, który mu go polecił. Mieszkał w Denver i wcześniej pracował w FBI, niestety kontuzja zmusiła go do odejścia. Teraz działał na terenie Kolorado, miał jednak kontakty wszędzie, od Nowego Jorku po Miami. Na razie zajmował się tą sprawą przez jeden dzień, a już zdążył zebrać istotne informacje na temat tego dupka, któremu Ashley tak wierzyła.

Kingston przekazał Robertowi wszystko, czego się dowiedział o Chrisie Judge'u, łącznie z nudnymi szczegółami z jego życiorysu - ojciec nie żyje, był inżynierem; matka, żyje i mieszka niedaleko córki w Nowym



Orleanie; żona z synem przeprowadziła się z nim do Newark, ale wróciła do Kolorado, gdzie dwa lata temu wniosła pozew o rozwód.

- To mnie nie interesuje - uciął krótko Robert. - Chcę tylko wiedzieć, czy ten człowiek ma szansę odnaleźć moją córkę. Nie obchodzi mnie nawet, co takiego przeszkrobał. Czym się zajmował w policji w Newark? To znaczy, czy w ogóle miał coś wspólnego z porwaniami?

- Nie. Nigdy. Wygląda na to, że był tajniakiem i wniknął w mafię. Narkotyki, spora kasa, która zaginęła z samochodu jednego z mafiosów. Z tego, czego dowiedziałem się dotychczas, wynika, że nigdy nie udowodniono, iż w samochodzie były jakieś pieniądze. Tyle tylko, że po aresztowaniu facet wrzeszczał wniebogłosy o „osobistych oszczędnościach” - niezłe, co? - cokolwiek się stało, kasa zniknęła. Wygląda na to, że Chris Judge był jedyną osobą, która miała dostęp do samochodu, zanim na miejsce przyjechała policja, żeby zwinąć dilerów. Przesłuchali Judge'a i na tym się skończyło.

- Dlaczego zmusili go do odejścia?

- Cóż, wszyscy wiedzieli, że jest winny. Poza tym za długo pracował jako tajniak, przestał być pewny. To się zdarza. Agenci czasami tracą rozeznanie w tym, kim naprawdę są. Kumplują się z ludźmi po obu stronach barykady i stają się cyniczni.

- Och?

- Tak, po jakimś czasie zaczynają dostrzegać, że po obu stronach są złodzieje i korupcja. Zwłaszcza w takich miejscach jak Newark.

Robert myślał przez chwilę o tym, co usłyszał. Potem westchnął i wyjrzał przez okno, wychodzące na Independence Pass i cztery główne stoki narciarskie Aspen Mountain, Aspen Highlands, Buttermilk i dalej

Snowmass. Z okien swojego domu widział nawet grzbiet Hayden Park i wierzchołek majestatycznej Pyramid Peak. Ciągące się na długości około pięćdziesięciu kilometrów pasmo górskie tworzyło Continental Divide. W Denver taki dom kosztowałby go półtora miliona dolarów. W Aspen musiał zapłacić pięć milionów. Tyle kosztował ten widok. W tej chwili jednak Robert nie zwracał uwagi na pejzaże.

- Muszę ci powiedzieć- mówił Mark Kingston - że przepracowałem w FBI osiemnaście lat. Pracowałem kilka razy dorywczo nad porwaniami i moim zdaniem twoja żona popełnia poważny błąd, że nie zgadza się na powiadomienie federalnych.

- Uparła się. Mówiłem ci już.

- Rozumiem. A właściwie ma trochę racji. Gliny popełniają błędy. Częściej niż chciałbym przyznać. Ale twoja córka, Lauren, miałaby większe szanse, gdyby w poszukiwania włączyło się FBI.

Robert znowu przez chwilę myślał. Potem wyprostował się i powiedział:

- Doceniam twoje rady, Kingston. Obiecałem żonie, że dam jej kilka dni, ale to był chyba błąd. Trudno mi w tej sytuacji myśleć racjonalnie. Cholera, odkąd się o tym dowiedziałem, nie zmrużyłem oka. Nie chcę wchodzić Ashley w drogę, ona i tak przeżywa teraz bardzo ciężkie chwile. Jeśli jednak w najbliższym czasie nic się nie wydarzy, na pewno zawiadomię policję. Zrobię wszystko, żeby moja córka cała i zdrowa wróciła do domu.

Do domu, pomyślał. O tak, sprowadzi swoje dziecko do domu. Do swojego domu. Ashley najwyraźniej nie sprawdziła się jako opiekunka.

- Posłuchaj - powiedział - szukaj dalej informacji o tym Judge'u. Musimy odnaleźć Lauren. A kiedy ją odnajdziemy, mam zamiar zatrzymać ją u siebie. Fakt, że Ashley tak bardzo ufa temu nieudacznikowi, to jeszcze jeden dowód na to, że jest pozbawiona zdolności trzeźwego osądu. Chcę mieć wszystko na piśmie. Rozumiesz? Rób wszystko, co trzeba. Czekam na codzienne raporty.

- Nie ma problemu.

Robert odłożył słuchawkę. Oczywiście, że nie ma problemu. Za pieniądze można kupić wszystko. Potem wystukał numer swojego prawnika.

- Lenny? Masz godzinę czy dwie dziś po południu? Muszę coś z tobą omówić. Coś się wydarzyło.

Umówili się na lunch w Aspen Club po wschodniej stronie miasta. Klub mieścił się w lasach na brzegu rzeki Roaring Fork. Było tam wszystko, od kursów jogi i aerobiku, przez salony masażu, po doskonale wyposażone siłownie, korty tenisowe i baseny. A także sklepy, salony kosmetyczne i bar serwujący wyłącznie zdrową żywność.

Robert wziął range rovera, wysadził Elaine w centrum, gdzie pracowała jako wolontariuszka w Wheeler Opera House. Dwa razy w tygodniu sprzedawała bilety na przedstawienia miejscowych teatrów, koncerty i filmy. Wheeler, budynek opery, pochodził z 1880 roku i został niedawno odnowiony. Teraz w nim właśnie koncentrowało się życie kulturalne miasta.

- Przyjedziesz po mnie o piątej? - spytała Elaine. - Maria musi wyjść przed szóstą, a dziecko...

- O piątej. Tak, oczywiście.

- I zadzwoń do mnie na komórkę, jeśli dowiesz się czegoś o Lauren, kochanie. Jestem taka niespokojna. Wiesz, że nie powinna mieszkać z Ashley. Nie zrozum mnie źle, bardzo lubię Ashley, ale jej życie jest takie... nieuporządkowane i...

- Tak, tak - odparł Robert. - Bądź o piątej przed operą, dobrze? Nie jestem w nastroju, żeby czekać.

- Tak, kochanie - powiedziała i przesłała mu całusa.

Leonard - Lenny - miał trzydzieści dziewięć lat, tyle samo, co Robert. Ale podczas gdy Robert urodził się i wychował na Zachodnim Wybrzeżu i ciągle prowadził swój komputerowy biznes z Santa Cruz, Lenny był konserwatywnym bostończykiem, absolwentem Harvardu, który po raz pierwszy przyjechał do Aspen na narty w czasie studiów, a później otworzył tam kancelarię. Teraz miał trzech partnerów i sam pracował tylko dwa dni w tygodniu. „Na emeryturze przed czterdziestką i zachwycony tym stanem rzeczy” - mawiał. Robert był jednak jego pierwszym poważnym klientem w Aspen i Lenny miał wobec niego dług wdzięczności. Poza tym Robert Marin nigdy nie narzekał na cenę usług Lenny'ego, która wynosiła pięćset dolarów za godzinę. Spotkali się na patio przy kortach i wymienili uścisk dłoni.

- Zjemy w środku czy na dworze? - spytał Lenny.

- Może być na zewnątrz - odparł Robert z roztargnieniem.

Usiedli w cieniu drzew, przy stoliku pod zielonym parasolem. Ciszę zakłócał tylko szum rzeki płynącej poniżej i odgłosy gry dobiegające od strony kortów tenisowych.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci cień - powiedział Lenny, zdejmując ciemne okulary i przekrzywiając głowę. - Musiałem obiecać

mojemu dermatologowi, że będę unikał słońca. Chryste, właśnie dałem sobie zbadać dwa podejrzone miejsca na nosie. Teraz czekam na wyniki biopsji.

Na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów, gdzie ludzie dużo przebywają na świeżym powietrzu, słońce często powoduje nowotwory skóry. Robert nie miał nic przeciw temu, by siedzieć w cieniu.

Zamówili dwie mrożone herbaty z miętą i cytryną oraz dwie sałatki. Kelner odszedł, a Lenny pochylił się do przodu.

- No dobra, mów o co chodzi. Przez telefon brzmiało to groźnie.

Robert kiwnął głową i westchnął.

- Tak, mogę równie dobrze od razu przejść do rzeczy, nie ma sensu owijać w bawełnę. Ale pamiętaj, to lunch, ale też spotkanie prawnika z klientem.

- Jak zawsze. - Lenny kiwnął głową.

- W porządku. Dobrze. - Robert wziął głęboki oddech. - Chodzi o moją córkę. Została porwana.

Lenny patrzył na niego przez chwilę, jakby nie dosłyszał i próbował się domyślić, co powiedział jego klient. W końcu znaczenie słów Roberta dotarło do niego.

- Jasny gwint. Naprawdę powiedziałaś... porwana?

- Tak.

- Ale... mój Boże. Kiedy?

- Kilka dni temu.

- Mój Boże - powtórzył Lenny. - Ale jak? To znaczy kto...? Jezu, głupie pytanie. Chodzi mi to, czy policja wie...?

- Nie. Policja nic nie wie.

- Co?

- Słyszałeś.

- Tak, ale... -Nagle Lenny uderzył się otwartą dłonią w czoło. -

Oczywiście. To dlatego chciałeś, żebym ci polecił prywatnego detektywa. Zastanawiałem się, do czego ci to potrzebne, ale myślałem...

Robert zaśmiał się ponuro.

- Wiem, pomyślałeś, że Elaine zaczęła mnie zdradzać. Odzyskała figurę po dziecku i jest piętnaście lat młodsza ode mnie. Cóż innego mogło ci przyjść na myśl?

Lenny milczał.

- To bez znaczenia - ciągnął Robert. - Liczy się tylko Lauren. - Powiedział prawnikowi wszystko, co wiedział, zaczynając od porwania Ashley i klaustrofobii, na którą potem cierpiała.

Kelner przyniósł sałatki, które stały teraz nietknięte na stole. Robert zaczął mówić o przekonaniu Ashley, że Lauren przetrzymuje ten sam człowiek, który porwał ją, kiedy była nastolatką.

- To tylko jeszcze jeden powód, by zawiadomić FBI. Mój Boże, Robert.

- Zgadzam się. Ale Ashley ma rację w jednej kwestii. Dwadzieścia lat temu ani policji, ani FBI nie udało się jej odnaleźć. A co gorsza, ten Potts mógł uprowadzić Lauren z zemsty. Jego ojciec zmarł w szpitalu, może to więc być odwet. Zagroził... zagroził, że zabije Lauren, jeśli jej matka powiadomi policję.

- Jezu, Robert, o mój Boże. - Lenny pokręcił głową.

- Ashley wierzy, że on to zrobi.

- Pieniądze? - Adwokat zmarszczył brwi. - Zażądał już pieniędzy?

- Jeszcze nie. W każdym razie ja nic o tym nie wiem. Ashley mówi, że jeśli zażąda okupu, będę musiał wyłożyć pieniądze. Zrobię to, oczywiście. Dam każdą sumę. Nie dbam o pieniądze. Chodzi o Lauren.

- Oczywiście.

- I jeszcze jedno. Ashley sprowadziła tu tego faceta... To były policjant. Twój detektyw powiedział mi dziś rano, że ten facet... nazywa się Chris Judge... mógł mieć na sumieniu jakieś ciemne sprawy.

- Coraz lepiej - mruknął Lenny.

- Odchodzę już od zmysłów. Obiecałem Ashley, że wstrzymam się z zawiadomieniem o wszystkim policji, ale... jeśli to błąd? Jeśli... jeśli Lauren stanie się jakaś krzywdą... albo coś gorszego?

- Nie, nie, nie. Cokolwiek się stanie, nie będzie w tym twojej winy. To Ashley jest odpowiedzialna za Lauren do czasu, kiedy wasza córka skończy osiemnaście lat. To twoja była żona podejmuje decyzje. - Zacisnął wargi i zastanawiał się przez chwilę. - Myślę, że masz rację. Biorąc pod uwagę okoliczności, może cały czas miałaś rację i Lauren byłaby bezpieczniejsza pod twoją opieką. Oczywiście, stoczyliśmy ciężką walkę w sądzie o przyznanie ci opieki nad córką, ale nie przypuszczałem wtedy, że Ashley ma tak poważne problemy ze sobą.

Robert miał na końcu języka „a nie mówiłem”, powstrzymał się jednak.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Robert? Bardzo chciałbym ci w jakiś sposób pomóc.

Ale Robert tylko machnął ręką.

- Nie, po prostu musiałem się w końcu wygadać, Lenny. Elaine tak naprawdę nie rozumie, w jak okropnym położeniu się znalazłem. Nie chcę

pogarszać stanu Ashley. Oczywiście ona doprowadza mnie do szału, ale ciągle mam dla niej jakieś uczucia i martwi mnie, że jest tak nie zrównoważona. A co ty o tym myślisz? Myślisz, że Ashley może mieć rację, nie chcąc włączać w to policji? Może powinienem...

- Robert, posłuchaj.... Do diabła, sam nie wiem. Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie. Sam wiesz, co się czasem czytuje o tragicznych zakończeniach takich spraw. A ty potem siedzisz i zastanawiasz się, czy ofiara żyłaby jeszcze, gdyby nie pojawiły się gliny?

Robert zamknął oczy i odchylił głowę na oparcie krzesła.

- Co za koszmar, Lenny, co za koszmar. I do tego ten podejrzany typek, który jej pomaga... Sam nie wiem. Będę musiał to wytrzymać. Jeszcze przez kilka dni. A potem... Potem pozostanie mi tylko mieć nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

- Lauren wróci, cała i zdrowa. Nie wolno ci tracić nadziei. A kiedy już wróci, przysięgam ci, dla Ashley to będzie koniec. Nawet gdybym miał z tym pójść do Sądu Najwyższego, dostaniesz opiekę nad córką.

Robert otworzył oczy.

- Doceniam to, Lenny. Naprawdę. Ale teraz potrafię myśleć tylko o mojej małej dziewczynce.

- Wiem, stary. Wiem, ile ona dla ciebie znaczy - powiedział Lenny cicho.



## ***Rozdział 11***

Autostrada numer 50 prowadziła wzdłuż Arkansas River. Chris i Ashley minęli Wellsville i Teksas Creek, po czym zjechali niżej, w obszar pogórza. Temperatura była tu wyższa, Chris zatrzymał się więc przy Royal Gorge, żeby zdjąć dach.

- Och - powiedział. - Powinienem zapytać. Może wiatr zburzy ci fryzurę? Ashley roześmiała się mimo okoliczności.

- Fryzurę? Nie sądzę, żeby wiatr mógł jej zaszkodzić. Rzadko mam choćby dwie minuty na to, by ułożyć sobie włosy. Ale to miło, że zapytałeś.

Dach został zwinięty, Chris wsiadł do samochodu i wyjechał na drogę.

- Ale wyglądają ładnie.

- Co wygląda ładnie?

- Twoje włosy - odrzekł i mógłby przysiąc, że się zaczerwienił.

Za pełnym turystów Royal Gorge droga prowadziła wśród lasów i potężnych formacji skalnych, rzuconych tu przed tysiącami lat. Potem znowu zaczęła stromo opadać. Teraz po obu jej stronach rozciągały się prerie, oddzielające Colorado Springs od Pueblo.

Ziemia, dzika i pusta, ciągnęła się zieloną płachtą ponad tysiąc kilometrów na wschód, aż do Missouri River. Tysiąc kilometrów wśród pustki. A jednak to na tej prerii krył się NORAD i Fort Carson, najważniejsze punkty systemu obronnego kraju. A także stanowy zespół więzienny. Jadąc autostradą, wystarczyło na chwilę się zagapić, by

przeoczyć drogowskaz. Ale ogromne więzienie stało tam, na południu, ukryte dokładnie przed oczami przejeżdżających.

- Wiesz - powiedział Chris, skręcając, by wjechać w główną bramę dla odwiedzających. - Noriega siedzi tylko kilkaset metrów od nas. Nie wspominając już o Unabomberze. Wszyscy mają osobne cele w Super Max.

Ashley kiwnęła głową. Wszyscy mieszkańcy Kolorado wiedzieli, co to jest Super Max - najnowocześniejsze więzienie, z którego nie sposób było zbiec.

Ale Davey Potts nie siedział w Super Max. Najpierw był w zakładzie dla nieletnich, a potem, kiedy skończył osiemnaście lat, został przeniesiony do regularnego więzienia. Spędził tam piętnaście lat, po czym przeniesiono go znowu, tym razem do więzienia o złagodzonej rygorze. Tam się uczył i sprawował wzorowo - aż w końcu udało mu się uzyskać warunkowe zwolnienie. Tam też najwyraźniej opracował swój plan. Plan zemsty.

Chris zaparkował i odwrócił się do Ashley.

- W porządku - powiedział. - Dalej nie możesz pójść ze mną. Możesz poczekać tu albo wejść do środka, mają tam klimatyzację.

- Ale... - zaczęła.

- Posłuchaj, nie mogę zabrać cię tam ze sobą. Pomyśl sama. To nie wyglądałoby oficjalnie, prawda?

- Och...

- Muszę to załatwić sam. Przykro mi, ale...

- Rozumiem.

Chris spojrział w stronę budynku, wtedy Ashley dostrzegła w jego twarzy subtelną zmianę. Nagle wydał jej się obcym człowiekiem.

- Muszę iść - powiedział, otworzył drzwiczki i rzucił jej kluczyki. - Jeśli chcesz poczekać na mnie w samochodzie, postaw dach, bo w przeciwnym razie się usmażysz. To pewnie potrwa z godzinę. Może mniej, jeśli będę miał szczęście. - Skinął jej obojętnie głową, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Ashley była zaskoczona. Jeszcze minutę temu był Chrisem, którego znała od tak dawna, zupełnie zwyczajnym człowiekiem, silnym, jeśli wymagały tego okoliczności, ale wrażliwym, przyjaznym i kompetentnym - był jej Supermanem. A zaraz potem zmienił się w... szukała właściwych słów... w gliniarza, który nie zawahałby się przerobić przestępcy na siekany kotlet, gdyby poniosły go emocje.

Siedziała w samochodzie i myślała o Chrisie. Czy zmienił się w tego obcego człowieka w Newark? I jak udawało mu się pogodzić te dwie osobowości, które w nim były? Wieczorami - jeśli wracał na noc do domu - był mężem i ojcem. A za dnia... No tak, przypomniawszy sobie, to mu się nie udawało. Żona odeszła od niego, a on porzucił pracę w policji. Teraz najwyraźniej nie pracował. Jak można wieść tak pogmatwane życie? Policjant. Mąż i ojciec. Członek mafii. Dobry Boże, pomyślała, kim on właściwie jest?

Myślała o rolach, które odgrywał, i wyobrażała go sobie jako postać z greckiego dramatu, która raz przywdziewa maskę komedii, a raz tragedii. Pod maską pozostawał ciągle ten sam aktor, ale dla publiczności był zupełnie kimś innym.

Chris wrócił, usiadł obok niej i zauważył, że musiał jej dokuczyć upał.

- Byłem pewny, że zaczekasz w środku - powiedział, a potem, nie informując Ashley o wyniku swojej rozmowy, wskazał jej torebkę. - Muszę skorzystać z twojego telefonu.

Zorientowała się natychmiast, że nie uzyskał żadnych informacji na temat Potts'a, że cała ta wyprawa była tylko stratą cennego czasu. Zrobiło jej się ciężko na sercu.

- Ten człowiek nic ci nie powiedział. O Boże, Chris. I co teraz zrobimy?

- Cóż - odparł - co do jednego masz rację. Williams, ten facet, z którym właśnie rozmawiałem, o niczym nie ma pojęcia.

- Wierzysz mu?

Chris włożył okulary przeciwsłoneczne.

- Tak. Williams był bliskim kumplem Potts'a, kiedy razem siedzieli, ale nie dość bliskim. Mam też jednak i dobrą wiadomość. Podasz mi telefon?

Wyciągnęła komórkę z torebki.

- Jaką dobrą wiadomość? Nie rozumiem, jak...

- No więc tak. Williams chciał być pomocny. Dałem mu do zrozumienia, że mogę mu pomóc w uzyskaniu zwolnienia warunkowego, kiedy przyjdzie pora.

- On myślał, że jesteś policjantem - powiedziała.

- Tak, ciągle jeszcze potrafię gadać jak gliniarz. Podał mi nazwisko faceta, który już wyszedł z więzienia i mieszka podobno w jednym z otwartych zakładów w Denver. Ten gość, nazywa się Jack Fuentes,

siedział z Pottsem w jednej celi przez wiele lat, zanim Potts trafił do celi Williamsa, i był z nim bardzo, bardzo blisko, chcę przez to powiedzieć, że...

- Byli... kochankami?

- Na to wygląda. Williams wie, że Potts i Fuentes kontaktowali się, odkąd Fuentes wyszedł z więzienia, na kilka miesięcy przed zwolnieniem Potts'a. Fuentes nawet odwiedził Potts'a kilka razy w więzieniu. Williams uważa, że jeśli ktokolwiek wie, gdzie jest teraz Potts, to tylko Fuentes.

- A jak go znajdziemy? Mówiłeś, że mieszka w zakładzie otwartym, ale w którym?

- Telefon, Ashley?

- Och. - Podała mu komórkę. Chris wystukał numer i czekał. Minęło kilka minut, zanim po drugiej stronie odezwała się osoba, z którą chciał rozmawiać.

- Murray? Tu znowu Chris. Słuchaj, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale może mógłbyś zdobyć dla mnie jeszcze jedną informację? Jestem teraz w Canon City i szukam adresu faceta, który wyszedł na zwolnienie warunkowe. Mieszka w zakładzie otwartym w Denver i nazywa się Jack Fuentes, wyszedł w marcu albo w kwietniu. - Słuchał przez chwilę. - Tak, jasne, że zaczekam. I dzięki, Murray.

- Twój przyjaciel może się tego dowiedzieć od razu? - spytała Ashley. Chris włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go, ciągle trzymając telefon przy uchu.

- Oczywiście. To era informacji. Murray musi tylko wejść do systemu i wstukać nazwisko. Dowie się, nie ma obawy... Tak, Murray, słucham cię. Co? W porządku, mam, South Broadway, zaraz za Gart

Brothers. Aha. Jeszcze raz dziękuję. Jestem ci winny przysługę - powiedział, rozłączył się i wycofał samochód. - Trzymaj kciuki, żeby ten Fuentes puścił farbę.

- Trzymam kciuki i co tylko trzeba - odparła Ashley.

- No. - Chris uśmiechnął się do niej szeroko. - Należy nam się mała przerwa, prawda?

Po półtorej godziny dotarli na przedmieścia Denver, gdzie trafili akurat na godziny szczytu. Chris musiał chyba czytać w jej myślach, bo powiedział:

- To bez znaczenia, kiedy tam dotrzemy. Jeśli Fuentes jest w zakładzie otwartym, musi w ciągu dnia pracować. Takie są zasady. I tak nie zastalibyśmy go przed piątą czy szóstą. Ale jeśli korki cię wkurzają, mogę wydostać się na autostradę i zjechać gdzieś dalej.

- Mógłbyś to zrobić? To ślimacze tempo... I jest tak duszno. Niemal czuję, jak oddycham.

Chris wrzucił kierunkowskaz, odwrócił się, żeby sprawdzić, czy może skręcić, i zjechał na prawy pas.

- Rozumiem cię. Ashley. Masz prawo - przyznał.

Zakład, w którym podobno mieszkał Jack Fuentes, znajdował się po stronie południowej Broadway, głównej arterii przecinającej miasto. Chris zaparkował pod małym, zaniedbanym budynkiem.

- To chyba tu. Stary blok mieszkalny. - Odwrócił się do Ashley. - Zaczekasz tu? Wejdę do środka i pogadam z opiekunem budynku, zobaczę, czy nie ma Fuentesesa, albo spróbuję się dowiedzieć, kiedy można się go spodziewać.

Opiekun...

- Dobrze - powiedziała.

Chris nachylił się ku niej i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Świetnie sobie radzisz, Ashley. Naprawdę. Większość ludzi by się załamała. Do diabła - dodał - jesteś moją bohaterką.

Ashley wtuliła na moment twarz w jego dłoń, nie mogła się powstrzymać. Nikt nigdy tak do niej nie mówił. Nikt jej tak naprawdę nie rozumiał. Tylko Chris. Zawsze.

Kiedy cofnął rękę, poczuła się tak, jakby ktoś odebrał jej koło ratunkowe. Ale Chris przygotowywał się już do wejścia w rolę. Znowu na jej oczach zmienił się w obcego człowieka.

- No to idę do naszego kumpla Fuentesesa - powiedział ponuro.

Nie wiedziała, czy to ona zauważyła człowieka zbliżającego się do budynku, czy Chris. Ale wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie. Stał się czujny.

- Hm - mruknął. - Krótko ostrzyżony, szerokie bary. To może być nasz facet.

- Skąd...?

- Williams go opisał.

Wysiadł z samochodu, zanim zdążyła mu życzyć powodzenia. Ruszył przez ulicę i podszedł do potężnego mężczyzny w brudnym podkoszulku z krótkimi rękawami; facet trzymał termos w ręce. Chris powiedział coś, tamten zatrzymał się, obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, wzruszył ramionami.

Ruszyli razem powoli w stronę budynku, po czym Chris usiadł na prowadzących do wejścia schodkach, z szeroko rozstawionymi kolanami.

Fuentes stanął naprzeciw niego, skrzyżował ramiona, przyciskając termos do piersi.

Rozmawiali długo. Fuentes wydawał się spięty, Chris spokojny, zrelaksowany. Uśmiechnął się nawet kilka razy, słuchając Fuentesesa, i kiwał ze zrozumieniem głową.

Dziwne wydawało się tylko, że Chris siedzi, a Fuentes stoi nad nim. Czyżby chciał sprawić wrażenie, że to Fuentes kontroluje sytuację? Cokolwiek chciał osiągnąć, pomyślała Ashley, jego taktyka musiała zadziałać, bo Fuentes w końcu opuścił ramiona i zaczął gestykulować. Mówił i mówił. Ashley czuła, że jej serce zaczyna bić coraz szybciej.

Och, Lauren, kochanie, robimy wszystko, co w naszej mocy. Trzymaj się.

Mniej więcej po dwudziestu minutach Chris wstał, pochylił głowę, jakby za coś dziękował, i ruszył z powrotem w stronę samochodu, podnosząc dłoń w niedbałym geście pożegnania.

- O Boże - wyszeptała. - Proszę, proszę, proszę.

- Wiedział coś? - spytała Chrisa, kiedy tylko usiadł za kierownicą. - Czy on...?

- Tak.

- O Boże, proszę...

- Wygląda to tak - zaczął Chris. - Fuentes bardzo chętnie podzielił się ze mną tym, co wie. Mam wrażenie, że on i Potts byli dla siebie kimś znacznie więcej niż tylko kumplami z celi, ale Potts, kiedy wyszedł, rzucił Fuentesesa. Powiedział mu, kiedy widzieli się ostatnio, że ma na oku grubszą rybę.

- Ale jak to nam może pomóc namierzyć Potts'a?



- Już mówię, Ashley. Zanim Potts wyjechał, zamierzając zrobić coś, co nazywał *coup de grace*, powiedział Fuentesowi, że ma nadzieję wyjść warunkowo, i zaproponował mu, żeby z nim zamieszkał gdzieś w górach w pobliżu Marble.

Ashley miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod stóp. Chata w Marble. Przecież została podobno sprzedana przez prawnika Pottsów. Przyłożyła dłoń do czoła.

- Davey... ten drań... - wykrztusiła. Okłamał Fuentes. Nabrał go. On już nie ma tej chaty!

Ale Chris spojrzał na nią i uśmiechnął się pod nosem.

- Nie chodzi o to samo miejsce, Ashley.

- Nie... nie oto? Ale jak...?

- Potts opowiedział mu, że wiele lat temu musieli sprzedać tamtą chatę, żeby opłacić prawnika. Fuentes twierdzi, że ta druga chata stoi na prawdziwym odludziu.

- A Davey ma do niej dostęp - powiedziała Ashley w zamyśleniu. - Ale... co to znaczy? Po tylu latach w więzieniu, jak mógłby...?

- Właśnie. Albo Potts wiedział o jakiejś opuszczonej chacie, albo zna kogoś, kto pozwolił mu jej używać. Trzeba będzie znowu trochę poszperać, żeby się tego dowiedzieć. Możemy w każdym razie założyć, że przebywa gdzieś w pobliżu Marble.

- Tak - wyszeptała. - Dobrze. Pojedziemy tam. Znajdziemy Lauren. Znajdziemy ją, Chris, prawda?

- Oczywiście, że tak.

Robiło się późno, ale Chris miał jeszcze coś do załatwienia.

- Muszę wstąpić do przyjaciela i zabrać zdjęcie Potts - oznajmił, ruszając z miejsca.

- Zdjęcie, które przefaksował ten policjant?

- Tak.

- A ten przyjaciel... czy to ten, do którego dzwoniłeś z Aspen? Ten Joe?

- Tak, to Joe Garcia. Pracowaliśmy razem.

- Och - westchnęła i w tej samej chwili zadzwoniła komórka.

Serce Ashley natychmiast zaczęło walić jak młotem. Drżącymi rękami wyciągnęła telefon z torebki. Wiedziała, że teraz już zawsze dźwięk dzwonka telefonu będzie ją przyprawiał o mdłości.

Chris zjechał na krawężnik i zatrzymał samochód.

- Odbierz. Jeśli to Potts, nie pozwól, żeby się zorientował, gdzie jesteśmy. Kiwnęła głową, usiłując opanować drżenie rąk, i wcisnęła guzik.

- Halo? - powiedziała. Miała zupełnie sucho w ustach. To był on.

- Ash-lee, Ash-lee - powiedział, celowo przeciągając jej imię. -

Wydaje mi się, że jesteś zdenerwowana.

Chris pochylił się w stronę Ashley i lekko odsunął telefon od jej ucha, żeby słyszeć, co mówi Potts.

- Gdzie jesteś?

- W domu. Jestem w domu. Chcę porozmawiać z Lauren. Proszę, daj jej —

- Nie mogę, Ash-lee. Twoja córeczka siedzi w zimnym, ciemnym miejscu, nie mogę się teraz do niej dostać. To cię pewnie niepokoi, co? Brrr, tam jest naprawdę zimno, Ashlee.

Ashley czuła, że tego nie wytrzyma.

- Nie, nie, proszę, nie rób jej tego. Proszę, bła... - Ale Potts się rozłączył. Cholera! - krzyknęła. - Nie rozłączaj się, ty sukinsynu!

Chris długo nie mógł jej uspokoić. Rozumiał, co czuła, ale nie był w stanie wyobrazić sobie, jak to jest siedzieć samotnie w ciemności, marznąc przeraźliwie w dzień i w nocy, nie wiedząc, ile minęło już dni, tygodni czy miesięcy. Jak to jest zostać żywcem pogrzebanym. A Lauren... Ashley poczuła, że zaczyna się dusić.

- Ćśś - szeptał Chris, obejmując ją ramieniem. - Ashley, spójrz na to z innej strony. Właśnie na swój chory sposób powiedział ci, że ona żyje. Nie rozumiesz? A poza tym ja czuję, że on kłamie. Lauren nie siedzi w żadnej kopalni, jest z nim.

Spojrzała na niego.

- Naprawdę tak myślisz? Czy tylko tak mówisz?

- Daj spokój, przecież mnie znasz. Nigdy nie owijam w bawełnę. Zorientowała się, że policzki ma mokre od łez, i zaczęła je ocierać.

- Czy twoje przeczucia zwykle cię nie mylą? To znaczy...

- Och - uśmiechnął się do niej - mam rację w ośmiu przypadkach na dziesięć.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Ashley uspokoiła się trochę i odetchnęła głęboko, a Chris wyjechał na drogę. Potem Ashley zadzwoniła do Roberta. Był wściekły, tak jak przewidywała, że nie zadzwoniła wcześniej. Ulżyło mu trochę, kiedy się dowiedział, że ich zdaniem Lauren ciągle żyje.

- Jezu - powiedział. - To przynajmniej jest dobra wiadomość. Ale czy jesteście choć trochę bliżej odszukania Potts'a? Czy tylko gonicie wiatr w polu? Chcę znać prawdę, Ashley.

Opowiedziała mu, czego zdążyli się dowiedzieć, choć musiała przyznać, że znalezienie odosobnionej chaty w okolicach Marble będzie bardzo trudne.

- Ashley, wierz mi, to nie są czcze pogrożki. Jeśli nie dowiesz się czegoś konkretnego, i to szybko, zawiadomię FBI. Nie będę miał wyboru.

- Jeszcze nie... Daj nam jeszcze dwa dni... albo chociaż dwadzieścia cztery godziny. Proszę, na litość boską, daj nam jeszcze trochę czasu. Jesteśmy już blisko. Naprawdę.

- Zobaczymy - odparł. - Zadzwoń do mnie rano. Domyślam się, że jedziecie do Marble?

- Tak, wkrótce - powiedziała i w końcu udało jej się skończyć rozmowę. - Nie wiem, kogo nienawidzę bardziej - mruknęła, unikając wzroku Chrisa - Roberta czy Daveya. Różnią się tylko tym, że jeden ma pieniądze, a drugi nie. Poza tym są tacy sami.

Ashley, urodzona i wychowana w Kolorado, znała Denver dość dobrze. Rodzina Lacouterów często wybierała się do miasta po szkolne sprawunki dla Ashley i na mecze Avalanche - jej ojciec pasjonował się hokejem. Ashley przyjeżdżała też do Denver na szkolne wycieczki do muzeów, na mecze siatkówki i przedświąteczne zakupy. W czasach jej dzieciństwa, to znaczy ponad dwadzieścia lat temu, Denver ciągle było dość prowincjonalnym miastem, zwłaszcza w porównaniu z Nowym Jorkiem czy Los Angeles. Od tego czasu jednak centrum bardzo się zmieniło. Pojawiło się wesołe miasteczko Six Flags, ogromny park

miejski, dwa nowe stadiony, wielki kompleks sportowy i miasteczko uniwersyteckie. I wszystko to wyrosło w samym centrum. A miasto rozrosło się też na wschód, północ i południe. Na zachodzie wyniosłe szczyty górskie ciągle broniły wstępu cywilizacji.

Joe Garcia mieszkał przy jednej z ulic odchodzących od University Avenue. W tej okolicy wszystkie ulice nosiły nazwy znanych uniwersytetów: Dartmouth, Harvard, Princeton. Była to stara, ładna dzielnica. Niewielkie domy, przeważnie z czerwonej cegły. Wszystkie miały garaże i podjazdy po prawej stronie. W świetle zachodzącego słońca dzieci bawiły się piłką na ulicy, a przed domami leżały psy.

- Joe był więc policjantem - powiedziała Ashley, kiedy zatrzymali się przed jednym z domów.

- Aha.

- Czy nie jest za późno na wizytę?

- Wszystko w porządku. Nigdy nie uprzedzam, kiedy wpadnę. Choć może powinienem. - Wzruszył ramionami i otworzył drzwiczki. - Chodź, przedstawię cię.

- Nie jestem w zbyt towarzyskim nastroju, Chris. Może powinnam...

- Chodź, chcę, żebyś poznała Joego i Charlene. Nie będziemy długo siedzieć.

Ociągając się, otworzyła drzwi po swojej stronie.

- Tylko nie wspominaj o Lauren. Czułabym się... niezręcznie.

Dobrze?

- Nie miałem takiego zamiaru.

Podeszli do drzwi. Chris położył jej dłoń na plecach i zapukał. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jakiś mężczyzna zrobił coś takiego. Był to tylko niewinny, niewiele znaczący gest. Dla niej jednak znaczył bardzo wiele.

Ciągle czuła ciepło dłoni Chrisa przez lnianą różową bluzkę. Czuła zakłopotanie, ale zapomniała o wszystkim, kiedy drzwi otworzyły się i zobaczyła wózek inwalidzki i siedzącego w nim mężczyznę. Joe? Chris nie wspominał o wózku. Ani słowem.

- Powinienem się domyślić, że to ty, biorąc pod uwagę godzinę - powiedział mężczyzna, uśmiechając się szeroko. - Założę się, że przyjechałeś po zdjęcie. No, wchodźcie, wchodźcie.

- Joe, to jest Ashley. Ashley, to Joe Garcia - powiedział Chris, wprowadzając ją do środka.

- Ashley? - spytał Joe. - Ta Ashley Lacouter?

- Właściwie nazywam się teraz Marin - odparła. Byłam mężatką. Ale skąd...?

- Żartujesz? - przerwał jej Joe. - Chris jest moim najlepszym kumplem od, och, chyba od pierwszej klasy. Oczywiście, że wszystko o tobie wiem. Do diabła, sądziłem, że Chris zaczeka, aż trochę podrośniesz, i zaprowadzi cię przed ołtarz.

- Naprawdę musisz opowiadać takie krepujące rzeczy, kotku? - rozległ się głos kobiety, która stanęła w drzwiach pokoju. - Charlene - powiedziała, ujmując dłoń Ashley. Miała okrągłą twarz, piękne rude włosy i ciepłe brązowe oczy. - Nie zwracaj na niego uwagi. Zawsze był nietaktowny. Ale to naprawdę miło, że w końcu możemy cię poznać.

Ashley nie musiała się specjalnie wysilać. Rodzina Joego miała w sobie tyle energii, ile cała armia. Siedzieli w salonie i oglądali właśnie

telewizję. Dzieci, Toby i Beth, chciały się dostać do pilota i wyrywały go sobie, Charlene poszła przygotować coś do picia, a Joe wypytywał o Aspen, czy bardzo się zmieniło i czy to prawda, że City Market sprzedaje swoje towary turystom drożej niż miejscowym.

Wróciła Charlene i uciszyła dzieci.

- Idźcie oglądać telewizję w swoim pokoju, ale jeśli zabrudzicie narzutę, ojciec spuści wam obojgu lanie.

- O tak, już nie mogę się doczekać - powiedział Joe. Córka uścisnęła go i wybiegła za bratem z pokoju.

- Dzieciaki - mruknęła Charlene, podając Ashley szklanekę z mrożoną herbatą.

Ashley była pewna, że teraz ktoś zapyta ją, czy ona też ma dzieci, ale Chris szybko zmienił temat.

Rozmawiali o upale, ubezpieczeniach zdrowotnych, polityce i kosztach studiów, żartowali z teorii globalnego ocieplenia. A potem Charlene poprosiła Chrisa, żeby poszedł z nią do kuchni i rzucił okiem na piecyk, który ostatnio zaczął szwankować.

- Kiedyś byłem złotą rączką- powiedział Joe - ale potem... - Poklepał oparcia swojego wózka. - No cóż, radzę sobie. Lepiej niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Poza tym Chris bardzo nam pomaga, odkąd wrócił do Denver. Oczywiście nie potrafi tego wszystkiego, co ja robiłem kiedyś, ale w mojej sytuacji nie mogę narzekać, prawda?

Ashley się uśmiechnęła i wtedy Joe powiedział coś, co ją zastanowiło.

- Wiesz - zaczął - że naprawdę nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby Chris nie dał nam tych pieniędzy.

Mówił to tak poważnie, że natychmiast zrozumiała, iż nie chodziło o pięćset dolarów. Zanim jednak zdążyła sformułować pytanie, Charlene i Chris wrócili do pokoju.

- Trzeba wymienić przewód.

- Miałam nadzieję, że to tylko gniazdko - odparła Charlene.

Ashley milczała, przysłuchiwała się ich rozmowie. W pewnej chwili, kiedy Charlene opowiadała jej o cenach nieruchomości w Denver, Ashley usłyszała, jak Joe mówi coś cicho do Chrisa, zrozumiała jednak kilka słów.

- Na pewno wszystko w porządku? Wtedy po południu myślałem, że... -Reszty nie dosłyszała. A potem jeszcze: - Proszę, poszukaj pomocy, Chris.

Poruszyła się w swoim fotelu i spojrzała na Joego, a potem na Chrisa. Coś tu było nie tak. Ale Joe zauważył jej spojrzenie i powiedział coś żartem, a Chris natychmiast zmienił się znowu w beztroskiego wesołka.

W końcu obaj mężczyźni wyszli, żeby porozmawiać na osobności. Ashley doszła do wniosku, że Chris chciał opowiedzieć Joemu o Lauren i wziąć fotografię Daveya. Może też poprosić o kolejną przysługę.

- Oni zawsze coś kombinują. - Charlene westchnęła. Wrócili i Chris powiedział, że on i Ashley muszą się zbierać.

- Wracacie dziś w góry? - spytał Joe. Chris zdawał się zastanawiać przez chwilę.

- Nie, jest już za późno, żeby coś zdziałać. Myślę, że przenocujemy u mnie.

Wieczór niespodzianek, pomyślała. Noc u Chrisa. Ale była zbyt zmęczona, by zaprotestować czy zaproponować inne rozwiązanie.



Pożegnali się przy drzwiach i wyszli. Chris znowu opiekuńczym gestem położył jej dłoń na plecach. Joe siedział w swoim wózku, Charlene czule głaskała go po włosach. Ashley uderzyła bliskość, jaka panowała w tej rodzinie, i głęboka miłość, która zdawała się otaczać ich kokonem bezpieczeństwa. Wypadek Joego zapewne jeszcze zacieśnił istniejące między nimi więzi.

Myślała o sile, jaką musieli się wykazać, by pokonać nieprzekraczalne, zdawałoby się, przeszkody, i przez chwilę jej własne problemy stały się mniej istotne. Zaraz jednak przypomniała sobie dzieci tarzające się po najlepszej narzucie Charlene i ogarnęła ją nieznośna tęsknota za Lauren, za dotykiem jej ramion, za jej zapachem. Zebrała wszystkie siły i powstrzymała łzy.

- To bardzo mili ludzie, prawda? - powiedziała, kiedy szli do samochodu.

- Najlepsi.

- Naprawdę znacie się z Joem, odkąd mieliście po sześć lat?

- Tak. Byliśmy nawet razem w akademii.

I dałeś mu pieniądze, bardzo dużo pieniędzy, pomyślała.

Chris przekręcił kluczyk w stacyjce. Ashley spojrzała spod oka na jego profil i przypomniała sobie słowa Joego. „Proszę, poszukaj pomocy”. Joe powiedział to poważnie, z naciskiem.

Co, na Boga, przydarzyło się Chrisowi w Newark? Tak, był tym samym przystojnym, wspaniałym człowiekiem, który uratował jej życie i odwiedzał ją codziennie w szpitalu, śmiał się z nią, płakał, a nawet ją przytulał. Przynosił jej kwiaty i czekoladki. Dał jej też pluszowego

zwierzaka, który do dziś siedział na jej toalecie - i zawsze będzie miał tam swoje miejsce.

Ale w głębi ducha Chris cierpiał. Czasem ból zdawał się wyzierać z jego oczu, a wtedy Chris przybierał maskę pogodnej niefrasobliwości.

Spojrzała na niego jeszcze raz. Co ten straszny system zrobił z tym wspaniałym człowiekiem?

RS

## Rozdział 12

Chris wynajmował mieszkanie w jednym z nowych budynków, które wyrosły w centrum za Coors Field. Nie w LoDo, najmodniejszej i najdroższej obecnie dzielnicy, ale w nowszej części miasta, która ostatnio stawała się coraz popularniejsza.

Mieszkanie było już umeblowane, ponieważ Chris nie miał własnych mebli ani niczego poza ubraniami i przedmiotami osobistego użytku - przede wszystkim jednak dlatego, że Chris nie bardzo potrafił sobie wyobrazić przyszłość i nie miał planów sięgających dalej niż opłata czynszu za kolejny miesiąc.

Do diabła, niewiele brakowało, a obryzgałyby te białe ściany własnym mózgiem zaledwie kilka dni temu. Cóż, właściciel na pewno dostałby odszkodowanie, szybko doprowadziłby więc pokój do porządku. Mógłby nawet wynająć profesjonalną firmę, która usunęłaby szkody. Teraz jednak... teraz będzie chyba musiał znowu pomyśleć o zapłacie za następny miesiąc.

- Nigdy nie byłam w tej dzielnicy - powiedziała Ashley.

- Chyba nie istniała przed moim wyjazdem do Newark.

- A gdzie mieszka twoja żona? - W Wheat Ridge.

- To ładna okolica.

- Rodzina jej pomogła - odparł, starając się nie mówić tego z goryczą.

- Ale płacisz alimenty na syna?

- Tak.

- Robert też płaci. To znaczy powinien płacić, ale zawsze się spóźnia, o całe miesiące. Nie dlatego, że go na to nie stać, ale po prostu lubi trzymać mnie w niepewności.

- Nie możesz go pozwać do sądu?

Ashley westchnęła.

- Nie warto.

Chris zatrzymał samochód na podziemnym parkingu. Wjechali windą na górę, Chris otworzył drzwi mieszkania. Wewnątrz było gorąco i duszno. Próbował sobie przypomnieć, czy wrzucił brudną bieliznę do kosza. Jakby tamtej nocy w ogóle potrafił myśleć o takich rzeczach. Jezu.

Włączył światło.

- Dom, ukochany dom - powiedział lekko ironicznym tonem.

Ashley stała na środku salonu z torbą podróżną w ręce i rozglądała się dookoła. Chris starał się spojrzeć na swoje mieszkanie jej oczami: duża przestrzeń, jasne drewniane podłogi, podniszczone, niepasujące do siebie meble, kilka kolorowych plakatów na ścianach. Po lewej stronie wyłożony kafelkami kuchenny blat, po prawej krótka korytarzyk wiodący do sypialni i łazienki. Duże okno wychodzące na Coors Field i LoDo. Wszystko bardzo zakurzone.

- Ładnie tu - powiedziała Ashley niepewnie. Chris wzruszył ramionami.

- Jeśli tak, to nie moja zasługa. Właściciel wyjechał do Los Angeles na pół roku.

- Mężczyzna?

- Tak.

- Wygląda na mieszkanie mężczyzny.

- Nie jest tu zbyt czysto. Kiepski ze mnie gospodarz.

- Och, to nie ma dla mnie znaczenia.

- Usiądź na chwilę, zobaczę, co się dzieje w łazience. To pewnie obraz nędzy i rozpacz.

- Chris... - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Wydawała się zdenerwowana. - Czy... to znaczy, czy są tu jakieś okna, które się otwierają?

Chryste, jej klaustrofobia. Gorące, ciężkie powietrze; okno, którego nie można otworzyć. Chris podszedł do ściany i przekręcił włącznik klimatyzacji.

- Przykro mi. W sypialni jest okno, które się otwiera. Wyraźnie jej ulżyło.

- Och, to dobrze. Nie chcę robić zamieszania, ale... mógłbyś...?

- Chodź. Pamiętaj jednak, że cię ostrzegałem.

Zaprowadził ją do sypialni, włączył światło i otworzył szeroko okno. Ashley natychmiast podeszła do okna, upuściła torbę na podłogę, zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać.

- Wytrzymasz tu?

- Tak, oczywiście. Ale przykro mi, że zajmuję twoją sypialnię.

- Nie przejmuj się. Mam rozkładaną kanapę. - Na łóżku leżały rozrzucone poduszki i zmięta pościel, niewątpliwie przesiąknięta potem jego nocnych koszmarów. - Zmienię tylko pościel.

- Pomogę ci. Nie cierpię ścielenia łóżek i tego biegania z jednego końca łóżka na drugi. To jedna z tych rzeczy... - urwała i odwróciła twarz.

- Za dużo mówię. Chyba jestem trochę zdenerwowana... tutaj...

- Nie masz się czym denerwować, Ashley.

- Wiem, ale się denerwuję. To głupie.

Chris zaczął ściągać bieliznę pościelową. Zwinął ją potem i wrzucił do kosza stojącego w szafie wbudowanej w ścianę. Wyjął czysty komplet - na szczęście w szafie było ich kilka. 1 ręczniki, przypomniał sobie, że musi powiesić w łazience czyste ręczniki.

Pomogła mu założyć poszwy na koldrę i poduszki.

- Zupełnie jak w Aspen - powiedziała, wyraźnie starając się poprawić atmosferę. Puściła koldrę, wyprostowała się i spojrzała na Chrisa. - Jak kiedykolwiek zdołam ci podziękować za to, że rzuciłeś wszystko i zgodziłeś się, aby mi pomóc?

Rzucił wszystko? Na przykład co? Rewolwer?

- Daj spokój, Ashley.

- Ja... nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Widziałeś Roberta, widziałeś jaki... jaki on jest. Tak się boję, że on zadzwoni na policję. Może mnie okłamał i już to zrobił. A w takim razie... co stanie się z Lauren?

- Zajmiemy się tym, kiedy przyjdzie na to czas. Jestem pewny, że on tak samo jak ty boi się, iż Davey mógłby się dowiedzieć, że powiadomiono policję. On przecież kocha Lauren, prawda?

- Tak, kocha ją.

- Gdyby chodziło o Richa, pewnie też nie zadzwoniłbym na policję. Muszę to przyznać.

- Boże, obyś miał rację.

- Może już jutro namierzymy Potts'a. Teraz to może już pójść szybko. Ashley kiwnęła głową.

- Bardzo bym chciała, żeby chodziło jeszcze tylko o kilka dni. Nie wytrzymałabym tego, co musiała znieść moja matka, tych miesięcy

oczekiwania i niewiedzy. I przeraża mnie to, przez co musi przejść Lauren. Sam widzisz, co się stało ze mną.

- Z twoich opowiadań wynika, że Lauren wydaje się twarda.

- Mam nadzieję, że jest.

W jej głosie było tyle bólu. Chrisa ogarnęła nagle ochota, by znaleźć Potts, chwycić go za gardło i ścisnąć tak długo, aż...

- Trzeba jeszcze pościelić na kanapie, prawda? - spytała.

- Co? A, no tak.

Uparła się, by dać mu jedną z poduszek z sypialni. Wstrząsnęła nią i poprawiła w powłoczce, do której niedbale ją wcisnął. Kobieca ręka. Zapomniał już, jak to jest.

- Jesteś zmęczony? - spytała, kiedy skończyli. Spojrzał na nią.

- Ja jestem trochę nakrecona i pomyślałam, że moglibyśmy jeszcze trochę pogadać. Masz jakieś wino czy coś w tym rodzaju? Na uspokojenie?

Wino. W lodówce stała butelka Stoli. Ale wino?

- Pijesz wódkę?

Ashley skrzywiła się lekko.

- Z sokiem pomarańczowym - dodał pośpiesznie. - Z dużą ilością soku?

- Lepsze to niż nic.

Chris usiadł na brzegu kanapy; Ashley usadowiła się w jednym z niskich, nowoczesnych foteli i odchyliła głowę na oparcie, trzymając szklankę w obu dłoniach. Chris także dolał sobie soku do wódki, z uprzejmości. Zazwyczaj pijał czystą.

- Naprawdę spodobali mi się twoi znajomi - powiedziała. - Joe i Charlene.

- Joe to równy facet. Mają za sobą ciężki rok.

- Wózek?

- Tak.

- Co się stało?

Chris potarł oczy i oparł ręce na kolanach. Od czego zacząć?

- To był wypadek?

- Tak. Okropny pech. Joe nie pełnił wtedy służby i to właśnie jest problem. Był w domu, kiedy usłyszał w radiu... Wielu policjantów słucha radia w domu, wiesz, na wszelki wypadek. No więc usłyszał wezwanie do włamania. Ruszył w pościg za sprawcą. Akurat w jego dzielnicy, wsiadł więc do samochodu w cywilnym ubraniu i ruszył. Krótko mówiąc, doszło do fatalnej kraksy; głupi dzieciak wylądował w pudle, a Joe... Joe na wózku. Z uszkodzonym rdzeniem kręgowym. Cudem przeżył... fatalnie się złożyło, byłem akurat w Newark i nie mogłem się wyrwać; zdradziłbym się przed mafią. Tak, to były straszne dni.

- Biedny Joe. I Charlene.

- Wiesz, teraz dobrze sobie radzą. Widziałaś ich. Joe jest wspaniały, naprawdę wspaniały. Nigdy się nie skarży. Niedawno wspominał mi nawet, że chciałby zostać inspektorem budowlanym i sprawdzać dostępność budynków dla niepełnosprawnych. Stary kawalarz.

- Przykro ci widzieć go w takim stanie - powiedziała Ashley cicho.

- To aż tak widać?

- Nie, tylko... znam cię. Widzę więc. Ale to nie twoja wina, że Joe miał wypadek.



- Nie. - Chris podniósł głowę i spojrzał na nią. - Wypadek to już tragedia, ale co gorsza Joe nie był wtedy na służbie, nie dostał więc ani pieniędzy z ubezpieczenia pracowniczego, ani renty.

- Och. To okropne.

- Kiedy wyczerpały się pieniądze z jego prywatnego ubezpieczenia, ci dranie umyli ręce.

Ashley milczała przez chwilę, popijając drinka i obserwując Chrisa nad brzegiem szklanki.

- Chris? Muszę cię zapytać...

- O co?

- Joe powiedział coś o pieniądzach, które mu dałeś.

Cholera. Nie chciał o tym rozmawiać. Do diabła z Joem i jego długim językiem. Przez chwilę obracał szklankę w rękach i przyglądał się strzępkom pomarańczy, które unosiły się na powierzchni.

- Jestem strasznie wścibska. Podniósł wzrok.

- Nie, w porządku. Mówiłem ci, że wygrałem sporą sumkę.

- Hm.

- Cóż, dałem trochę pieniędzy Joemu i Charlene. W formie pożyczki. Nic wielkiego.

- Pożyczka.

- Oczywiście.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem, Chris.

- Tak, no cóż...

W pokoju panował mrok, który rozpraszało jedynie przyciemnione światło jednej lampy. Postać Ashley była tylko cieniem na tle jasnej ściany i mebli. Ciemne, lśniące włosy, ciemne, wilgotne oczy, biała, gładka szyja.

I te usta. Pełna dolna warga. -Patrzył, jak pije łyk ze swojej szklanki. Jezu. Ashley, tu, w jego mieszkaniu, sama. Na stoliku obok niej stał telefon, ten sam, który zadzwonił tamtej nocy i pozwolił mu cofnąć się znad przepaści. Dalej, na podłodze, widniała jaśniejsza plama światła wpadającego przez okno z zewnątrz.

Klimatyzacja szumiała cicho, z oddali dobiegały stłumione odgłosy miasta. A jednak siedzieli tu otoczeni kokonem ciszy, odcięci od reszty świata.

- Wiem, że ona żyje - powiedziała Ashley.

- Lauren?

- Tak. Wiem o tym. Bo gdyby coś jej się stało... czułabym to. Pewnie pyskuje - uśmiechnęła się - i doprowadza Daveya do szału.

- Wkrótce się tego dowiemy. Ashley odchyliła głowę na oparcie.

- Muszę w to wierzyć.

- Chcesz się już położyć? - spytał po chwili.

- Nie, jeszcze nie. Miło być daleko od domu - powiedziała cicho, powoli, zamykając oczy. - Tu jest tak cicho. - Urwała na moment. - Mów do mnie, Chris. Zajmij mnie czymś.

- O czym chcesz rozmawiać? Podniosła głowę i otworzyła oczy.

- Opowiedz mi o Newark. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Zależy mi na tobie. Nadal. Dziwne, ale mam wrażenie, że nigdy się nie rozstawaliśmy. I wiem, że coś ci się tam przydarzyło.

- Opowiedziałem ci już o tym.

- Nie, nie wszystko.

Chris upił łyk wódki z sokiem.

- Słuchaj, Ashley, to naprawdę nie twoja sprawa.

- I co z tego?

- Nie jesteś zmęczona?

- Nie.

- Jezu.

- Ty wiesz o mnie wszystko. Wszystko. Wiesz, czego się boję.

Widziałeś mnie w najgorszych chwilach mojego życia. Teraz twoja kolej.

- Gdzie to jest napisane?

Ashley usiadła, pochyliła się w jego stronę i położyła mu rękę na piersi.

- Tutaj.

Chris miał wrażenie, że przeszył go prąd. Chciał się odsunąć, a jednocześnie pragnął przycisnąć tę dłoń do swojej piersi, chwycić Ashley w ramiona. Potem nagle cofnęła rękę, zostawiając po sobie uczucie zimna i pustki.

- Wiesz, widuję tyle dzieci w szkole - zaczęła i przez chwilę Chris sądził, że zmieniła temat. - Niektóre są takie nieszczęśliwe, takie zagubione. W Aspen wiele samotnych matek wychowuje dzieci. Takich jak ja. Jest też wiele bogatych dzieciaków, które mają wszystko, ale jednak czegoś im brakuje. Staram się do nich jakoś dotrzeć. Czasem udaje mi się im pomóc, chociaż trochę. Ludzie, którzy cierpią, potrzebują rozmowy. Potrzebują więzi z innymi. Nie można wszystkiego dusić w sobie.

- Nie mam ochoty na pogadanki z psychologiem - mruknął Chris.

- Psycholog może bardzo pomóc - odparła. - Wiesz, ile lat ja chodziłam na terapię?

Chrisa nagle ogarnął niepokój. Wstał. Boże, nie chciał, żeby wiedziała o jego porażkach, o błędach, które popełnił. Miał być dla niej...

Supermanem... zawsze. Ale ona wodziła za nim oczami, smukła, śliczna i twarda jak skała.

- Chris...

- Co chcesz wiedzieć, Ashley? Naprawdę interesują cię moje ciemne sprawy? To, co musiałem robić? Błędy, klęski, o... - Podeszedł do okna, oparł się ramieniem o ścianę i spojrzał na rozciągające się w dole miasto. Nocą Denver wyglądało niemal jak metropolia. Zaraz jednak przypomniał sobie oświetlony Manhattan, migoczący jasno zza rzeki w New Jersey, i prawie zaczął żałować, że już tam nie mieszka, nie chodzi po ciemnych ulicach, nie puka do ukrytych drzwi, nie spotyka złych ludzi, nie czuje tego dreszczyku emocji. I nie musi się zastanawiać, kim jest. Przynajmniej do świtu.

Wziął głęboki oddech.

- Mówiłem ci, że byłem tajniakiem. Siedziałem w tajnych służbach North Jersey Task Force. Współpracowaliśmy z policją z Newark, policją stanową, DEA, FBI. To było coś. Każdy chciał się tam dostać, bo to oznaczało więcej pieniędzy, większe szanse na awans. Zostałem wybrany i sprawdziłem się, byłem dobry. Mówiłem ci już.

- Aha.

- Na początku szło świetnie, ale potem... - Urwał i pomyślał: kiedy coś zaczęło się psuć? Kiedy poznał Sala? Kiedy zaczął szanować facetów z mafii? Kiedy odkrył, co się dzieje w policji? - Sam nie wiem. Zaczęło się od drobiazgów. Odkryłem parę spraw... Policjanci na każdym poziomie brali łapówki, z dowodów ginęła broń i narkotyki. Gliniarze kłamali, kłamali w żywe oczy na salach sądowych. Fałszowali dowody. Straciłem złudzenia. Ale wtedy siedziałem w tym już zbyt głęboko.

- Wykonywałeś swoją pracę.

- Tak, ale po jakimś czasie zaczynasz się zastanawiać, po co to wszystko robisz? Nawet jeśli uda się kogoś wsadzić, dwudziestu innych zajmuje jego miejsce i zaczyna sprzedawać narkotyki i mordować w innych częściach miasta. I nic się nie zmienia. A jeśli pracujesz jako tajniak w mafii, zaczynasz się identyfikować z tymi ludźmi i myśleć, że oni nie są tacy źli. To zwykli ludzie, którzy próbują jakoś zarobić na życie. I... zapominasz. Zapominasz, kim jesteś i co tu robisz. Tracisz dystans. Gubisz się.

- Ty się zgubiłeś?

Chris ciągle stał przy oknie, odwrócony tyłem do Ashley. Nie chciał patrzeć jej w oczy.

- Chyba straciłem poczucie kierunku.

- A Joanie...? Czy ona o tym wiedziała?

- Kiedy wydarzyło się najgorsze, jej już nie było.

- Byłeś więc sam. Och, Chris.

- I tak by mi nie pomogła. Co mogłaby zrobić? Czy ktokolwiek mógłby coś zrobić?

- Tak mi przykro. Chris. Wiem, jak to jest zgubić drogę.

- Ale nie w taki sposób.

- To prawda.

Wstała. Chris odwrócił głowę i zobaczył, że Ashley podeszła bliżej, położyła mu dłoń na ramieniu, ale milczała. Stała teraz tak blisko, że czuł ciepło bijące od niej. Rękaw bluzki Ashley muskał jego rękę. Pachniała czymś lekkim i świeżym, co przywodziło na myśl kwiaty pomarańczy.

Tak łatwo byłoby się odwrócić i wziąć ją w ramiona. Dotknąć jej skóry, wtulić twarz we włosy. Chłonać jej dobroć i siłę... może, może choć trochę tej siły spłynęłoby na niego i ukoilo ten okropny ból.

- Dostrzegłam w tobie coś - powiedziała tak cicho, że musiał wyteńczyć słuch, by usłyszeć jej głos - kiedy przyjechałeś do Aspen. Dostrzegłam coś... Może dlatego, że sama wiele przeszłam. Wiem, jakie to straszne cierpieć w samotności. Czy jest coś, co mogłabym zrobić, żeby ci pomóc? Cokolwiek?

Odsunął się od niej, wiedząc, jak niebezpiecznie jest pozwolić na taką bliskość. Wyprostował się i odszedł powoli. Czuł, że z każdym krokiem narasta w nim gniew, jak pulsujący wrzód, gotów w każdej chwili pęknąć.

- Chris?

- Chcesz mi pomóc, Ashley? - zapytał ostrym, zimnym tonem. - To naprawdę zabawne. Jak chcesz mi pomóc odzyskać pracę? Możesz wymazać przeszłość? Kim jesteś, czarodziejką?

Patrzyła na niego, marszcząc brwi.

- Myślałam, że sam odszedłeś z pracy.

- Bo tak było.

- Ale... co w takim razie znaczy twierdzenie, że chcesz odzyskać pracę? Myślałam, że zrezygnowałeś z pracy w policji.

- Zapomnij o tym, Ashley.

- Nie - powiedziała. - Wyjaśnij, co miałeś na myśli - dodała głośniejszym, rozkazującym głosem.

Podniósł dłoń.

- Wiesz co? Naprawdę jesteś czasem jak wrzód na dupie. Spojrzała na niego twardo i zacisnęła usta.

- Nie możesz mówić czegoś, a potem oczekiwać, że o tym zapomnę. Nie jestem jakąś smarkulą, którą przyprowadziłeś tu na noc, lecz przyjaciółką.

Westchnął zniecierpliwiony, skrzyżował na piersi ramiona i stanął przed plakatem przedstawiającym Maroon Bells jesienią: złote drzewa, ciemne skały, biały śnieg. Patrzył na niego przez chwilę.

- To postawa defensywna - odezwała się Ashley za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie.

- Na litość boską! - Pokręcił głową, zirytowany. - Dobrze, do diabła z tym. Chcesz znać prawdę, w porządku. Odszedłem z policji, bo w przeciwnym razie zostałbym zwolniony. Trudno uznać to więc za dobrowolną decyzję.

- Dlaczego? - spytała zszokowana.

- Było dochodzenie wydziału spraw wewnętrznych, znaleźli coś, co im się nie spodobało. Takie rzeczy się zdarzają.

- O co cię oskarżyli?

- Och, to skomplikowane - skłamał. - Chodziło o jakieś kwestie techniczne.

- Ale ty byłeś niewinny! Jak mogłeś pozwolić, żeby... tak źle cię potraktowali?

Niewiele brakowało, by wybuchnął śmiechem. Niewinny.

- Kiedy w grę wchodzi wydział spraw wewnętrznych, niewiele można zrobić. Oni są jak buldogi, nie puszczają, póki żyjesz. Chyba że dasz nogę. Tym razem wybrałem tę drugą możliwość.

- Miałeś prawnika?

- Jasne. Związki zawodowe zapewniają prawników w takich przypadkach. Próbował coś wskórać, ale mu się nie udało.

- Najwyraźniej jednak nie mieli dowodów przeciwko tobie, prawda? Bo gdyby mieli, zostałbyś postawiony przed sądem?

- Zgadza się. Nie mieli dowodów, ale podejrzania wystarczyły. Oni uważają, że jesteś winny, dopóki nie udowodnisz im, że jest inaczej.

- To okropne.

Podobał mu się jej słuszny gniew, jej absolutna naiwność. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze się nie domyśliła prawdy, nie połączyła dochodzenia przeciw niemu i pieniędzy, które rzekomo wygrał. Ashley, jedna z niewielu prawdziwych niewinnych dusz tego świata. Ktoś taki jak on nie powinien nawet przebywać w tym samym pokoju co ona.

- Cóż, myślę, że powinieneś walczyć z tymi draniami.

- Hm.

- Dlaczego oni mają całą władzę? A co z twoimi prawami?

- To działa właśnie w ten sposób. I tak mam szczęście, że dali mi wybór i pozwolili odejść z własnej woli.

- Szczęście?

- Wszystko jest względne.

- Och, Chris, ta sprawa śmierdzi na kilometr. To jakaś parodia sprawiedliwości. Tracą czas, oskarżając cię bezpodstawnie o coś, czego nie zrobiłeś, podczas gdy powinni cię wspierać.

- Powinni to, powinni tamto.

- Nie możesz więc wrócić do policji w Denver? Zaśmiał się krótko.



- Wystarczy, że zadzwonią do mojego zwierzchnika w Newark i wyjdzie szydło z worka.

Podszedł do stolika, wziął swoją szklankę i wychylił jej zawartość jednym haustem.

- Nie możesz wziąć prawnika teraz? Naprawdę dobrego prawnika, który mógłby wygrać tę sprawę?

- To już skończone, Ashley.

- Może mógłbyś zatem... sama nie wiem... zostać prywatnym detektywem czy kimś w tym rodzaju?

- Do tego potrzebna jest licencja. Sprawdzają przeszłość.

- Och.

- Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałem?

- No tak, oczywiście.

Chris usiadł na kanapie i przeczesał palcami włosy.

- Nie martw się, coś wymyślę. Nie jesteśmy tu, żeby zajmować się mną.

- To tak, jakbyś mi powiedział, żebym nie martwiła się o Lauren. Dobrze przynajmniej, że wygrałeś te pieniądze.

Miał ochotę zerwać się na równe nogi i wrzasnąć: „Czy naprawdę nie widzisz, kim jestem?!“

- Tak, szczęście się do mnie uśmiechnęło.

- Mogę prosić o jeszcze jednego drinka? - zapytała.

- Jeszcze jednego?

- W tym był prawie sam sok pomarańczowy.

Nalał wódki do jej szklanki, dopełnił sokiem i wrzucił kostkę lodu. Sobie nalał kilka razy więcej wódki, którą sok tylko lekko zabarwił na

pomarańczowo. Kiedy podawał jej szklanę, dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się smutno.

Usiadł i rozmawiali jeszcze przez jakiś czas. Ashley porzuciła, na szczęście, temat jego pracy, choć właściwie już na to nie liczył. Była bardziej dociekliwa niż wydział spraw wewnętrznych.

- Jak ci się teraz podoba w Denver? - zapytała.

- Często widuję Richa i Joego, co mnie cieszy. Denver to chyba nadal mój dom, choć nie czuję się tu teraz całkiem u siebie. Na razie.

- To mieszkanie... jest bardzo ładne, ale chyba niezbyt... przytulne. Nie chcesz mieszkać w domu albo w bliźniaku?

- Nie, chcę mieć spokój. Żadnych trawników, które trzeba kosić, dachów, które przeciekają, i tak dalej.

- Mój dach przecieka.

- Sama widzisz.

Upiła łyk ze swojej szklanki, jej długa, smukła szyja poruszyła się lekko, kiedy przełykała.

- Chris, a nie chciałbyś się znowu ożenić? Myślisz czasem o tym?

- Nie zauważyłem, żebyś ty się spieszyła do ponownego zamążpójścia. Machnęła ręką.

- Ja jestem obarczona rodziną: ciężko chorą matką i dorastającą córką. Poza tym brak mi czasu, żeby o tym myśleć. Ty masz czas.

- Ale nie mam zamiaru. Nie jestem dobrym kandydatem na męża.

- Jesteś wspaniałym, dobrym człowiekiem, inteligentnym, przystojnym, świetnym w swojej pracy... to znaczy w swojej byłej pracy. Och, do diabła. Przepraszam. Ja tylko...

- W porządku.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Jedna z nich spłynęła po policzku. Otarła ją dłonią.

- Bardzo się o ciebie martwię.

- Masz sporo własnych problemów.

- Jest we mnie dość miejsca na jedno i na drugie. Kiedy znajdziemy Lauren, napiszę ci... referencje. Żeby wszyscy wiedzieli, jakim jesteś dobrym detektywem.

- Jasne, Ashley.

- Zrobię to.

- Nie jesteś jeszcze zmęczona?

- Tak, chyba już tak. Jestem zmęczona, przerażona i smutna.

- Idź spać. Mamy jutro wiele do zrobienia.

- Wiem. - Wstała w końcu, pochyliła się i pocałowała go delikatnie w policzek. Miejsce, którego dotknęły jej wargi, zdawało się go palić żywym ogniem. - Dobranoc, Chris - powiedziała i poszła, a on czekał, aż zamknie za sobą drzwi sypialni. Ale drzwi pozostały otwarte. Przypomniawszy sobie o jej klaustrofobii. Nigdy nie zamykała drzwi i okien.

Zdjął ubranie, rzucił je na krzesło i w samych bokserkach położył się na kanapie. Założył ręce za głowę i leżał, ale ciągle czuł obecność Ashley tak wyraźnie, że mógłby przysiąc, iż słyszał szelest pościeli, kiedy kładła się do łóżka. Do jego łóżka.

Powiedział jej o sobie więcej niż jakiegokolwiek innej istocie na kuli ziemskiej. Nawet Joe tyle o nim nie wiedział. Dlaczego? Dlaczego właśnie jej się zwierzył? Dlaczego tak niewiele brakowało, by rzucił jej przed oczy całą brudną prawdę o sobie?

Ona była księżniczką, aniołem, musiała nim być, skoro zносиła swój zwariowany dom, ataki Roberta, przeszłość. Chciał ją chronić, ukoić jej strach o córkę, wyleczyć ją z dręczących koszmarów klaustrofobii. Chciał teraz położyć się obok Ashley i tulić ją do siebie jak talizman.

Ale nie jest dla niej odpowiednim człowiekiem. Był trucizną, dla innych i dla siebie samego. Nawet gdyby starczyło mu odwagi, by pójść do niej i kochać się z nią, ona pozwoliłaby na to tylko z litości. A czy tego od niej chciał? Litości?

Zrobi jedno: odnajdzie jej córkę, a potem będzie mógł skończyć ze sobą. Wtedy stanie się to łatwe, żaden telefon nie zadzwoni w środku nocy, wzywając go z powrotem do świata żywych.

RS

## Rozdział 13

Ścieliła łóżko, kiedy usłyszała, że Chris bierze prysznic. Zakląła za zamkniętymi drzwiami łazienki, a zaraz potem otworzyła je i stanęła w kłębach pary, z ręcznikiem owiniętym niedbale wokół bioder.

- Rich ma dzisiaj urodziny. Właśnie sobie przypomniałem. Ashley, będę musiał wstąpić do Joanie, zanim ruszymy w drogę.

Ashley, trzymając poduszkę w ręce, spojrzała na stojący przy łóżku budzik.

- Jest dopiero parę minut po siódmej. Dotrzemy do Marble wczesnym popołudniem.

- Jesteś pewna?

- Tak. Masz już prezent?

- Tak, załatwiłem to kilka tygodni temu. Kupiłem mu nową rękawicę baseballową. Mam ją w bagażniku.

- Mogę ją zapakować. Uśmiechnął się lekko.

- Nie wiesz, jak mężczyźni robią zakupy? Nie kupujemy nic, czego nam nie zapakują w sklepie.

Przez całą drogę do domu Joanie Ashley myślała tylko o półnagim, ociekającym wodą Chrisie. Oczywiście czuła się z tego powodu winna. To niewybaczalne, że w ogóle potrafiła myśleć o nim w taki sposób teraz, kiedy Lauren groziło niebezpieczeństwo. Nie wspominając już o tym, że właśnie wybierali się do jego byłej żony, gdzie miała poznać jego syna. A jednak przed oczami ciągle miała wilgotne włosy na jego piersi, schodzące wąską linią w dół brzucha i niknące pod białym ręcznikiem. Jego długie ramiona, kształtne nogi, mokre włosy przylegające do pięknej głowy.

Zarost na twarzy. Gdyby zrzucił ten ręcznik i podszedł do niej, rozgrzany prysznicem... Uległaby mu natychmiast, przyjęłaby go w siebie na całą wieczność. Chris. Po dwudziestu latach jej dziecinne fantazje nie straciły nic ze swojej siły. Pragnęła go. Teraz nawet bardziej niż kiedyś, bo wydawał się równie samotny i spragniony miłości jak ona. Poczuć go w sobie... Tulić go do siebie i...

- To tutaj.

Drgnęła i wróciła do rzeczywistości.

- Co?

- Wszystko w porządku?

- Och... ja... tak, oczywiście. Tylko... myślałam o czymś. O tak, myślała.

Nie była pewna, na jakiej ulicy się znaleźli ani w jakiej dzielnicy. Gdzieś na obrzeżach Denver? W Wheat Ridge?

Była to ładna okolica, zamieszкана przede wszystkim przez klasę średnią. Niewielkie domy z czerwonej cegły, stojące dość blisko siebie. Stare drzewa i krzewy. Pod domem Joanie znajdował się zadbany ogródek skalny. Na trawniku kręcił się zraszacz.

Chris zaparkował na podjeździe.

- Mogę tylko podać prezent, chyba że chciałabyś...

- Chętnie poznam twojego syna - powiedziała, otwierając drzwiczki.

I Joanie. Szczególnie Joanie, przyznała w myślach.

Dawna żona Chrisa była uderzająco ładna. I dobrze ubrana. Miała na sobie białą bluzkę bez rękawów, krótki sznur pereł na szyi, beżową spódnicę do kolan i czółenka na wysokich obcasach. Skórę miała gładką i

bardzo jasną, podobnie jak włosy, ściągnięte w schludny węzeł na karku. Najwyraźniej wychodziła do pracy.

Ashley czuła, że w swoich sportowych spodniach khaki, brązowych sandałkach i zielonym podkoszulku, którego nie wsunęła nawet w spodnie, wygląda niechlujnie. Chris oczywiście wyjaśnił, że Joanie pracuje w agencji obrotu nieruchomościami i często jest poza domem, ale i tak...

- Wejdźcie, proszę - powiedziała Joanie, przytrzymując drzwi. - Jubilat jest w kuchni.

Chris przedstawił je sobie i Ashley zaskoczył fakt, że nie tylko Joe wiedział, kim ona jest, ale Joanie także.

- Ashley - powiedziała. - Nie mogę uwierzyć, że w końcu się spotykamy. Kiedy Chris studiował w akademii... tam się poznaliśmy... no więc w tym czasie ciągle o tobie mówił. Tak się cieszę, że mogę cię poznać. To, co cię spotkało, to porwanie, musiało być straszne. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Rich...

- Ja też się cieszę, że cię poznałam - przerwała szybko Ashley, rozpaczliwie starając się nie myśleć o ciemnych, zimnych kopalniach i Lauren. Nie teraz, postanowiła w duchu.

Chris poszedł do syna. Ashley miała nadzieję, że szybko wróci, bo nagle poczuła się strasznie osamotniona. Ale okazało się, że czeka ją jeszcze jedna niespodzianka.

Joanie nagle położyła szczupłą dłoń na jej ramieniu.

- Tak się cieszę, że jesteś z Chrisem - szepnęła. - Wszyscy bardzo się o niego martwiliśmy. On... - Ale nie dokończyła zdania. Chris wrócił, prowadząc ze sobą Richa.

Chłopiec - który tego dnia kończył jedenaście lat - był jeszcze w piżamie. Uśmiechnął się nieśmiało i wyciągnął do Ashley rękę, zaraz jednak zorientował się, że ma na niej ciągle nową rękawicę baseballową. Był leworęczny, dlatego rękawicę wkładał na prawą rękę. Zaśmiał się z zakłopotaniem, zdjął rękawicę i uściśnął dłoń Ashley. Potem odwrócił się do matki.

- Zobacz, mam. Profesjonalna rękawica! Nie mogę się doczekać, kiedy trener ją zobaczy.

Był podobny do obojga rodziców, po każdym odziedziczył najlepsze cechy. Zapowiadał się na bardzo przystojnego mężczyznę. Miał jasną, gładką cerę Joanie i jej szerokie usta. Ale jego oczy były podobne do oczu Chrisa, ciepłe i brązowe. Włosy także wziął po ojcu, jasnobrązowe i zawsze rozczochrane.

- Muszę lecieć do biura na parę godzin - powiedziała Joanie. - Mama przyjdzie do Richa i zacznie piec tort urodzinowy. Ale wrócę przed pierwszą i zapraszam was oboje na...

Chris pokręcił głową.

- Wiesz, że chętnie bym przyszedł, gdybym mógł, Joanie. - Zmierzwił włosy syna, a potem pochylił się nad nim i pocałował go. - Przykro mi, że nie mogę być na przyjęciu, mały. Ale jak tylko skończę tę sprawę, wezmę cię na wędrowną. Na cały weekend. Co ty na to?

- Super. Zresztą przyjęcia urodzinowe i tak są dla dzieciaków. To był pomysł mamy.

Wyszli wkrótce potem.

- Jaka szkoda - powiedziała Ashley w samochodzie - że nie możesz pójść na przyjęcie. Chris, ja...



- Daj spokój - odparł. - W wieku jedenastu lat interesują cię tylko prezenty. I naprawdę spróbuję wziąć go na wycieczkę, kiedy skończy się sezon rozgrywek - dodał, ale jego głos brzmiał dziwnie głucho, jakby nie należał do niego.

- To pewnie będzie dla niego wspaniała przygoda. To taki miły chłopiec, Chris. Za parę lat będzie prawdziwym przystojniakiem.

- Jak jego tata?

- Oczywiście - powiedziała Ashley z uśmiechem, ale nagle przypomniała sobie dłoń Joanie na swoim ramieniu i jej słowa. „Wszyscy bardzo się o niego martwiliśmy”. Mówiła to bardzo poważnie.

Robert miał koszmary poranne. Dziecko było przeziębione i przez pół nocy nie dało im zmrzyć oka. Potem Maria, która przychodziła pięć razy w tygodniu, zadzwoniła i poprosiła o wolny dzień w związku z jakąś sprawą rodzinną.

Elaine wprawdzie zrobiła wszystko, by przeorganizować swoje zajęcia, ale i tak misternie ułożony wcześniej plan dnia legł w gruzach z powodu nieobecności Marii.

- Kochanie - odezwała się Elaine przy śniadaniu - naprawdę potrzebujemy stałej opiekunki. Maria świetnie sobie radzi w kuchni, ale nie zawsze można na niej polegać.

Potem zadzwonił księgowy z firmy Roberta i poinformował go, że przychody z inwestycji nie zgadzają się z przewidywaniami. Był to już trzeci księgowy, którego Robert zatrudnił od czasu feralnego 2002 roku.

Teraz Roberta czekało lato w Kalifornii wypełnione ślęczeniem nad księgami korporacji.

No i Lauren. I Ashley z tym jej byłym glina, nad którym tak się rozpływała.

Ashley zadzwoniła tego ranka. Tak jak obiecała, musiał jej to przyznać. Problem jednak polegał na tym, że nie bardzo wierzył w to, co mówiła. Był pewny, że zataiła jakieś ważne szczegóły; szczegóły, które miał pełne prawo znać.

Elaine zapytała o Lauren, a potem zabrała dziecko do lekarza na dziesiątą. Robert zamknął się w gabinecie, żeby zadzwonić do Marka Kingstona, prywatnego detektywa, który ciągle szukał informacji na temat Chrisa Judge'a.

Kingston wrócił już z Newark do Denver.

- Miałem zadzwonić do ciebie dzisiaj - powiedział. - Dowiedziałem się kilku dziwnych rzeczy.

- Słucham więc - odparł Robert ze zniecierpliwieniem.

- Wygląda na to, choć nie mam żadnych dowodów, że ten Judge to typ Robin Hooda. W Denver mieszka pewien były policjant, inwalida na wózku. Jego długie nagłe zniknęły w niewyjaśniony sposób. A miał ich sporo, chodziło o kilkaset tysięcy.

- I co z tego? Co to ma wspólnego z... Och. - Robert nagle zrozumiał.

-Och. Pieniądze, które zaginęły w Newark?

- Zgadza się. Ten facet z Denver i Judge znają się od szkoły podstawowej.

- Robin Hood - mruknął Robert sarkastycznie. - A moja pokręcona była żona pokładała w nim całą wiarę. Jezu. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Facet wyglądamy na jakiegoś świra.

- Mam tam pojechać i powęszyć koło tego? Robert zastanawiał się przez chwilę.

- Na razie nie. Dam Ashley i jej kumplowi jeszcze trochę czasu. Mam tylko nadzieję, że nie ukrywają przede mną niczego.

- Zawsze możesz zadzwonić do FBI.

- Owszem. Mogę.

Elaine nie wróciła i o dziesiątej trzydziści Robert pojechał do domu Ashley. Ona może kryje parę kart w rękawie, ale jej matka z pewnością będzie bardziej skłonna do rozmowy. Jeśli, oczywiście, zastanie ją w stosunkowo dobrym stanie.

Zawsze nieźle dogadywał się z Pauline. Wiedział, że ceniła go ze względu na jego pozycję i pieniądze. To zupełnie mu nie przeszkadzało. Wielu ludzi za to właśnie go ceniło.

Skinął głową Ludzie, która podlewała kwiaty w ogródku przed domem. Spojrzała na niego nieufnie, kiwnęła głową i powiedziała, że Pauline ogląda w domu telewizję. Vladimira nie było. W każdym razie nigdzie go nie widział.

Kiedy wszedł do środka, zdjął okulary przeciwsłoneczne i czapeczkę baseballową, a Pauline podniosła wzrok i klasnęła w ręce.

- Robert! Jak miło cię widzieć.

- Witaj, Pauline - powiedział. Uznał fakt, że go rozpoznała, za dość obiecujący.

Pauline zmarszczyła brwi.

- Och, ale nie zastałeś Ashley. Pojechała do... zaraz, zaraz... do Denver.

- Wiem.

- A Lauren... Lauren jest w...-Zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się nieco. - O Boże, Lauren zaginęła. Jestem trochę zdezorientowana, ale na pewno zaginęła, bo Ashley dzwoniła i mówiła, że ona i ten człowiek... Nie pamiętam, kto to jest... W każdym razie Ashley jedzie do Marble szukać tego drugiego człowieka. Chyba chodzi o Lauren. Tak, oczywiście. Wiedziałaś, że Lauren zaginęła?

- Tak, wiem o tym - powtórzył Robert. - Dlatego tu przyjechałem, Pauline. Mogę z tobą chwilę posiedzieć?

Pauline była zachwycona i poklepała poduszkę na kanapie obok siebie.

- Usiądź tutaj. Poproszę Lude, żeby zrobiła ci drinka.

- Jest trochę za wcześnie na alkohol.

Pauline wydawała się przez chwilę zaskoczona. Potem kiwnęła głową.

- No tak, o czym ja myślę?

- Pamiętasz - zaczął Robert - kiedy dokładnie Ashley mówiła ci o wyjeździe do Marble?

- Oczywiście, że pamiętam - rzuciła Pauline ostro.

- Dobrze, dobrze. - Uśmiechnął się. - Nie chciałem cię zdenerwować, tylko martwię się o Lauren. Ciągłe się zastanawiam, czy nie powiadomić policji.

Pauline znowu zmarszczyła brwi.

- W sprawie Ashley niewiele pomogli.

- Rozumiem. - Dotknął jej ramienia. - Ale minęło już kilka dni, odkąd Lauren zniknęła, i obawiam się, że Ashley szuka wiatru w polu.

Pauline zamyśliła się głęboko.

- To ten sam człowiek, wiesz, ten Potts. On ma moją wnuczkę. Ashley... Co ona mi powiedziała? Aha, Ashley sądzi, że on trzyma ją w jakiejś chacie. Tak. W chacie.

Do tej pory Pauline powtarzała to, co on także usłyszał od Ashley przez telefon. Może więc Ashley nie tuiła przed nim żadnych informacji, może nie przesadzała, mówiąc, jak blisko ona i jej dawny gliniarz są znalezienia Lauren. Może. Do diabła, nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Wiedział tylko, że jest zdenerwowany i że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

- Wiesz, że ona ciągle nie może znieść zamkniętych okien? Ani żadnych zamkniętych miejsc? - powiedziała Pauline w zamyśleniu i w jej oczach błysnęły łzy. - A teraz Lauren, nasza mała dziewczynka...

Robert westchnął.

- Ashley nie jest całkiem zdrowa, rozumiesz - ciągnęła Pauline. - Całe lata chodziła na terapię. Nie chcę, żeby Lauren przechodziła przez to samo.

- Ja też nie.

- Może... może Lauren powinna mieszkać z tobą. Myślisz, że zostałaby porwana, gdyby mieszkała z tobą, Robert?

Nie bardzo wiedział, jak na to odpowiedzieć. W dodatku do domu weszła Luda i zaczęła sprzątać w salonie, nadstawiając uszu. Ostrożnie dobierał słowa.

- Nie wiem, Pauline. Wiem tylko, że Ashley wiele przeszła, a teraz ten Potts znowu ją dręczy, poprzez Lauren. Może gdyby Lauren mieszkała u mnie, Potts nie wykorzystałby jej, żeby zemścić się na Ashley. Boże, sam nie wiem.

Luda podeszła do drzwi kuchni z wielką stertą starych gazet w rękach i powiedziała coś.

- Słucham? - Robert wstał.

- Lauren być lepiej z tobą. Ashley mieć problemy.

Uznał, że to nie jej sprawa i powinna zachować swoje uwagi dla siebie. Zauważył też, że w kuchni był Vladimir. Wyciągał właśnie zakupy z siatek. Przynajmniej on znał swoje miejsce.

Robert spojrział na Pauline, która ucichła nagle, a potem na Lude, która patrzyła na niego ponuro. Lauren powiedziała w ubiegłym roku, że żyje w domu wariatów. Rozejrzał się wokół i pomyślał, że nie zmyślała. A teraz do tego domu wariatów zawitał jeszcze Robin Hood i najwyraźniej został hersztem tej wesołej bandy.

RS

## Rozdział 14

Po trzech godzinach jazdy dotarli do Marble. Ashley zapomniała, jak wspaniały, zapierający dech w piersiach widok przedstawia Crystal River Valley. Kiedy skręcili z autostrady w krętą drogę wiodącą przez Carbondale i Redstone, wróciły wspomnienia. Po lewej stronie wznosiła się Mount Sopris. Na jej zboczach pasły się konie i bydło, czerwone skały znaczyły zielen pastwisk, a w dole, rozrzucone wzdłuż rzeki, leżały potężne białe bloki marmuru, które spadły z wagonów jadących z kamieniołomów.

Ludzie łowili w rzece ryby i siedzieli w cieniu drzew na brzegach. Kilka wodospadów, wyglądających jak srebrzyste wstążki, spływało ze skał. Były tam też gorące źródła, w których kiedyś nago kapali się hipisi; potężna Elephant Mountain i rząd starych pieców, których używano w okresie rozkwitu kopalnictwa.

Potem dolina zwężała się, jakby pod naporem gór, a droga zmieniła się w wyboisty trakt.

- Byłaś tu kiedyś? - spytał Chris.

- Najdalej w Redstone.

- Ja chyba przyjechałem tu raz z ojcem na polowanie, ale nie jestem pewny.

- Marble nie jest zbyt duże, prawda?

- Mieszka tu kilkaset osób. Nie, nawet mniej.

- Gdyby Davey tu był, ktoś musiałby go zauważyć, nie sądzisz?

- Może.

- Może - powtórzyła.

Był gorący, letni dzień, nad najwyższymi szczytami zbierały się chmury, słońce migotało w wodzie, przeświecało przez liście drzew, zalewało blaskiem drogę.

Minęli znak z nazwą miasteczka i oznaczeniem wysokości - 2477 METRÓW N.P.M. Wzdłuż drogi leżały bloki białego marmuru. Dolinę gęsto porastały drzewa, potężne sosny i srebrne świerki, ocieniając budynki i nadając miasteczku wygląd leśnego obozowiska. Było tam kilka niewielkich moteli, agencja turystyczna organizująca wycieczki do kamieniołomu, remiza strażacka, duży sklep i kościółek - maleńki drewniany budynek ze strzelistą wieżą. Dwie galerie sztuki i stuletni budynek Marble City State Bank. Parę domów, niektóre stare, inne nowe, z drewnianych bali. I tyle.

- To małe miasteczko - stwierdziła Ashley.

- Tak.

- Ale możemy trochę popytać, prawda?

- Czasami ludzie podejrzliwie odnoszą się do obcych. Lubią swoje odosobnienie. Musimy zachować ostrożność. Ja będę mówił, dobrze?

Zaparkował przed sklepem. Była to duża drewniana chata z gankiem, na który prowadziły schodki z marmurowych bloków. W środku siedziało dwóch mniej więcej dziesięcioletnich chłopców, którzy najwyraźniej należeli do obsługi sklepu.

- Cześć - powiedział Chris - zastanawiam się, czy nie moglibyście nam pomóc.

- Możemy spróbować.



- Moja żona i ja - Ashley drgnęła, słysząc z jaką łatwością nazwał ją swoją żoną - szukamy córki. Podejrzewamy, że uciekła ze swoim chłopakiem. - Wyjął zdjęcie Lauren, które dała mu Ashley, i przefaksowane zdjęcie Potts. Obie fotografie pokazał chłopcom. - Widzieliście może któreś z nich w okolicy? Może coś tu kupowali?

- Wie pan, czym on jeździ? - spytał jeden z chłopców.

- Przykro mi, ale nie.

Obaj patrzyli chwilę na zdjęcia. Lauren, ładna, ożywiona, uśmiechnięta. Davey Potts, o wąskiej twarzy, bezbarwnych włosach i bladej skórze, ziemistej po wieloletnim pobycie w więzieniu. Jego oczy także wydawały się bezbarwne, ale były bystre, zdecydowane. Przerazające.

Obaj chłopcy zgodnie pokręcili głowami.

- Nie, nie widzieliśmy ich.

- Gdybyście ich zauważyli albo choć jedno z nich, może moglibyście zadzwonić? - Chris wyjął wizytówkę z portfela i zapisał na odwrocie numer komórki Ashley. Zauważyła, że była to wizytówka policyjna, z pieczętą i literami oznaczającymi rangę porucznika przed nazwiskiem. Jeśli zrobiła na chłopcach wrażenie, tym lepiej.

Chris kupił dwa napoje i wyszedł z Ashley na zewnątrz.

- Twoja żona? - powiedziała. Wzruszył ramionami.

- To ułatwiło sprawę. Ludzie zawsze bardziej współczują rodzinom. - Spojrzał na nią z ukosa. - Nie masz nic przeciw temu?

Ashley poczuła, że się rumieni. Przypomniała sobie wszystkie swoje dziecinne marzenia... i te całkiem świeżej daty.

- Nie, nie mam nic przeciw temu, Chris, naprawdę, rób, co uważasz za stosowne. Tylko... chyba mnie to trochę zaskoczyło.

- Nigdy nie wiem, co powiem. Nie planuję. Muszę spojrzeć na ludzi, z którymi mam rozmawiać, zorientować się w sytuacji. Nie zdziw się więc, jeśli następnym razem wymyślę coś innego.

Dopili napoje i mszyli uliczkami Marble. Pukali do drzwi, pokazywali zdjęcia, zadawali bez końca te same pytania. Pukali do prywatnych domów, zaglądali do galerii, do moteli, do agencji turystycznej. Ludzie na ogół kręcili głowami i mówili, że nikogo takiego nie widzieli. Jedna starsza kobieta tak długo wpatrywała się w fotografię Daveya, że Ashley omal nie wyskoczyła ze skóry.

- Czy ta twarz wydaje się pani znajoma? - spytał Chris.

- Takie mam wrażenie. Pamięć mi ostatnio nie dopisuje, ale jestem prawie pewna, że kawałek stąd mieszkał człowiek, który tak wyglądał. Miał takie dziwne nazwisko, Mott, Pott... jakoś tak.

- Jerry Potts - wyszeptała Ashley.

- Właśnie! Oczywiście. Dziwak, trzymał się z dala od ludzi.

Wdowiec.

- To, prawdę mówiąc, jest zdjęcie jego syna - powiedział Chris. - Daveya Potts. Jerry zmarł kilka lat temu.

- I ten człowiek - kobieta wskazała palcem fotografię - uciekł z waszą córką?

- Tak sądzimy.

- Okropne, do czego ludzie są dzisiaj zdolni.

- Widziała pani tego człowieka ostatnio w okolicy?

- Nie, nie wydaje mi się. Ashley jęknęła z rozczarowania.

Ruszyli dalej, oddalając się teraz od centrum miasteczka, i powtarzali swoją historię tyle razy, że w końcu im samym zaczęła się wydawać wiarygodna. Kobieta w gospodzie przy Raspberry Ridge uniosła jedną brew na widok zdjęcia Daveya. Ashley zagryzła wargi.

- Chyba go widziałam - powiedziała w końcu kobieta. - Przejeżdżał wtedy w starym, zdezelowanym blazerze. Zwróciłam na niego uwagę, bo go nie znam, a znam tu właściwie wszystkich.

- Kiedy to było? - spytał Chris.

- Och, kilka dni temu.

- Pamięta pani kolor tego blazera?

- Chyba był biały. Ale nie jestem pewna.

Chris dał jej wizytówkę z numerem Ashley, tak jak wszystkim innym.

- Mam nadzieję, że odnajdziecie państwo córkę -- powiedziała kobieta, odchodząc.

Wrócili do samochodu i pojechali dalej. Minęli Beaver Lake, gdzie wypytali wędkarzy, a potem skręcili w stronę kamieniołomu. Teraz nie było tu już dźwigów ani ciężkich maszyn. Kamieniołom, z którego pochodził marmur użyty do wykonania pomnika Lincolna i Grobu Nieznanego Żołnierza, stał cichy i pusty, porastał lasem.

- Myślisz, że ta kobieta naprawdę go widziała? - zapytała Ashley.

- Wolalbym, żeby jeszcze ktoś to potwierdził. Jedna osoba to nie dosyć. Zatrzymali się przy remizie strażackiej, gdzie natknęli się na jednego ochotnika.

- Widział pan którąś z tych osób? - spytał Chris jak zwykle. Ashley stwierdziła, że naprawdę był w tym dobry, poważny i cierpliwy,

natychmiast wzbudzał sympatię wszystkich, którym opowiadał swoją historię

Mężczyzna obejrzał fotografie.

- Nie, nie widziałem ich. Ale zwrócę uwagę, możecie być pewni.

- Dziękuję - odparł Chris. - A może mi pan powiedzieć, jak dojść na East Silver Street?

- Jasne. Prosto tędy. - Wskazał kierunek dłonią. - Koło jeziora. Drogą na Crystal City.

- Bardzo dziękuję - powiedział Chris.

- East Silver Street? - spytała Ashley w samochodzie.

- Tam kiedyś mieszkali Pottsowie. Pięć kilometrów za Beaver Lake, a dalej traktem w lewo. Joe wyszukał dla mnie adres.

- Myślisz, że on tam jest?

- Prawdopodobnie nie. To tak samo jak z kopalnią, czułem, że go tam nie ma, ale musiałem to sprawdzić. Przestępcy często ukrywają się na terenie, który dobrze znają.

- Może... - Ashley zagryzła wargi. - Och, to wszystko wydaje się takie bezsensowne. On przetrzymuje gdzieś Lauren, a my błąkamy się bez celu i wypyujemy starsze panie.

- Spójrz na to z innej strony. Teraz całe Marble zna ich twarze. Ktoś z mieszkańców może zobaczyć Pottsów albo Lauren i zadzwonić. Nie marnujemy czasu. To, co robimy, jest logiczne.

Skręcił za jeziorem na wyboisty trakt. Crystal City, dziewięć kilometrów. Crystal City? Czy tam naprawdę ktoś mieszka? - Pomyślała Ashley. Samochód wzniewał tumany kurzu, słońce prażyło jej ramię, ale

nie zwracała na to uwagi. Gdzieś w tych dzikich górach czeka na nią Lauren. Ashley czuła, że jej córka jest gdzieś niedaleko.

- W porządku, przejechaliśmy już pięć kilometrów - powiedział Chris. - Szukaj teraz drogi po lewej stronie.

Wkrótce dotarli do wąskiej drogi ciągnącej się między drzewami. Skręcili w nią i po chwili pojawiła się przed nimi polanka. Chris zatrzymał samochód.

- O co chodzi?

- Zostań tu. - Wyciągnął rękę i wyjął rewolwer ze schowka na rękawiczki.

- O Boże.

- Zajrzę tam. Może ktoś tam jest.

- Idę z tobą.

- Zostań.

Czekała. Wydawało jej się, że trwało to wiele godzin, choć w rzeczywistości minęło zaledwie dziesięć minut. Powtarzała swoją mantrę i usiłowała oddychać głęboko balsamicznym, pachnącym żywicą powietrzem. Lauren. Lauren.

Chris wrócił, tak cicho, że kiedy otworzył drzwi, drgnęła, zaskoczona.

- W domu nikogo nie ma - powiedział.

- A jeśli... może Lauren tam gdzieś jest?

- Zajrzałem w okna. Nikogo. - Przekręcił kluczyk w stacyjce, ruszył powoli i Ashley zobaczyła zaraz oświetloną słońcem chatę z drewnianych bali. Wyglądała jak domek z dziecięcych rysunków - spadzisty dach, drzwi

umiejscowione na środku frontowej ściany z oknami po obu stronach. Nicco dalej, pod świerkami, stała niewielka szopa.

Ashley wysiadła z samochodu; musiała sama się przekonać, że Lauren tam nie ma. Podeszła ostrożnie do okna. Duże pomieszczenie, goła podłoga, piec opalany drewnem, dwa łóżka pod jedną ścianą, prowizoryczna kuchenka pod drugą, drabina wiodąca na stryszek.

- Lauren - powiedziała do pustego pokoju za zakurzoną szybą. - Lauren! - powtórzyła głośniejsze.

- Tu jej nie ma. - Chris chwycił ją za ramię.

- Skąd wiesz? Jesteś pewny?

- Nie ma śladów stóp ani opon, nie ma żadnych śmieci. Od dawna nikogo tu nie było. Od miesiący.

- Możemy wejść do środka?

- Frontowe drzwi są zamknięte na zasuwę.

- Spróbuj. Może uda ci się ją podważyć?

- Chyba uważasz mnie za czarodzieja.

- Owszem.

- Ashley...

Ale obszedł dom dookoła i sprawdził wszystko. Metodycznie, dokładnie, krok po kroku, kucając co jakiś czas, żeby podnieść coś z ziemi, obejrzeć i odrzucić po chwili. Spróbował otworzyć każde z okien oraz podważyć zasuwę. Ashley czekała, obserwując uważnie każdy jego ruch. Było to fascynujące - poruszał się ze zwierzęcym niemal wdziękiem, pewnie, szybko. Jak drapieżnik na polowaniu, piękny i niebezpieczny.

Tak, fascynowało ją to, ale ani na chwilę nie zapomniała o Lauren, cały czas się o nią martwiła, cały czas się o nią bała. Myślała na przemian o Chrisie i o Lauren.

W końcu Chris wrócił i pokręcił głową.

- Tak jak mówiłem, nic tu nie ma.

- Mógłbyś wybić okno i wejść do środka?

- Mógłbym, ale naprawdę wątpię, byśmy tu kogoś znaleźli. A na pewno nie chcę, by Potts się czegoś domyślił, jeśli się tu pojawi.

Ashley spojrzała na niego rozczarowana.

- Istniała bardzo niewielka szansa, że ich tu zastaniemy.

- Chyba tak.

- Musimy zlokalizować inne chaty w tej okolicy. Jeśli są równie odosobnione jak ta, nie będzie to łatwe.

- Jak zatem chcesz to zrobić?

- Mam pewien pomysł. Gdzieś tu musi być leśniczówka. Służby leśne na pewno znają okolicę.

- Dobrze, gdzie to może być?

Mężczyzna, który łowił ryby nad jeziorem, pokazał im drogę.

Najbliższa leśniczówka znajdowała się w Redstone.

- Redstone - mruknęła Ashley.

- Tu nic już nie wskóramy.

- Ale Lauren nie ma w Redstone. Ona jest tutaj. Niedaleko. Wiem to.

Czuję to - zaprotestowała.

- I znajdziemy ją.

Cofnęli się trzydzieści kilometrów do wioski pełnej galerii, restauracji i sklepów z pamiątkami. Główna ulica biegła wzdłuż rzeki, a

nad wioską wznosił się imponujący Redstone Castle, wielki dom z przełomu wieków, wybudowany przez Johna Clevelanda Osgooda, który chciał robić wrażenie na ludziach, takich jak J.P. Morgan, John D. Rockefeller czy Teddy Roosevelt.

- Ładne miejsce - stwierdziła Ashley.

- Widzisz tu gdzieś leśniczówkę?

- Ten człowiek mówił chyba, że jest przy zjeździe w Redstone Boulevard?

- No i jest. To tu.

Zatrzymał samochód przed małym drewnianym budynkiem.

- Chcesz pójść ze mną? - zapytał. Ashley westchnęła.

- To wydaje się takie beznadziejne.

- Wiem, ale pamiętaj, że na tym polega praca detektywa. Trzeba sprawdzać wszystko, nawet najbardziej nieprawdopodobne możliwości. Zaczynasz od tych najbardziej prawdopodobnych, a potem przechodzisz do tych mniej oczywistych.

- I to właśnie robimy tutaj, to już koniec naszej listy możliwości.

- Nigdy nie wiadomo. No, chodź, zanim zamkną biuro.

Miała wrażenie, że ciężar porażek tego dnia przygniata ją do ziemi. Przejechali w dwa dni cały stan i odkryli tylko opuszczoną chatę i opuszczonego przez Daveya kochanka. Potts był nieuchwytny jak duch, ktoś widział go tu, ktoś inny tam, a może tak naprawdę nikt go nie widział. I nigdzie nie natknęli się na żaden ślad Lauren.

Weszła za Chrisem do biura. Był to zagracony pokój. Kilka telefonów, krótkofalówka, szczegółowe mapy topograficzne przypięte do ściany pinezkami. Stary szkolny zegar. W pokoju siedziały dwie osoby,



kilkunastoletni chłopiec, który zapewne dorabiał tu sobie w czasie wakacji, i starszy mężczyzna w mundurze leśnika.

- Dzień dobry - powiedział Chris.

- W czym mogę panu pomóc? - odezwał się chłopiec.

Chris opowiedział tę samą historię, którą opowiadał ludziom w Marble - szuka córki, która prawdopodobnie uciekła z domu. Podejrzewa, że może ukrywać się w chacie w pobliżu Marble, i chciałby zapytać, czy są jakieś mapy, na których zaznaczono górskie chaty oraz inne opuszczone budynki w okolicy.

Chłopiec odwrócił się do starszego mężczyzny.

- Larry, ty wiesz o tym więcej niż ja. Możesz pomóc tym ludziom?

- Hm. Muszę się zastanowić. - Larry podszedł do skrzynki stojącej za kontuarem i wyjął z niej trzy mapy topograficzne. - Mogę wam pokazać parę miejsc. Oczywiście, nie znam wszystkich chat, ale zrobię, co będę mógł. - Rozłożył mapy i pochylił się nad nimi wraz z Chrisem, wskazując drogi grubym palcem człowieka nawykłego do ciężkiej fizycznej pracy.

- Dużo pan jeździ po okolicy? - spytał Chris.

- Tak, na tym między innymi polega moja praca.

- Był pan niedawno w pobliżu któregoś z tych miejsc?

- Trzy dni temu. Może cztery. Przejeżdżałem tędy. Tu jest chata - pokazał drogę na mapie - koło Whitehouse Mountain.

- Czy coś mogło wskazywać na to, że niedawno korzystali z niej jacyś ludzie?

- Nie zauważyłem. Ale też nie zwracałem szczególnej uwagi.

- Ale zapewne zauważyłby pan samochód?

- Tak, prawdopodobnie. Nie przypominam sobie jednak, żebym widział jakieś auto.

- Dużo ludzi jeździ tymi drogami?

- Trochę jeździ. Ale to zaniedbane trakty. Nie są to trasy turystyczne.

- Na pewno - mruknął Chris.

Pokazał zdjęcia Lauren i Daveya, ale ani chłopiec, ani Larry ich nie widzieli. Dał im więc wizytówkę z numerem Ashley i poprosił, by dali znać, jeśli coś zauważą.

- Żeby taka młoda dziewczyna uciekała ze starszym facetem. - Larry pokręcił głową. - Powinien być na to paragraf.

- Ona ma piętnaście lat - odparł Chris. - Jest na to paragraf.

Wyszli na zewnątrz. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Ashley czuła się wyczerpana i zniechęcona. Po dwóch dniach wszystkim, co mieli, była mapa z kilkoma miejscami zaznaczonymi długopisem.

- Zmęczona? - spytał Chris w samochodzie.

- Tak, zmęczona, głodna i zniechęcona.

- Jedźmy coś zjeść, a potem zastanowimy się, co dalej.

Zjedli w Crystal Club Cafe, restauracji mieszczącej się w wiktoriańskiej kamieniczce. Wnętrze było przytulne, pastelowe. Na ganku wisiały kosze z kwiatami, a stoliki zostały przykryte kolorowymi obrusami. Wieczór był ciepły, usiedli więc na zewnątrz. Restauracja serwowała dania typowe dla amerykańskiej kuchni - burgery, kurczaka z grilla i frytki. Zamówienie przyjął sam właściciel.

- Wiem, może się wydawać, że utknęliśmy w martwym punkcie - powiedział Chris, kiedy czekali na posiłek. - Ale często tak bywa. Wierz mi.

- Staram się - szepnęła. Nie patrzyła na niego, wodząc z roztargnieniem palcem po szklance z mrożoną herbatą.

- Nic jej nie jest. Zaufaj mi. - Chris położył dłoń na jej ręce. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, ciepłe i złote, pełne głębi. Przypomniała sobie, że patrzył już na nią w ten sposób, kiedy wynosił ją z kopalni. A potem na stole pojawiły się zamówione dania, Chris cofnął dłoń, a światło w jego oczach zgasło tak nagle, jakby ktoś przekręcił wyłącznik.

Do Aspen było osiemdziesiąt kilometrów, Chris chciał wyjechać w góry jak najwcześniej, wynajęli więc dwa przylegające do siebie pokoje w motelu niedaleko głównej ulicy w Redstone.

Za budynkiem płynęła Crystal River. Ashley otworzyła okno szeroko i rozsunęła zasłony, by móc słuchać jej szumu i wdychać czyste górskie powietrze. Miała ochotę zostawić też uchylone drzwi, ale wiedziała, że to nierozsądne. Położyła się na łóżku i zaczęła powtarzać w myślach swoją mantrę. I co z tego, że drzwi są zamknięte? I co z tego?

Wzięła prysznic i przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Roberta. Nie, zdecydowała, nie dziś. Czowała się zbyt zmęczona. Włączyła telewizor i obejrzała jakiś program, ale kiedy się skończył, nie pamiętała już, czego dotyczył. Myślała o Lauren i Daveyu. Jej komórka leżała podłączona do ładowarki. Ashley cały czas bała się, że telefon się wyładuje, kiedy Davey zadzwoni z jakimś ultimatum, a ona nie będzie mogła odebrać. Davey się wścieknie i zrobi coś złego Lauren. Zabije ją. A wszystko z powodu głupiego telefonu. Jutro kupi zapasową baterię.

Myślała też o Chrisie. Mogłaby wstać i zapukać do jego drzwi. Otworzyłby je, wpuściłby ją do środka. Może kochaliby się na jego łóżku.

Czułaby jego zapach, czułaby dotyk jego skóry... Pocieszaliby się nawzajem, dwie zagubione dusze w chaosie wszechświata. Jego była żona mówiła, że się o niego martwi. Czy Joanie wie, co się wydarzyło w Newark? Nie, na pewno nie, Chris wspominał przecież, że odeszła od niego wcześniej. Ashley miała wrażenie, że to kobieca intuicja podpowiadała Joanie, że Chris ma jakieś problemy.

„Tak się cieszę, że jesteś z Chrisem”, powiedziała. Jakby Ashley mogła mu pomóc. A przecież, na Boga, na ogół nie potrafiła pomóc nawet sobie samej, a teraz nie była w stanie pomóc własnemu dziecku. Za kogo Joanie ją uważa?

Tej nocy śniła jej się Lauren. Wróciła do niej, cała i zdrowa. Ashley ogarnęła taka ulga, taka niewyobrażalna ulga. A jednak na peryferiach jej umysłu czaiło się mgliste przeczucie, że coś jest nie tak. Starła się wyprzeć tę myśl, starała się siłą woli utrzymać przed sobą wizję uśmiechniętej, szczęśliwej Lauren. Logika podpowiadała jej, że jeśli się postara, niebezpieczeństwo zniknie. A ona zdoła uratować córkę.

Potem nagle znowu znalazła się w kopalni - był to ten sam straszny sen, który dręczył ją od lat - ale tym razem obie z Lauren zostały przykute łańcuchem do ściany. Och, nie. To jej wina, jej, Ashley, bo nie potrafiła uchronić córki. Nie, myślała z bólem, tylko nie Lauren. A Lauren płakała rozpaczliwie: „Mamusi, mamusi, tak mi zimno. Proszę, zabierz mnie stąd, mamusi”.

We śnie Ashley szarpała łańcuch, ale bezskutecznie. Próbowwała krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ściśniętego gardła. Ściany kopalni zaczęły zbliżać się do nich z upiornym zgrzytem, połyskując wilgocią i kawałkami miki, które odbijały mdłe światło naftowej lampy.

Podchodziły coraz bliżej. Lauren łkała i tuliła się do niej, ale Ashley nie była w stanie odsunąć napierających ścian. Widziała, że za chwilę zostaną obie zmiażdżone jak robaki. I że to jej wina. Lauren płakała, ściany przysuwały się do nich, robiło się coraz ciemniej i coraz duszniej. Nie mogła oddychać, ściany wypierały z kopalni powietrze. Nie mogła...

Obudziła się gwałtownie, z krzykiem. Wyciągnęła przed siebie ręce i krzyknęła jeszcze raz. O Boże, nie mogła przestać krzyczeć. Krzyczała i krzyczała...

- Ashley? - Rozległo się pukanie do drzwi. - Ashley!

Wstała z trudem, podeszła do drzwi i otworzyła je. Chris wpadł do pokoju w pośpiesznie wciągniętych, niezapiętych do końca spodniach, bez koszuli.

- Co się stało? - spytał ochryple.

Ashley usiadła na łóżku, drżąc na całym ciele.

- Miałam... zły sen - wyjąkała.

- Usłyszałem cię. Ja... - Podszedł do niej i usiadł obok na łóżku.

- Kopalnia. Och, Chris, byłam w kopalni z Lauren i...

Objął ją ramieniem, bardzo delikatnie, jakby była jakimś kruchym przedmiotem, który może rozpaść się na tysiąc kawałków.

- Już dobrze. To tylko sen. To nie stało się naprawdę.

Jęknęła i oparła głowę o jego pierś, a on przytulił ją do siebie.

Poczuła, że dotyka jej włosów ustami. Lekko, tak lekko... A może czuła tylko jego oddech?

- Zawsze to samo... ten sen... Jestem w kopalni i... i ściany zaczynają się zbliżać...

Pogłaskał ją po głowie. Milczał i obejmował ją.

- Ale - powiedziała drżącym głosem - tym razem Lauren była ze mną.

- Cóż, to naturalne, prawda? Martwisz się o nią, więc... '

- To było takie okropne, takie... - Odwróciła się do niego. Teraz byli tak blisko siebie, że czuła jego oddech na swojej twarzy. Zamknęła oczy.

Dotknął jej ust wargami, tak jak o tym marzyła. Miał miękkie, ciepłe usta i szorstki zarost. Czuła jego zapach, który знаła tak dobrze jak swój własny. Westchnęła i objęła go ramionami, a potem przesunęła rękami po jego plecach. Ogarnęła ją fala ciepła. Otworzyła usta i ich języki spotkały się nagle.

Chris odsunął się i spojrzał Ashley w oczy. Dotknął jej włosów, brwi, przesunął palcami po policzku. Dotykał jej z szacunkiem, z zachwytem, tak delikatnie, jakby była czymś nieskończenie drogocennym. Miała wrażenie, że opływa ją ciepła woda. Miała ochotę powiedzieć mu, że nie jest zaklętą księżniczką ani boginią, którą należy czcić, ale kobietą z krwi i kości, matką, córką. Samotną kobietą, która go potrzebuje, bardzo go potrzebuje. Ale on musnął palcem jej usta, a potem pocałował ją jeszcze raz, głęboko, powoli.

Położyła dłonie na jego piersi i odepchnęła go lekko. Przekrzywiła głowę i patrzyła na niego przez chwilę.

- Widzisz? Widzisz z jaką szaloną kobietą masz do czynienia?

- Widzę... widzę piękną kobietę.

- Nigdy nie przestałam o tobie marzyć - wyszeptała. Chris powoli pokręcił głową.

- Marzyłam... Wyobrażałam sobie, że zawsze ze mną jesteś. Zawsze mnie ratowałeś.

- Chryste - jęknął. - Jestem ostatnią osobą, która...

- Nie, to zawsze jesteś ty. Zawsze byłeś ty.

- Ashley...

Położyła dłoń na jego nagiej piersi. Czowała uderzenia jego serca.

- Wyobrażałam sobie to.

- Byłaś młoda, ulegałaś złudzeniom... ja nie jestem...

- Jesteś. - Zbliżyła twarz do piersi Chrisa, pocałowała go, odetchnęła jego zapachem.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy, a potem w oczy i usta. Jęknął. Pragnął Ashley, a ona doskonale rozumiała to pragnienie. Przesunęła dłońmi po jego plecach, wyczuwając pod palcami żebra, kręgi, ciepłą, gładką skórę. On gładził jej włosy delikatnie, jak piórkiem, pieścił szyję, dotykał ramion. Ostrożnie, z szacunkiem, choć Ashley potrzebowała teraz gwałtownej namiętności, która pozwoliłaby jej zapomnieć o nocnych koszmarach.

- Proszę, Chris - wymruczała. Ale on nie odpowiedział.

- Spraw, żebym zapomniała.

Poczuła, że się wycofuje, choć żadne z nich się nie poruszyło.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Chris... zawsze o tym marzyłam.

- Nie - jęknął ochryple i się odsunął. - Nie.

- Proszę... - Nie dawała za wygraną. - Wiem, że...

- Nie wiesz - rzucił ostro. Wstał i odwrócił się do niej tyłem.

- Chris... - Zaczęła płakać.

- Nie jestem dobry... Nie jestem dobry dla ciebie. To... - Podniósł dłoń, jakby chciał ją powstrzymać. - To niemożliwe.

- Dlaczego? Co jest niemożliwe?

- Po prostu... po prostu zostaw mnie w spokoju. Nie znasz mnie, Ashley. Nic o mnie nie wiesz. - Podeszedł do drzwi, otworzył je gwałtownie i wyszedł w ciemność.

Skuliła się na łóżku, przyciskając do piersi poduszkę. Czuła się bardzo nieszczęśliwa.

O Boże, Boże, co takiego zrobiła? Co poszło nie tak? Dlaczego? Dlaczego?

Czas mijał, Ashley leżała bezsennie i z każdą chwilą bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Chris nie miał racji. Mogli uleczyć się nawzajem, mogli sobie pomóc, mogli się kochać. Wszyscy troje, ona, Lauren i Chris.

Chris nie miał racji. Ona знаła go przecież bardzo dobrze. Wiedziała o nim wszystko, znała go od dwudziestu lat - był dobrym, uczciwym człowiekiem.



## Rozdział 15

Po wizycie Roberta następnego dnia Pauline czuła się zdezorientowana. Oglądała telewizję, ale właściwie nie zwracała uwagi na to, co działo się na ekranie; poprzedniego dnia odmówiła zjedzenia lunchu i kolacji, kłóciła się z Vladimirem, przekonana, że jest przetrzymywana wbrew swojej woli w obcym domu przez jakichś obcokrajowców.

Ashley nie było i Pauline miała pewność, że jej córka znowu została porwana. Czuła, że musi wyprowadzić w pole pilnujących ją ludzi i dostać się na policję. Dokładnie pamiętała, gdzie jest komisariat. Mieścił się w budynku sądu hrabstwa Pitkin, w centrum miasta. W tym samym miejscu od lat.

Gdyby tylko mogła dostać się do miasta. Albo chociaż przypomnieć sobie, w którą stronę trzeba iść.

Zjadła śniadanie i starała się postępować zgodnie z życzeniami swoich opiekunów. Potężny mężczyzna o wydatnych kościach policzkowych podał jej tabletki. Włożyła je do ust, ale kiedy tylko się odwrócił, wypluła do serwetki. Potem do kuchni weszła kobieta o gniewnym wyrazie twarzy. Pochyliła się nad Pauline.

- Ty być dzisiaj dobra, nie utrudniać nam pracy.

Pauline obiecała, że będzie dobra. W odpowiedzi kobieta tylko mruzczała coś w jakimś niezrozumiałym języku.

- Pauline grzeczna dzisiaj - powiedział do kobiety mężczyzna. Potem też dodał coś w obcym języku.

Potem jej opiekunowie zaczęli oglądać jakiś program w telewizji. Pauline usłyszała, jak kobieta mówi coś do mężczyzny o zmianie pościeli

w ich pokoju. Kiedy wyszli z salonu, wstała, ruszyła do drzwi i po chwili już jej nie było.

Poszła szybko przed siebie. Pomachała do człowieka o rozwichrzonych włosach, który wycierał zabrudzone smarem dłonie w ścierkę. Najwyraźniej zmieniał koło w jednym ze stojących pod jego domem samochodów. On także do niej pomachał.

- Podrzucić cię gdzieś? - zawołał nawet.

Pauline pokręciła głową i przyspieszyła kroku. Jak ten zupełnie obcy człowiek śmie proponować jej, by wsiadła do jego samochodu?

Dotarła do końca prywatnej drogi, stanęła w palącym słońcu, z trudem łapiąc oddech, i spojrzała niepewnie najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Nagle dostrzegła za drzewami zarys Aspen Mountain. Musi iść w tamtą stronę. Odetchnęła z ulgą i wkrótce znalazła się na terenie, który dobrze знаła. Minęła kilka przecznic. Teraz po lewej stronie miała City Market, a po prawej nowy kompleks mieszkaniowy. Nieco dalej znajdował się budynek Scandinavian Design. Przeszła przez ulicę i ruszyła skrótem, mijając Elks Lodge -teraz już ciężko dyszała - a potem City Hall. I oto była na miejscu, przed pięknym budynkiem z czerwonej cegły, stojącym przy Main Street.

Recepcjonistka w komisariacie była bardzo uprzejma. Poprosiła Pauline, by usiadła, i zaproponowała jej szklankę wody. Powiedziała, że zaraz ktoś do niej przyjdzie. Ale Pauline nie chciała siedzieć ani pić wody. Chciała jak najszybciej powiedzieć jakiemuś policjantowi, że jej córka została porwana, a ją samą przetrzymują w domu jacyś cudzoziemcy.

Wydawało jej się, że czekała całe godziny, zanim usłyszała:

- Pani Lacouter? Pauline? To ja, Terry.

Spojrzała na stojącego przed nią policjanta. Dzięki Bogu. I... tak, znała go. Oczywiście. To syn jej przyjaciółki Phoebe. Chodzi do szkoły z Ashley, ale jest kilka klas wyżej... Pauline zmarszczyła brwi. Spojrzała na Terry'ego uważniej i dostrzegła, że posiwiały mu skronie. Jak to możliwe, by kilkunastoletni chłopiec już zaczął siwieć? Nagle wyraźnie przypomniała sobie, że była na jego ślubie. Na ślubie Terry'ego i Mary. No tak, przecież Ashley także już wyszła za mąż. Za... za Roberta.

- Wszystko w porządku, Pauline? - Terry kucnął przed nią. - Jesteś z Ashley?

Pauline otworzyła usta. Przypomniała sobie, po co tu przyszła.

- Ashley została porwana! Przez tych ludzi... tych... Pottsów. Zabrali ją i kazali mnie pilnować... w domu... tym dwojgu... Musisz mi pomóc... Musisz...

- Pauline - powiedział Terry łagodnie, ujmując jej dłonie. - To zdarzyło się wiele lat temu. Pamiętasz? Kiedy byliśmy w szkole średniej? To było przynajmniej dwadzieścia lat temu.

- Nie, nie. - Pauline z rozpaczą pokręciła głową. - Oni mają Ashley. Pottswie. Oni... - Nagle coś w jej głowie zaskoczyło. Zamrugnęła.

- Pauline?

- Chodzi o Lauren. O mój Boże, oni mają Lauren, moją wnuczkę.

- Rozumiem - powiedział Terry. - Może zadzwonię do was do domu i zapytam? Dobrze? Wyjaśnimy, co się właściwie stało. - Wstał i uśmiechnął się do niej. - Zaraz wracam. Zaczekasz tu?

- Tak, tak - odparła, znowu zdezorientowana. Po co tu przyszła? I jak? Czy Vladimir nie powinien przywieźć jej samochodem? A przecież przyszła pieszo. Dobrze to pamiętała. Dlaczego?

Terry wrócił po chwili i odwiózł ją do domu. Wydawał się inteligentnym młodym człowiekiem, dokładnie znał adres Ashley. Pauline siedziała obok niego w sportowym policyjnym saabie i wypytywała go o żonę, dzieci i matkę.

Kiedy wjechali na podjazd, Luda i Vladimir czekali przed domem. Vladimir był zdenerwowany, a Luda miała czujny wyraz twarzy.

Terry rozmawiał z nimi przez chwilę i spoglądał co jakiś czas w stronę samochodu, w którym siedziała Pauline, zastanawiając się, jak się tu znalazła.

Potem Terry wrócił do samochodu i otworzył drzwi.

- Wszystko w porządku, Pauline, możesz wrócić do domu.

- Ale... Lauren? I gdzie jest Ashley?

- Wszystko w porządku - powtórzył, pomagając jej wysiąść. -

Rostovowie powiedzieli mi, że Ashley pojechała po Lauren. Widzisz więc, że wszystko jest w porządku.

Ale nie było. Pauline wiedziała, że nic nie jest w porządku.

Chris zjechał na pobocze wiejskiej drogi, żeby Ashley mogła odebrać telefon. Jak zawsze, kiedy komórka zaczynała dzwonić, Ashley trzęsły się ręce. Oddychała z trudem.

Ale to nie był Potts, tylko Vladimir. Ashley rozmawiała z nim, jedną ręką trzymając przy uchu telefon, drugą przyciskając do czoła. Zakończyła rozmowę, podłączyła komórkę do samochodowej ładowarki i zacisnęła palce na uchwycie przy siedzeniu.

- Cholera. Dwoje dorosłych ludzi, a nie są w stanie upilnować jednej chorej, starszej kobiety. - Odwróciła się i spojrzała na Chrisa. - Mama poszła do miasta i trafiła na komisariat. Oznajmiła Terry'emu... to

policjant, chodził ze mną do szkoły kilka klas wyżej... w każdym razie poinformowała go, że Lauren została porwana.

- O Jezu - mruknął Chris.

- Na szczęście Vladimir powiedział mu tylko, że pojechałam po Lauren. Wiedział, że policja nie może dowiedzieć się prawdy. Dzięki Bogu.

- I ten policjant w to uwierzył?

- Vladimir uważa, że tak. Twierdzi, że mama jest bardzo zagubiona. Luda znalazła tabletki zawinięte w serwetkę. Nie połykała ich od kilku dni. Jeszcze nigdy do tej pory z mamą nie było tak źle.

- Pomyśl o tym, co się działo w ciągu kilku ostatnich dni. Z tego, co wiem o chorobie Alzheimera, wynika, że nawet drobiazg, który zaburza codzienne przyzwyczajenia chorego, może prowadzić do różnych dziwnych zachowań.

- Skąd to wszystko wiesz?

Wzruszył ramionami.

- W Akademii Policyjnej uczyłem się różnych rzeczy. Policjanci stykają się z różnymi ludźmi na ulicach, muszą więc wiedzieć, jak postępować. Chorzy na alzheimera często wychodzą z domu i gubią się w miastach.

- Jakbym nie wiedziała - mruknęła Ashley.

- Daruj więc to swojej mamie. Do licha, chciała przecież dobrze.

Prawda?

- Tak, wiem. Ale... Och, już dobrze, stało się i nic na to nie poradzę. Przynajmniej Vladimir nie stracił głowy.

Potem pojechali prosto do miejscowej wypożyczalni samochodów, gdzie wynajęli jeepa i wszystko, co mogło im być potrzebne do rozbicia obozu. Kupili dodatkową baterię do telefonu, wodę, produkty spożywcze i mapę. Jeszcze przed dziewiątą rano ruszyli w dalszą drogę.

Przez godzinę jechali gęstym świerkowym lasem, który w końcu ustąpił miejsca łąkom. Wiał lekki wietrzyk, poruszając rosnącymi w trawie kwiatami. Wzdłuż drogi płynął strumień, w powietrzu unosił się zapach letniej roślinności. Natknęli się na kilka chat, stojących w kępach drzew. Wyszli i zajrzeli do nich, na wszelki wypadek. Były jednak puste, nikt tu nie zaglądał od wielu tygodni. Nigdzie nie dostrzegli ani śladu Lauren i Potts'a. Potem dolina zwężała się, a na tle błękitnego nieba zarysowały się sylwetki Ragged Mountains.

- Teraz będzie pod górę - powiedział Chris, wskazując głową wznoszące się przed nimi poszarpane szczyty.

Ashley podniosła głowę, osłaniając ręką oczy.

- Nie bardzo umiem jeździć w takich okolicach. Nie lubię wysokości. Ale ty dasz sobie radę z tym jeepem, prawda?

- Bez problemu-zapewnił ją.

Łąki zostały za nimi. Jechali teraz powoli zaniedbaną górską drogą, zawaloną gdzieśgdzie wielkimi kamieniami. Miejscami było tak wąsko, że Chris musiał bardzo uważać, by samochód nie zjechał z urwiska. Na szczęście od dawna nie padał deszcz. Błoto jeszcze bardziej utrudniłoby im przeprawę.

Żadne z nich nigdy wcześniej nie było w tej dolinie. Otaczały ją ciasne góry, a wszystkie miały co najmniej cztery tysiące metrów. Pejzaż przypominał scenerię Alaski - wielkie skały wznosiły się niemal pionowo

w niebo, a dolina była tak wąska, że między ścianami skał płynął tylko strumień, a wzdłuż niego ciągnął się wąski kamienisty trakt. Łąk prawie tu nie było, ale widoki zapierały dech w piersiach.

Jechali grzbietem Chair Mountain, zbliżając się powoli do Whitehouse Mountain, u której podnóża znajdowała się pierwsza z dawnych górniczych osad. Prawdopodobnie zachowało się jeszcze kilka chat nad strumieniem, przy których czasem zatrzymywali się wędrowcy.

Było już południe, a oni ciągle jeszcze nie dotarli do obozu. Chris odwrócił głowę w stronę Ashley.

- Sądzę, że powinniśmy się zatrzymać - powiedział głośno, by przekrzyczeć ryk silnika - i coś zjeść. To jeszcze kawałek.

Nie tracili czasu na rozpalanie ogniska. Zrobili tylko kilka kanapek z szynką, serem i majonezem. Zjedli je szybko, popili wodą i ruszyli dalej, gryząc jabłka. Droga była teraz bardziej kręta i wznosiła się coraz wyżej.

Silnik hałasował, prawie uniemożliwiając rozmowę. Milczeli więc. Chrisowi przypomniawszy się ostatnia noc. Nie był w stanie myśleć o czymś innym, choć bardzo się starał. Wspomnienia wracały. Z takim trudem udało mu się w końcu wyjść z jej pokoju. Już drugi raz w ciągu ostatnich kilku dni zachował się jak dupek. A jednak ciągle czuł Ashley w swoich ramionach, czuł jej dotyk, zapach... Nie zamierzał się okłamywać. Pragnął jej wtedy. I pragnął jej teraz. Do diabła, zawsze jej pragnął.

Tak naprawdę żałował, że nie spotkał Ashley znowu w innych okolicznościach. Żałował, że nie są po prostu na wycieczce. Mieliby ze sobą wino w butelkach brzęczących z tyłu, rozglądaliby się po tej pięknej okolicy i czekali, aż zapadnie noc, a na niebie pojawią się miliony gwiazd, oświetlając niezmiernie przestrzeń wszechświata. Rozpaliliby ognisko,

wesołe iskry ulatywałyby w nocne niebo, a powietrze wypełniłby zapach dymu i sosen. Leżeliby na swoich śpiworach i patrzyli w gwiazdy, czując, jak wino na tej wysokości szybko uderza im do głów.

Ashley zadrżałaby po chwili z zimna. Wtedy naciągnąłby jej na plecy puchowy śpiwór i objąłby ramieniem. Potem przysunąłby się bliżej, dotknął jej policzka, pogłaskał po szyi, a w końcu ująłby jej twarz w dłonie i dotknął ustami jej warg.

Znał smak warg Ashley, wiedział, jak miękka i gładka jest jej skóra. Wiedział, że niewielkie piersi Ashley są kształtne i twarde, a jej biodra szerokie, kobiece, stworzone do wydawania na świat dzieci.

Zrzuciliby ubrania. Ashley zadrżałaby znowu, skąpana w ciepłym, bijącym od ogniska blasku. Ośloniłby ją własnym ciałem, rozgrzanym, płonącym z pożądania. Wszedłby w nią i poczuł, jak z radością go przyjmuje.

Znał każdy centymetr ciała Ashley, choć nigdy nie dotykał jej w taki sposób. A jednak znał ją całą, od tak dawna.

Ale nie są na romantycznej wycieczce, nie są też beztroskimi turystami, którzy mogą bez przeszkód zatracić się w namiętności. Oboje wloką za sobą ciężki bagaż doświadczeń. A Lauren czeka, by ją uratowali. Możliwe, że cała ta sytuacja pogorszy stan Ashley. A on sam i tak żyje darowanym czasem. Jak na ironię, to ona darowała mu ten czas, kiedy zadzwoniła tamtej nocy. Jego los zatoczył pełne koło. Chris nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła odgrywać rolę jej bohatera. Nie wiedział, kiedy znowu ogarnie go mrok, kiedy znowu wyciągnie rewolwer z kieszeni kurtki i włoży lufę do ust, a potem pociągnie za spust. W tym szaleństwie nie było nic pewnego.



Ashley wodziła palcem po mapie. Wskazywała miejsce, gdzie droga znikwała w sosnowym lesie.

- Wydaje mi się, że pierwsza chata jest zaraz za tym zakrętem - powiedziała. - Nie widać tego na mapie, ale jesteśmy teraz tutaj. - Wskazała miejsce na mapie. - Musi być zatem obóz pod Whitehouse Mountain.

Chris przyhamował, zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

- Co ty ro...

- Samochód słyhać na kilometr. Musimy pójść pieszo. Jeśli nikogo tam nie będzie, wrócę po jeepa.

Sięgnął do tyłu, wziął kurtkę i strzepnął kurz, który w otwartym samochodzie osiadał na wszystkim. Wyjął z kieszeni rewolwer i zauważył, że Ashley zmarszczyła brwi.

- Nie mam zamiaru zbliżyć się do jakiegó chaty na pustkowiu bez broni - powiedział, sprawdzając rewolwer.

- Rozumiem. Ale... jeśli Lauren tam jest? Jeśli Potts ma broń i...

- Zostałem wyszkolony tak, by radzić sobie w podobnych sytuacjach. Nie zamierzam użyć rewolweru, jeśli to nie będzie konieczne. Ale lepiej się zabezpieczyć, niż później żałować. - Wysiadł z samochodu. - Powiedziałbym ci, żebyś tu została, ale wiem, że i tak tu nie wysiedzisz. Trzymaj się więc z tyłu. Mówię poważnie. Żadnych szaleństw.

- Szaleństw?

- Tak, szaleństw.

- Znowu to robisz - powiedziała.

- Co robię?

- Zmieniasz się. Stajesz się tym twardzielem. To takie dziwne.

Naprawdę jesteś inny.

Chris wzruszył ramionami. Joanie też powiedziała kiedyś coś takiego. Nie znosiła, kiedy wracał do domu w tym stanie. Ale Ashley... Ashley wydawała się raczej zaciekawiona.

Droga lasem pod górę zabrała im więcej czasu, niż sądzili, patrząc na mapę. Chris cieszył się z tego powodu, istniała bowiem szansa, że nikt nie usłyszał nadjeżdżającego samochodu. Wspinali się dwadzieścia minut bitym traktem w cieniu wysokich drzew. W chłodnym powietrzu unosił się zapach sosen i wilgotnych, gnijących liści. Nagle przed nimi ukazała się plama światła. Dotarli do polany.

Chris zatrzymał się i położył palec na ustach. W górach dźwięki zachowują się tak dziwnie. Można strzelić do łosia albo jelenia, a ktoś stojący zaledwie kilkaset metrów dalej tego nie usłyszy. A czasem wyraźnie słycać strzał oddany wiele kilometrów dalej.

- Teraz musimy być bardzo cicho - wyszeptał.

Zeszli z drogi w las i zbliżyli się od tyłu do wybudowanej nad brzegiem strumienia chaty. Nie dostrzegli w pobliżu żadnego samochodu, Chris wiedział jednak, że łatwo można go było ukryć wśród drzew.

Na szczęście tylna ściana chaty nie miała okien, mogli więc podejść blisko, niezauważeni.

Ptak siedzący w gałęziach drzewa nad ich głowami wydał przeciągły krzyk; Chris dostrzegł też sarnę, która skryła się w lesie, poza tym jednak na polanie nie było żadnych śladów życia.

Zatrzymał się i przycisnął Ashley w milczeniu do drewnianej ściany.

- Idę tam sam - szepnął. Ashley już miała zaprotestować, ale spojrzał na nią tak, że ucichła.

Zwinnie jak kot podbiegł do frontu chaty, trzymając rewolwer przed sobą w obu dłoniach.

Zaczął się pocić, otarł więc czoło rękawem. Potem zatrzymał się znowu i nasłuchiwał przez chwilę, wstrzymując oddech. W chacie rozległ się jakiś dźwięk. Jakby skrobanie.

Odbezpieczył rewolwer.

Teraz krople potu wystąpiły mu na całej twarzy, a koszula zaczęła lepić się do pleców. Znowu otarł czoło wierzchem dłoni.

W środku znowu rozległy się jakieś dźwięki, tym razem coś wyraźnie zabrzęczało. Był prawie pewny, że w chacie jest dziewczyna, skuta łańcuchem, która próbuje się oswobodzić. Ale gdzie w takim razie podziewa się Potts? Cholera.

Jeszcze raz odezwał się ptak, a zaraz potem drugi. Serce Chrisa biło coraz szybciej. Jeśli Potts wyszedł nazbierać drewna na opał czy coś w tym rodzaju, to jest to najlepszy moment, by wejść, uwolnić Lauren i wyjść. Jeśli jednak Potts siedzi w chacie...

Może uda mu się go zaskoczyć. Modlił się tylko w duchu, by drzwi nie były zamknięte.

Przebiegł, pochylony, pod małym rozbitym okienkiem i powoli wyciągnął rękę w stronę zardzewiałej klamki. Bez trudu nią poruszył. Ktoś musiał być w chacie całkiem niedawno.

Nacisnął klamkę jedną ręką, wyciągając drugą, w której trzymał rewolwer, przed siebie, i wpadł do środka. W chacie panował półmrok. Odwrócił się w jedną stronę, potem w drugą. I nagle rozpętało się piekło.

Coś nagle załomotało tuż koło niego i rozległ się jakiś zwierzęcy pisk. Chris skierował w tę stronę rewolwer, ale niczego tam nie dostrzegł. Zaraz potem jednak zobaczył coś w rogu chaty, coś dużego, szarego, w masce... Cholerny szop.

Niewiele brakowało, a strzeliłby do oszalałego ze strachu stworzenia. Serce waliło mu jak młotem, pot zalewał oczy. Zaklął, dysząc ciężko, ciągle trzymając zwierzę na muszce, i rozejrzał się dookoła: szop rzucił się w stronę wybitego okienka, po podłodze turlała się stara puszka. A więc to nie Lauren brzęczała łańcuchem. Nie Potts czaił się w ciemnościach.

Rozprostował powoli nogi, a szop znowu wydał z siebie gardłowy warkot. W drzwiach za nim rozległ się głos Ashley.

- Co?... Co? Czy to... Szop rzucił się do drzwi.

- Uważaj! Przepuść go! - krzyknął Chris. Odwrócił się błyskawicznie i odepchnął Ashley, zanim przerażone zwierzę zdążyło ją ugryźć, chcąc uciec z chaty.

- O Boże! - krzyknęła Ashley, odskakując, wystraszona nie mniej niż szop. Po chwili zorientowała się, co się stało. - O Boże, myślałam... byłam pewna... Szop?

Chris nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Zabezpieczy rewolwer i wsunął go za pasek.

- Niewiele brakowało, a byłby to martwy szop - powiedział spokojnie. -Jezu, ale mnie wystraszył.

- Nie tylko ciebie - odparła, oddychając z trudem.

Wrócili szybkim krokiem do jeepa. Dochodziła już druga po południu, kiedy minęli chatę i ruszyli w stronę kolejnego miejsca zaznaczonego na mapie krzyżykiem. Od następnej chaty dzieliło ich

prawie pięć kilometrów. Wiodła tam droga przez górską przełęcz w pobliżu jeziora. Przebycie tych pięciu kilometrów zabrało im całą godzinę.

Znowu zatrzymali się nieco wcześniej i pieszo, w milczeniu, podeszli do chaty. Ta także okazała się pusta i nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek z niej ostatnio korzystał. Była niemal zrujnowana, jedną ścianę musiał jakiś czas temu zniszczyć pożar. W środku ciągle unosił się lekki odór spalenizny.

Ashley przyklekła na brzegu niewielkiego jeziora i ochlapała twarz i szyję wodą. Potem podniosła głowę i spojrzała na Chrisa. Strużki wody spływały z jej szyi, niknąc pod bluzką na piersiach.

- Nigdy jej nie odnajdziemy - powiedziała ponuro. - To ogromna kraina. A my nie wiemy nawet, czy wszystkie chaty są zaznaczone na tej mapie. Może ich być więcej. O wiele więcej.

Chris podszedł do Ashley i pomógł jej wstać.

- Ale Lauren może być już w następnej. Co ty chcesz zrobić, do diabła? Poddać się? - spytał ostro.

- Nie - odparła. - Oczywiście, że nie. Nigdy się nie poddam. Chris opuścił ręce.

- Nie traćmy więc czasu. Możemy sprawdzić jeszcze dwa miejsca, zanim zapadnie zmrok i będziemy musieli rozbić obóz. Chodźmy.

Ashley westchnęła i patrzyła na niego przez chwilę.

- Tak jest - powiedziała w końcu. - Jeszcze dwa miejsca. A Lauren może być już w tym pierwszym.

- Właśnie.

Ale Lauren nie było ani w pierwszej, ani w drugiej chacie, choć natknęli się w jednej z nich na dwoje młodych ludzi, którzy wędrowali

przez Schofield z Ashcroft do Redstone. Spędzili noc w chacie koło kopalni srebra, założonej ponad sto lat wcześniej. Spotkali po drodze kilka jeepów i parę osób na górskich rowerach w White River National Forest. Ale żadna z nich nie rozpoznała Lauren ani Potts. Chris i Ashley pojechali dalej, zataczając duże koło w drodze powrotnej do Marble.

Do zmroku została jeszcze mniej więcej godzina. Chris wybrał na obóz ocienioną polanę. W pobliżu płynął strumień, a nieopodal rósł sosnowy zagajnik, w którym postanowił nazbierać drewna na ognisko. Zaczął wyładowywać z jeepa bagaże, Ashley zaś zadzwoniła do Ludy. Bała się, że jeśli będzie zbyt długo używać telefonu, bateria się rozładuje, ale na szczęście Luda zapewniła ją tylko, że z Pauline wszystko w porządku, i cała rozmowa nie trwała nawet minuty. Rozmowa z Robertem, do którego Ashley zadzwoniła zaraz potem, wyglądała zupełnie inaczej. Chris rozstawiał dwuosobowy namiot- zastanawiając się, czy nie powinien jednak wypożyczyć dwóch jedynek - i jednym uchem słuchał, jak Ashley przekazuje Robertowi sprawozdanie z wyprawy.

- Nie, do cholery, mówiłam ci, poza tą kobietą wczoraj, która być może widziała kiedyś Potts, nie natknęliśmy się na żaden ślad ani jego, ani Lauren. Ale jest jeszcze kilka miejsc, które chcemy sprawdzić jutro rano... Nie, rozbiliśmy obóz... Boże, nie wiem, kilka kilometrów przed Schofield Pass, jak sądzę... Posłuchaj, bateria się zaraz wyładuje, a ja... Tak, mogę ją naładować w jeepie... Tak, mam też zapasową, ale... Robert, proszę... Nie, Potts nie dzwonił więcej. Nie, nie wiem, co to może oznaczać...

Chris zajął się teraz zbieraniem chrustu. Musiał przyznać, że zastanawiał się nad tym samym, co Robert. Dlaczego Potts nie dzwoni? Ile czasu już minęło od jego ostatniego telefonu? Prawie dwa dni.

Przez całe popołudnie jego policyjna intuicja podpowiadała mu, że coś tu jest nie tak. Oczywiście, nie można wykluczyć, że Potts zauważył ich w Marble i postanowił się przyczaić. Ale było to mało prawdopodobne i Chris czuł, że niepokoi go coś innego. Czegoś tu brakowało. Był pewny, że Potts nie skrzywdził Lauren. Jeszcze nie. Na pewno chciał, żeby żyła, choćby po to, by móc dłużej dręczyć Ashley. Może nawet pozwoli jej w końcu zamienić kilka słów z matką, po to tylko, by udowodnić Ashley, że ciągle ma nad nią władzę.

Dlaczego się więc nie odzywa? Czy to jakiś nowy rodzaj tortury? Ale to także wydawało się mało prawdopodobne.

Chris kucnął i wykopał dołek pod ognisko, a potem otoczył go kamieniami. Ashley wreszcie udało się doprowadzić rozmowę z Robertem do końca. Podeszła do samochodu i podłączyła komórkę do zasilania.

- Do diabła z tym człowiekiem - mruzczała. - Jakbym i tak nie odchodziła od zmysłów z powodu Lauren. Teraz jeszcze będę się dręczyć jego groźbami, że zadzwoni do FBI. Nie pomaga mi to. - Odwróciła się do Chrisa. - Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. I nie wiem, co FBI mogłoby zrobić. Wydaje mi się, że Lauren jest gdzieś blisko, a my po prostu nie umiemy do niej dotrzeć...

- Znajdziemy ją - zapewnił. - Wiem, masz wrażenie, że ten świr przetrzymuje twoją córkę już całe wieki, ale tak naprawdę minęło tylko kilka dni. Nic jej nie jest, Ashley. Potts nie robi Lauren krzywdy.

- Ale dlaczego on nie dzwoni? Dlaczego? Wiem, wiem, kiedy dzwoni, doprowadza mnie do szału. Ale teraz... To chyba jeszcze gorsze. Może właśnie dlatego milczy, żeby doprowadzić mnie do szaleństwa.

- Oczywiście, że o to mu chodzi - odparł Chris, ale kłamał. Ciągłe czuł, że coś nie pasuje do tej układanki.

Kolację przygotowali wspólnie. W miasteczku kupili steki i obrane ziemniaki w foliowym woreczku; mieli też ze sobą patelnię, garnek, dwa cynowe talerze, sztućce i metalowe kubki. Wypożyczalnia sprzętu zaopatrzyła ich we wszystko. Ashley nastawiła wodę na ziemniaki, a Chris wyjął z jeepa kanister i dolał benzyny do baku.

Miał na sobie kurtkę, Ashley zaś kupiła wcześniej w miasteczku gruby sweter, który naciągnęła na siebie, kiedy tylko zaszło słońce. Teraz uklękała przy ogniu, obracając steki na patelni. Końce koszuli wystawały jej spod swetra, dzinsy miała brudne po całym dniu spędzonym w górach, a zmierzwione wiatrem włosy wsunięte za uszy. Wyglądała naprawdę jak turystka, jak kobieta, o której wcześniej fantazjował. Kobieta, z którą chciał leżeć pod gwiazdami i pić wino. Boże, jak bardzo żałował, że nie spotkali się w innych okolicznościach.

Zjedli steki i pozbawione smaku ziemniaki, a potem usiedli przy ognisku. Na czarnym teraz niebie pojawiły się tysiące gwiazd i zbliżający się do pełni księżyc. Nawet jeśli znajdą Lauren - kiedy ją znajdą, poprawił się w myślach -i Ashley wróci do wypełnionego różnymi zajęciami życia, on i tak będzie w końcu musiał stawić czoło swoim demonom. Nie myślał o nich w ciągu kilku ostatnich dni z oczywistych względów, ale one wkrótce do niego wrócą.



Zastanawiał się, czy nie powiedzieć Ashley wszystkiego. O tym, jak odkrył, że wcale nie jest takim miłym gościem. O tym, jak doszedł do wniosku, że całkiem dobrze czuje się w roli mafiosa, którą pewnie dalej by z powodzeniem odgrywał, gdyby nie afera w policji i „zaginione” pieniądze. Nie zależało mu na tych pieniądzach. Dzięki nim po prostu wyświadczył komuś wielką przysługę. I zrobiłby to jeszcze raz, bez zastanowienia. Uznał, że lepiej spłacić długi Joego, niż pozwolić, by cała ta forsa wpadła w ręce jakiegoś skorumpowanego policjanta czy polityka.

Do diabła z pieniędzmi, pomyślał i spojrzał na Ashley. Mogłaby zrozumieć, dlaczego je zabrał. Ale czy zdołałby jej wyjaśnić, dlaczego przestał odróżniać dobro od zła? Dlaczego stracił poczucie, kim jest? Do diabła, sam nie wiedział dlaczego. Nie umiałby też wytłumaczyć jej, dlaczego żywił przekonanie, że łatwiej palnąć sobie w łeb, niż żyć dalej z dręczącymi demonami.

Umył garnki i talerze - szorował je piaskiem w strumieniu, tak jak to robił na wyprawach z ojcem. Ashley wyciągnęła śpiwory i zaczęła wpychać je do namiotu, ale zaraz zorientowała się, jak mało miejsca jest w środku i znieruchomiała, zakłopotana.

Miał ochotę powiedzieć: „Wszystko w porządku, zmieścimy się”, ale wiedział, że to też byłby rodzaj oszustwa. Mruknął więc tylko:

- Namiot jest dla ciebie. Ja prześpię się przy ognisku.

- Och - odparła. Przez chwilę wydawało mu się, że dosłyszał w jej głosie nutę rozczarowania.

Spał kiepsko. Nie czuł zimna, w puchowym śpiworze można spać nawet na mrozie. Ale tak trudno było mu leżeć blisko niej, słyszeć, jak porusza się w namiocie. Oddzielała ich tylko cienka warstwa nylonu.

Przede wszystkim jednak spał źle, bo nie potrafił przestać myśleć o tym, co powiedziała, kiedy pocałował ją ubiegłego wieczoru, że przez wszystkie te lata tęskniła do niego.

Leżał, patrząc w niebo, tak czyste i bliskie, że mógłby niemal dosięgnąć gwiazd, gdyby wyciągnął rękę. I zastanawiał się, co by pomyślała, co by powiedziała, gdyby wystarczyło mu odwagi i gdyby się przyznał, że on także do niej tęsknił.



## *Rozdział 16*

Na Ashley czekało po powrocie mnóstwo pracy - pranie, rachunki, plan zajęć, który miała przygotować. Miało to jednak tę dobrą stronę, że praca pomagała jej zająć czymś myśli. Nie miała jeszcze czasu wziąć prysznic i ciągle była brudna i zakurzona po dwóch dniach spędzonych w lesie.

Lauren, myślała. Byliśmy tak blisko, wiem o tym. Znajdziemy cię, Lauren.

Telefon zadzwonił, kiedy składała pranie, na szczęście stacjonarny. Była pewna, że to jedna z koleżanek Lauren. Pewnie jeszcze kilka z nich zadzwoni tego dnia.

Ale to była Charlene Garcia.

- Mam nadzieję, że mój telefon nie sprawi ci przykrości - powiedziała. - W końcu prawie się nie znamy. Ale Joe powiedział mi o twojej córce. Chyba nie zadzwoniłam w nieodpowiedniej chwili?

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze. Pojawiły się jakieś nowe ślady? Nie mogę przestać myśleć o tym, przez co przechodzisz ty i to biedne dziecko.

- Nie, na razie nic nowego. W każdym razie nic konkretnego.

- Bardzo ci współczuję. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić takiej sytuacji.

- Tak, to straszne - odparła Ashley. - Nie wiem, co bym zrobiła bez Chrisa. Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

- Ja... słuchaj, Joe nie wie, że do ciebie dzwonię. Ale chciałam cię zapytać jak kobieta kobietę, w jakim stanie jest Chris.

Ashley zawahała się chwilę.

- Cóż - powiedziała w końcu. - Żyjemy tu wszyscy w takim napięciu...

- Chodzi mi o jego stan... psychiczny. - Charlene zaśmiała się nerwowo. - Boże, Joe zabiłby mnie, gdyby wiedział, że do ciebie zadzwoniłam.

- Stan psychiczny?

- On... miał pewne problemy. Martwimy się o niego.

- Jakie problemy?

Luda hałasowała w kuchni garnkami, Pauline właśnie wstała z łóżka i Ashley poszła do swojego pokoju.

- Wiesz... policjanci często miewają takie problemy...

- Charlene, naprawdę nie wiem. Nie widziałam Chrisa od dwudziestu lat.

- Chyba można to nazwać depresją.

- Ja... On... wspominał coś o New Jersey.

- Tak.

- Ale nie chce o tym rozmawiać.

- Oczywiście, że nie. Mężczyźni.

Ashley przysiadła na brzegu łóżka, przyciskając telefon do ucha.

- Co się tam stało, Charlene? Co mu się tam przydarzyło?

- Nie wiem, naprawdę. Joe też nie wie. Ale coś się tam stało. Jego była żona też się o niego martwi.

- Tak, wspominała coś, ale...

- Bądź dla niego dobra, Ashley. On bardzo cierpi.  
- Boże, Charlene, sama jestem na krawędzi szaleństwa.  
- Domyślam się. Ale miałam nadzieję... wiesz, mężczyźni są tacy skryci.

- Opowiedz mi o tym.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę. Ale jestem pewna, że on odnajdzie twoją córkę. Jest najlepszy, najlepszy z najlepszych. Modlimy się za was, Ashley.

Ashley odłożyła słuchawkę i przez chwilę myślała o tym, co usłyszała. Miała wiele pytań, ale ciągle nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć. Co ukrywa Chris? Co sprawia mu taki ból?

W końcu wróciła do swojego prania. Kiedy wkładała je do pralki, do domu wszedł Chris, z wilgotnymi, zmierzwionymi rącznikiem włosami. W tej samej chwili zadzwoniła komórka. Spojrzeli sobie w oczy. Ashley odczuła ulgę, a jednocześnie ogarnął ją znany, paraliżujący strach. Davey w końcu postanowił zadzwonić.

- Odbierz - powiedział Chris. Wcisnęła guzik.

- Ash-lee - rozległ się gardłowy głos w telefonie. - Jak się masz?

Dawno się nie słyszeliśmy.

- Chcę rozmawiać z Lauren. Musisz pozwolić mi z nią porozmawiać. Skąd... skąd mam wiedzieć, że naprawdę ją masz?

Zaśmiał się tylko w odpowiedzi. Spróbowała innej taktyki.

- Słuchaj, jeśli chcesz pieniędzy, mój były mąż zapłaci ci, ile tylko zechcesz. Nie powiemy nic policji, będziesz bogaty i...

- Nie chodzi o pieniądze. Nie potrzebuję waszych cholernych pieniędzy.

- Czego zatem chcesz? - Boże, nie mogła znieść dźwięku własnego, drżącego głosu.

- Mam już to, czego chcę.

- Czyli co? Moją udrekę? W porządku, nie mogłeś mi zadać większego cierpienia. A teraz chcę odzyskać córkę.

- Nie tak szybko, Ash-lee.

Lauren żyje, myślała gorączkowo Ashley. Ona żyje.

- Słuchaj, ty sukinsynu. Jeśli ją tkniesz, jeśli zrobisz jej jakąkolwiek krzywdę, będę cię ścigać do końca moich dni. I dorwę cię. Dorwę cię, słyszysz?

- No, no, ostre słowa. Czy to twój chłopak poradził ci, żebyś mówiła takie rzeczy?

Ashley wahała się o sekundę za długo.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze wiesz.

- Nie wiem. O co ci chodzi?

- Możliwe, że w tej chwili na ciebie patrzę, Ash-lee. Pomyśl o tym.

Na jej skórze wystąpiła gęsia skórka, zakreśliło jej się w głowie.

Potem ogarnęła ją wściekłość.

- Ty draniu! Znajdę cię. Dopadnę cię, Davey. Zobaczysz.

Niewiele myśląc, rozłączyła się i siedziała przez chwilę, dysząc ze złości. Potem podniosła wzrok. Matka patrzyła na nią, kiwając głową. Z kuchni wyszła Luda ze ścierką do naczyń w ręce i spojrzała na nią ze szczerym podziwem. A Chris... Chris miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

Co ona zrobiła?

- Mam dość tego, że ten człowiek tak się nade mną znęca. Mam dość. Nie chcę... nie mam zamiaru znosić tego dłużej. - Nagle zasłoniła usta dłonią. - Czy ja... powiedziałam coś strasznego? Czy on...

- To, co mówisz, jest bez znaczenia - zapewnił ją Chris.

- Powinnam zachowywać się potulnie. Powinnam go błagać.

- Nie zadręczaj się tym. Przynajmniej zadzwonił. Teraz wiemy, że ciągle gdzieś tu jest.

Ashley zamrugła, nagle coś jej się przypomniało.

- On wie o tobie.

- Co?

- Powiedział coś o moim chłopaku.

- Skąd, u diabła...

- Czy to możliwe, że on nas obserwuje?

Chris zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

- Wątpię. To byłoby zbyt ryzykowne. Nigdzie nie natknęliśmy się na żaden ślad jego obecności. Musiałbym coś zauważyć.

- Sama nie wiem. Może jednak jest gdzieś w pobliżu. Nic już nie wiem. O Boże, tak bym chciała, żeby to się już skończyło! Chcę, żeby moje dziecko było znowu ze mną!

- Ashley, wszystko się dobrze skończy. Wyprostowała się.

- Tak. To musi się dobrze skończyć. Nie pozwolę, żeby zniszczył Lauren albo mnie. Dopadnę go. - Sama była zaskoczona determinacją w swoim głosie. To był duży krok, krok poza granice strachu i apatii. Gniew. Zamknęła oczy i pomyślała o Lauren. Trzymaj się, mała, idziemy po ciebie.

Po lunchu przyjechał Robert swoim srebrnym range roverem.

- Wydarzyło się coś nowego? - spytał, wchodząc do domu. - Miałaś się ze mną kontaktować.

- On zadzwonił - odparła Ashley. - Powiedział, że nie chce pieniędzy.

- Nie? Czego zatem chce? Ashley wzruszyła ramionami.

- Dowiedziałaś się czegoś podczas tej wycieczki w góry?

- Nie.

- A w Marble?

- Mówiłam ci, jakaś kobieta stwierdziła, że chyba widziała go w starym białym blazerze.

- Świetnie. I to wszystko? Nic w Canon City, nic w Denver i jedna osoba, która może widziała go w Marble?

- To wymaga czasu, Robercie.

- Moja córka może nie mieć czasu. - Robert wyprostował się, wciągnął brzuch i poprawił pasek. - Myślę, że ta farsa trwa już za długo. - Stał na środku salonu, jakby przewodniczył jakiemuś zebraniu. - Dość tego, Ashley. Teraz ja się tym zajmę. Dałem ci dwa dni, a zrobiło się tego znacznie więcej. Tobie i twojemu kumplowi nie udało się do niczego dojść, a ja nie mam zamiaru czekać dłużej.

- Robert...

- Nie, ani chwili dłużej. Załatwię przekierowanie twoich rozmów telefonicznych na moją komórkę. Nie martw się, to całkowicie legalne. Lenny Coates zajmie się wszystkim. Teraz ja będę odbierał telefony od Potts'a i ja doprowadzę do uwolnienia mojej córki.

- Boże, Robert, on... Nie wiemy, co on zrobi, kiedy ty się w to włączysz. Powiedział, że...



- Guzik mnie obchodzi, co powiedział. Popęłił poważne przestępstwo, porwał moją córkę i mam zamiar go dopaść.

Ashley zachwiała się, jej twarz stała się kredowobiała. Ogarnął ją paniczny strach. Ściany pokoju zaczęły się zbliżać, żołądek podszedł jej do gardła. Ściany były coraz bliżej, poruszały się w jej stronę...

- Wszystko w porządku - usłyszała jak przez mgłę. - Ashley, posłuchaj, nic ci nie jest.

Chris, tak, to był głos Chrisa, niski, uspokajający. Nagle znalazła się na zewnątrz, na świeżym powietrzu. Poczowała na twarzy ciepło słońca i lekki powiew wiatru. Chris objął ją ramieniem. Drżała z zimna, ale całe jej ciało pokryło się potem.

- Widzisz? - usłyszała za sobą głos Roberta. - O tym właśnie mówiłem. Ona nie jest zdrowa. Powiniennem się zająć tą sprawą od samego początku.

- Posłuchaj - odpowiedział mu Chris twardo. - Ty nadęty dupku. Jeśli teraz się wtrącis i coś spieprzysz, jeśli sądzisz, że pieniądze mogą tu cokolwiek załatwić...

- Wiesz co? Zwalniam cię, kolego. - Robert wycelował w Chrisa palec wskazujący.

- Pracuję dla Ashley.

- Ashley już się nie liczy.

- Wsiadaj lepiej do tej kupy złomu, którą tu przyjechałeś, i zjeżdżaj stąd.

- Nie możesz się tak do mnie odzywać! - ryknął Robert.

- Nie mogę? To zabawne, bo właśnie się tak odezwałem. A teraz spadaj.

Ashley usłyszała kroki na zwirowym podjeździe, dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, a potem miarowy szum silnika, który coraz bardziej się oddalał.

- Pojechał - powiedział Chris.

- Czy on może to zrobić? - spytała. - Może przekierować moje połączenia na swoją komórkę?

- Z pomocą swojego prawnika? Możliwe.

- Chris, musimy coś zrobić. Musimy...

- W tej chwili niewiele możemy zdziałać.

- Chris... - Zaczęła płakać.

- Tak, jestem tu. - Objął ją mocniej i zaczął, dopóki się trochę nie uspokoiła.

Tej nocy nie mogła zasnąć, siedziała przy otwartym oknie swojej sypialni i oddychała świeżym nocnym powietrzem. Księżyc, wiszący nad Smug Mountain, przyćmiewał swym nieziemskim blaskiem gwiazdy, rozjaśniając niebo na wschodzie.

Wstydziła się, że tak się załamała w obecności Roberta. Dostarczyła mu w ten sposób tylko argumentów. Ułatwiła przejęcie kontroli. Jej słabość mogła przypieczętować los Lauren. Ashley czuła, że nigdy sobie tego nie wybaczy. Udało jej się dojść do względnej równowagi po koszmarze, jaki przeżyła dwadzieścia lat temu, ale nie zdoła żyć ze świadomością, że przez nią Lauren... Nie, nie była w stanie nawet o tym myśleć.

Siedziała w oknie z rękami opartymi o parapet i podbródkiem na dłoniach. Przed nią rysowały się sylwetki gór, które tak dobrze знаła, ciszę

nocy przerywało tylko z rzadka poszczekiwanie psów, przejeżdżający samochód, śmiech w domu Jaya.

Z okna mogła dostrzec fragment garażu i światło w mieszkaniu, które się nad nim znajdowało. A więc Chris także jeszcze nie spał.

Z trudem nakazała sobie, by nie myśleć o Chrisie, i wróciła do tego, co wydarzyło się tego dnia. Do wizyty Roberta i jego aroganckiego zachowania. I do tego, co było wcześniej, kiedy zaczęła dziwnie, podświadomie się niepokoić. Skąd właściwie wzięło się to uczucie? Rano, w drodze powrotnej do Aspen, sprawdzili jeszcze dwie chaty. Obie były puste, jedna z nich miała zapadnięty dach. Nigdzie nie zauważyli niczego, co mogłoby ich zainteresować, tak jak we wszystkich chatach, na które się natknęli w czasie tej wyprawy. Dlaczego więc coś ją niepokoiło? Czy to możliwe, że jednak zauważyła podświadomie coś ważnego i nie zdawała sobie z tego sprawy?

Później zwrócili jeepa i sprzęt obozowy, wsiedli do samochodu Chrisa i pojechali do domu. Ashley czuła się zniechęcona, ale Chris wydawał się niewzruszony. Słowo „porażka” nie istniało w jego słowniku. Ale Lauren nie była przecież jego dzieckiem.

Patrzyła niewidzącym wzrokiem na drzewa, góry i lśniący na niebie sierp księżyca, przypominając sobie, co zdarzyło się potem: wrócili do Aspen, Davey zadzwonił niemal od razu, jakby naprawdę ich śledził; później przyjechał Robert i oświadczył, że przejmuje kontrolę. Resztę dnia spędziła jak we śnie.

Modliła się, by jej wybuch w czasie rozmowy z Pottsem nie zaszkodził Lauren. Rzeczywiście zaczęła tracić panowanie nad sobą. Najpierw nakrzyczała na Daveya, potem załamała się przy Robercie. Chris

był jej jedyną podporą. Chris, który pewnie siedzi teraz w fotelu i zastanawia się, jak odnaleźć jej dziecko. Mimo jej zachowania. Mimo zachowania Roberta. Mimo wszystko.

Davey Potts. Dlaczego nie dzwonił przez całe dwa dni, skoro wcześniej odzywał się codziennie? Skąd wiedział o Chrisie? Czego od niej chce? Czego naprawdę chce? Porywacze zawsze żądają pieniędzy. Albo czegoś innego, na przykład azylu albo uwolnienia więźniów politycznych. Czegoś konkretnego. Jej porwanie było wyjątkiem. Ale przecież Davey nie porwał Lauren, żeby zrobić z niej swoją służącą. Nie tym razem.

Jednak kilka razy powiedział, że nie porwał jej dla pieniędzy. „Mam to, czego chcę”. Czy miał na myśli Lauren? Czy jej, Ashley, cierpienie? A może w ogóle mylnie odczytuje jego motywy?

Westchnęła i oparła czoło o skrzyżowane na parapecie ramiona. Była zmęczona, ale dręczyło ją tyle pytań. To wszystko było bez sensu. „Mam to, czego chcę”. W jego głosie, ilekroć do niej dzwonił, brzmiała nuta tryumfu, jakby wiedział coś, o czym ona nie ma pojęcia. I jak się dowiedział o Chrisie? Coś tu nie pasowało, coś kłóciło się z zasadami logiki, jak błędna wartość w równaniu, kiedy bez względu na to, jak długo liczysz, wynik nigdy nie jest poprawny.

Sama nie wiedziała, kiedy podjęła decyzję. Nagle wstała, wzięła z krzesła sweter, narzuciła go na nagie ramiona i wyszła z ciemnego domu. Kilka kroków przez oświetlony księżycem podjazd, kilka schodków do góry i po chwili pukała już do mieszkania nad garażem.

Nie słyszała, jak podchodził do drzwi, które otworzyły się nagle. Sylwetka Chrisa rysowała się ciemną plamą na tle jasnego prostokąta.

- Ashley?

- Mogę wejść?

Odsunął się, by ją wpuścić. Był bosy, miał na sobie dzinsy i białą koszulkę. Wydawał się zaskoczony.

- Widziałam, że jeszcze się u ciebie świeci - powiedziała.

- Aha.

- Ja też nie mogłam zasnąć.

Stał bez ruchu, jakby nie wiedział, co powinien zrobić.

- Myślałam o tym wszystkim. O Davey, o jego telefonach, o tym co mówił i jak. I o tym, że wie o tobie. - Objęła się ramionami. - Chyba czegoś nie dostrzegamy.

Patrzył na nią w milczeniu.

- Jakby wiedział coś, czego my nie wiemy. I to daje mu przewagę.

- Tak?

- Co to jest, Chris? Czego nie widzimy?

- Nie wiem. Jeszcze.

- I ta sprawa z Robertem...

- Hm.

- Doprowadza mnie to do szału. Skąd Davey wiedział, gdzie i kiedy będzie mógł porwać Lauren? Skąd on w ogóle tyle wie? Jakby... jakby bawił się z nami w kotka i myszkę.

- Tak, ja też to zauważyłem.

- Cały czas o tym myślę. Może Lauren go znała? Może się z nią zaprzyjaźnił czy coś w tym rodzaju? To idiotyczne, wiem, i nie wyobrażam sobie, żeby Lauren spojrzała choćby na mężczyznę dwa razy od siebie starszego. Boże, nie, bałaby się go. Tak sędzę. - Ukryła twarz w dłoniach. Sweter zsunął się z jej ramion. Chris podniósł go i po chwili

niezdecydowania okrył jej plecy, muskając przy tym nagą skórę ramienia Ashley. Spojrzała na niego. - To wygląda niemal jak... jak jakiś kawał. Żart. Ale dlaczego? Czy ja oszalałam?

- Nie, nie oszalałaś.

W pokoju paliła się tylko jedna lampa, rzucając mdłe żółte światło, kontrastujące dziwnie z chłodnym, srebrzystym blaskiem ogromnego księżyca, który wpadał przez okno. Nie widziała twarzy Chrisa wyraźnie. Oczy, zapadnięte policzki, usta, wszystko to było tylko plamami cienia. Ciepły, miękki ton głosu zdawał się nie pasować do tej enigmatycznej postaci, którą starała się zrozumieć.

- Chris? Może nic go nie łączy z Lauren. Może to tylko moja wyobraźnia? W milczeniu pokręcił głową.

- Myślisz... myślisz, że policja albo FBI rozwiązałyby tę sprawę? Zaśmiał się gorzko.

- Mało prawdopodobne.

- Ale Robert, on ma zamiar do nich zadzwonić. Może już to zrobił.

Chris skrzywił się lekko.

- Będziemy współpracować, zrobimy, co zechcą, a potem przestaniemy na nich zwracać uwagę.

- Nadal więc będziesz mi pomagał?

- Tak, Ashley. Nie poddaję się tak łatwo.

- Dzięki Bogu - szepnęła.

- Napijesz się czegoś? - spytał. - Wiesz, dla odprężenia. Znalazłem w lodówce otwartą butelkę wina.

- Tak, dobrze. Cokolwiek. - Nagle uświadomiła sobie, że ma bose stopy, a na sobie koszulę nocną na ramiączkach z niebieskiej bawełny.

Otuliła się swetrem. - Może... - powiedziała w stronę pleców Chrisa - może to jednak nie jest dobry pomysł.

Odwrócił się i pytająco uniósł jedną brew.

- Boisz się mnie?

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Ale jest już późno.

Podszedł do niej z dwoma kieliszkami wina w rękach. Wzięła jeden po chwili wahania.

- Usiądź. - Wskazał ręką kanapę.

Ashley wiedziała, że powinna odstawić kieliszek i wyjść. Przyjście tu było głupim pomysłem. Została jednak - usiadła na kanapie i podwinęła stopy pod siebie. W jednej ręce miała kieliszek, drugą przytrzymała sweter na piersiach. W jej umyśle zapaliło się ostrzegawcze światełko.

Chris usiadł obok niej, nie w fotelu, co Ashley trochę zaskoczyło. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Jesteś przerażona.

- Tak, myślę o Lauren i Robercie, i...

- Aha.

Patrzyła na rubinowy płyn w kieliszku i zagryzała wargi. Tak, bała się. Siebie samej. Bardzo potrzebowała pocieszenia, zapomnienia. Czowała się w tej chwili taka słaba. I nie była z mężczyzną od czasu przelotnego romansu z jednym z nauczycieli, co miało miejsce zaraz po rozwodzie. To było tak dawno temu. Pragnęła, by ktoś ją przytulał, kochał. Pragnęła kochać. Na myśl o tym, że Chris mógłby jej dotknąć, Ashley ogarniała fala gorąca.

Podniosła kieliszek.

- Boję się - wyszeptała. - Boję się, że ty mnie nie chcesz. Nie tak, jak ja ciebie, nie tak bardzo...

Odstawił kieliszek - usłyszała cichy stuk - i przyciągnął ją do siebie tak szybko, że straciła na chwilę dech w piersiach. A potem poczuła jego usta i dłonie.

- Nie bój się - powiedział cicho i pocałował ją znowu.

Jęknęła i przytuliła się do niego całym ciałem. Chris całował Ashley namiętnie, potem odsunął się lekko, spojrzał jej w twarz i zaczął pieścić wargami jej szyję.

Ashley przestała myśleć, zapomniała o bólu i strachu, poddając się tym nowym doznaniom. Pragnęła go tak, jakby była uzależniona od jego dotyku, zapachu, bliskości miękkiego, dźwięcznego głosu. Tak doskonale się uzupełniali. Zaspokajali nawzajem swoje potrzeby.

Jej nocna koszula podjechała do góry. Ashley poczuła dłoń Chrisa na swoim kolanie. Potem przesunął silną, ciepłą rękę wyżej, gładził jej biodro i część uda. Zadrżała, oddychała szybko i płytko, rozgrzana skóra zwilgotniała od potu. Pieścił wewnętrzną stronę jej ud, a ona marzyła, by wsunął dłoń jeszcze wyżej.

- Proszę, proszę - usłyszała swój zdyszany głos, który brzmiał jak głos obcej osoby. - O Boże, Chris.

Opadli na poduszki, poczuła na sobie ciężar jego ciała. Zaczęła całować jego nagą skórę. Chris jedną ręką głaskał ją po udzie, a drugą zsunął ramiączko koszuli i przycisnął usta do jej piersi. Wciągnęła gwałtownie powietrze i objęła go mocno.

- Tak - szepnęła. - Proszę.



Zawsze wiedziała, że jego skóra będzie w dotyku taka gładka i miękka, a włosy szorstkie, jakby nigdy nie tknęła ich szczotka. Zsunęła dłoń z jego głowy na szyję i ramiona. Tak, знаła go, a jednak zaskakiwał ją każdy dotyk, zapach i dźwięk. Czuła wargi Chrisa na swoich piersiach i wydawało jej się, że serce zaraz jej pęknie, tak szybko wali.

A potem, nagle, zaszła w nim jakaś zmiana. Jakby się zawahał.

- Nie... nie mogę - jęknął. - Nie mogę ci tego zrobić.

Podniósł się szybko. Usłyszała stłumione przekleństwo, które zdawało się dobiegać gdzieś z bardzo daleka.

- O co chodzi? - spytała, zdezorientowana, zagubiona. Zrobiło jej się zimno, jakby znowu znalazła się w kopalni. Otuliła się swetrem.

Chris stał w kącie pokoju, oparty o ścianę dłońmi, z głową zwisającą między ramionami.

Wstała, drżąc, podeszła do niego i położyła mu rękę na plecach. Wzdrygnął się.

- Nie - powiedział.

- Nie?

- Idź spać, Ashley.

- Myślałam...

- Zostaw mnie.

- Ale...

Odwrócił się. W jego oczach błyszczały łzy.

- Idź stąd.

- Chris, co się stało? Mogę ci jakoś pomóc? Wiesz, że zrobiłabym wszystko....

- Wracaj do domu - powiedział ze znużeniem.

Jej ramiona opadły. Co się stało? Co takiego zrobiła? Ruszyła powoli do drzwi. Zrobiła dwa kroki i znowu zatrzymała się nagle.

- Dasz sobie radę? - spytała, nie odwracając się do niego.

- Oczywiście. Idź.

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, zeszła ze schodów i przecięła oświetlone przez księżyc podwórko. Było jej zimno. Co się stało? Co tak go dręczy? Wiedziała dokładnie, co dręczy ją samą, o jego życiu jednak nie miała pojęcia. Znała go, znała jego duszę, ale nie rozumiała sił, które nim miotały. Opowiedział jej trochę o swoim życiu. Ale nie dosyć.

Co przed nią ukrywał?

Skuliła się na łóżku, nieszczęśliwa, sfrustrowana. Zmęczona fizycznie i psychicznie.

Czuła się pusta i przerażona jego reakcją. Nie ze względu na siebie, lecz na niego. Zachowywał się jak człowiek zmiażdżony bólem. Jak ktoś, kto uważa, że nie zasługuje na żadną przyjemność czy bliskość. A przecież wiedziała, że jest dobry, odważny i uczciwy.

Od tego chłodnego listopadowego dnia, kiedy wyniósł ją z kopalni, tylko o nim marzyła, tylko jego pragnęła. Wiedziała też, że słusznie go ocenia. Była przekonana, że jej pragnienia nie są wydumanymi mrzonkami.

Księżyc podniósł się wyżej, wielki, srebrny,znaczony kraterami. Świecił w otwarte okno, zalewając zimnym blaskiem łóżko.

Ale czy Chris jest tym samym człowiekiem, którego kiedyś poznała? Czy też zmieniło go cierpienie i rozczarowania? Leżała samotnie i tęskniła do niego. I tak bardzo się bała. O niego. I o siebie.

## Rozdział 17

Chris nie miał wiele czasu na rozpamiętywanie wydarzeń ubiegłej nocy. Leżał jeszcze w łóżku, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzał na zegarek. Było osiem po siódmej. Potarł palcami oczy. Co znowu?

Dzwonił Robert Marin.

- Ashley tu nie ma - zaczął Chris. - Zadzwoń na jej komórkę albo...

- To z tobą chcę porozmawiać - przerwał mu Marin. Chris marzył o filiżance kawy. Albo nawet dwóch.

- Myślałem, że powiedzieliśmy sobie wszystko wczoraj - mruknął.

- Chcę, żeby to, co teraz powiem, zostało między nami. Na razie - ciągnął Robert. - Żądam, żebyś przestał się zajmować sprawą porwania mojej córki. Nie chcę, żebyś zbliżał się do Ashley ani nikogo, kto ma ze mną jakiś związek.

- Doprawdy.

- W przeciwieństwie do mojej byłej żony nie jestem idiotą.

Sprawdziłem cię, a to, czego się dowiedziałem, bardzo mi się nie podoba.

Chris czekał w milczeniu na ciąg dalszy.

- Mówię o walizce pełnej forsy z handlu narkotykami, która zniknęła w ubiegłym roku w New Jersey.

- W Newark - uściślił Chris skwapliwie.

- Nie bądź taki mądry. Doskonale wiesz, o czym mówię. Nie powiedziałem o tym Ashley, ale zrobię to, jeśli nie zabierzesz się stąd zaraz i nie pójdziesz tam, skąd przyszedłeś.

Chris milczał.

- Słyszysz mnie?

- Tak.
- I nie masz nic do powiedzenia?
- Mam - odparł Chris. - Odpieprz się.

Odłożył słuchawkę i zaczął się zastanawiać, kiedy Marin powie Ashley o pieniądzach.

Wziął prysznic i przed ósmą wszedł do kuchni, gdzie zaczął rozmawiać z Vladimirem przy tostach i kawie. Z pokoju dobiegał głos Ashley, która próbowała nakłonić matkę do wstania z łóżka i wyjścia z sypialni. W tym domu wyczuwało się niemal namacalne napięcie i zdawało się ono rosnać z każdym dniem. Dopóki Lauren nie wróci, sytuacja będzie się tylko pogarszać.

Nalał sobie kolejną filiżankę kawy i oparł się o kuchenny blat.

- Vladimir? Jak tam sprawa z waszymi wizami?
- Sprawa z wizami? - Vladimir podniósł wzrok znad talerza.
- No wiesz, na ile macie pozwolenie na pracę w Stanach? Rosjanin pokręcił głową.
- Ja tak dobrze nie rozumiem po angielsku. Ty pytać, ile ja tu być?
- Na jak długo masz wizę?
- Jeszcze na kilka miesięcy. Potem Ashley załatwić nową.
- Hm - mruknął Chris. - To był ciężki tydzień. Pauline zdaje się nie bardzo rozumie, co się dzieje z jej wnuczką.

Vladimir tylko ponuro pokiwał głową. Może nie zrozumiał wszystkiego, co mówił do niego Chris, trudno było do niego dotrzeć. Rosjanin wstał od stołu i umył swój talerz. Sprawiał wrażenie, jakby mu się spieszyło.

W drzwiach spotkał się z Ludą. Wymienili kilka zdań po rosyjsku. To jest chyba rzeczywiście dom wariatów, pomyślał Chris. Potem do kuchni weszła Ashley. Na widok Chrisa krew napłynęła jej do twarzy. Cóż, robił, co mógł, by nie analizować wydarzeń ubiegłej nocy i nie zadrećzać się poczuciem winy, nie zastanawiać, jak czuła się Ashley po tym, co zrobił - czy też raczej po tym, czego nie zrobił. Cokolwiek wydarzy się w sprawie Lauren, będzie to miało miejsce niebawem, a wtedy on zniknie z życia Ashley na dobre. Gdyby знаła go naprawdę, podziękowałaby za to swojej szczęśliwej gwiazdzie.

A niedługo na pewno dowie się o pieniądzach. Ten dupek Marin zamierza ją poinformować. Ashley może mu uwierzy, a może nie i może stanie w obronie Chrisa. Ale jeśli zdoła dodać dwa do dwóch, w końcu zrozumie, co się z nim stało. Zrozumie, dlaczego nie mógł jej pocieszać, tulić, a może nawet kochać.

- Dzień dobry - powiedziała Ashley cicho.

- Dzień dobry.

- Czy... Robert się z tobą skontaktował? Zadzwoił rano i chciał, abym mu dała numer telefonu mieszkania nad garażem.

- Tak, skontaktował się ze mną.

- Chciał, żebyś wyjechał, prawda? Chris obojętnie wzruszył ramionami.

- Tak myślałam. Och, Chris, mam wrażenie, że kręcę się w kółko. Nie jestem dziś bliżej odnalezienia Lauren niż tydzień temu.

- Nie zgadzam się.

- Och? Wiesz coś, czego ja nie wiem? Coś się wydarzyło dziś rano?

Czy to tylko jedno z tych twoich przeczuć?

Bardzo chciał jej obiecać, że wszystko będzie dobrze. Ale sam nie miał co do tego pewności. Wiedział tylko, że coś w tej całej sprawie śmierdziało, że coś, co mieli niemal pod nosem, ciągle im się wymykało. Może dostrzeże to, jeśli przestanie ciągle się zastanawiać. Ale nic nie mógł zagwarantować Ashley. W tej chwili nie miał jej nic do zaoferowania. Ani jako detektyw, ani jako człowiek.

Postawił filiżankę na blacie i odwrócił się do Ashley. Miała łzy w oczach, Jej włosy były zmierzwione, twarz blada. Wyglądała, jakby trawiła ją choroba. Ogarnął go bezsilny gniew, jak zawsze wtedy, kiedy patrzył na twarz matki albo żony ofiary zabójstwa. Takie uczucia policjant musi nauczyć się tłumić, bo w przeciwnym razie może oszaleć. A tym razem nie chodziło o jakąś obcą osobę, tylko o Ashley.

I ta ubiegła noc. Chryste, zachował się jak ostatni dupek w chwili, kiedy najbardziej go potrzebowała. Nie prosiła o nic, tylko o bliskość drugiego człowieka. A on nie miał odwagi nawet tego jej dać.

- Więc? - powiedziała.

- A, tak. - Wrócił do rzeczywistości. - Mam przeczucie. Wiem, że to pewnie brzmi idiotycznie, ale...

- Nic ci nie zarzucam. Tylko modlę się, żebyś miał rację. Chodzi o to, że znam Roberta. Pewnie w tej chwili rozmawia z FBI. A jeśli Davey się o tym dowie... Sam słyszałeś, co mówił wczoraj. Myślę, że obserwuje mnie od pierwszego dnia. On się dowie, Chris, dowie się, że wciągnęliśmy w to policję. I nie będzie miało znaczenia, że to Robert do nich zadzwonił. Lauren... O Boże, wszystko się wokół mnie rozpada, a ja nie mogę zrobić nic... nic...

Tak bardzo chciał ją objąć, przytulić. Gdyby był normalnym człowiekiem, dobrym człowiekiem, przytuliłby ją, głaskał po głowie i szeptał słowa pocieszenia do ucha. Rozproszyłby jej koszmary. Ale był tylko wypaloną kukłą, nędzną imitacją człowieka. Marin wkrótce powie jej o pieniądzach, a ona nie zniesie rozczarowania i odrazy.

Tego ranka, kiedy Ashley robiła pranie, a potem brała prysznic i zajmowała się matką, zadzwonił do Hodgesów i zapytał, czy mógłby do nich wstąpić. Wszystko inne zawiodło, nadszedł więc czas, by zacząć od początku. Może Hayley albo jej mama pamiętają coś, cokolwiek, choćby pozornie zupełnie bez znaczenia, co w końcu odblokuje coś w jego mózgu.

- Hayley dzwoniła kilka razy - wyjaśniła Ashley, kiedy podzielił się z nią swoimi planami. - Luda cały czas mówiła jej, że Lauren pojechała z wizytą do dziadków. Co chcesz im powiedzieć teraz? Nie możesz wyjawić im prawdy, Chris. Na litość boską, one zadzwonią na policję i...

- To nie jest problem. Powiem, że muszę sporządzić raport. Nie wiedzą, że nie jestem już policjantem. O Lauren wiedzą tylko tyle, że jest u dziadków.

Ashley zastanawiała się przez chwilę.

- Ale nie bardzo wiem, co one jeszcze mogą ci powiedzieć.

- Ja też nie mam pojęcia - przyznał.

Od Hayley i jej matki niewiele się dowiedział. W każdym razie nie mówiły nic nowego, nic, co mogłoby rzucić światło na tę sprawę. Kiedy wyjaśnił, że chce uściślić czas wydarzeń z ubiegłego tygodnia, pani Hodges wspomniała, że pamięta, jak spojrzała na zegar w kuchni, kiedy przypomniała Lauren, że Vladimir na nią będzie czekał.

- Ten zegar zawsze się spieszy o parę minut, żeby dzieci nie spóźniały się na szkolny autobus.

- O ile się spieszy? - spytał Chris.

- Och, może jakieś pięć minut.

Wyszedł z ich domu, zastanawiając się nad tą informacją. A więc prawdopodobnie Lauren czekała przed domem punktualnie albo nawet kilka minut wcześniej, nawet jeśli ociagała się z wyjściem od przyjaciółki.

Wjechał w Mill Street i skręcił w Main. Kilka przecznic dalej minął stację benzynową Local Corner. Vladimir albo zatankował tutaj, albo na drugiej stacji w mieście, parę ulic dalej. Do diabła, powinien go o to zapytać. Jechał powoli, usiłując odtworzyć w myślach drogę Vladimira: z domu Ashley do jednej ze stacji benzynowych. Pewnie się niecierpliwił, bo już był spóźniony. Zatankował, zakręcił wlew, zapłacił za paliwo...

- Jezu. - Chris uderzył dłońmi w kierownicę. - Oczywiście.

Vladimir z pewnością zapłacił kartą kredytową Ashley, a jeśli nawet zapłacił gotówką, musi mieć rachunek. A na wszystkich rachunkach jest wybita godzina płatności. Chris miał tylko nadzieję, że Ashley przechowuje rachunki.

Przejechał przez most nad Roaring Fork River i skręcił w drogę prowadzącą do domu Ashley. Pomachał do jej zajętego jak zawsze sąsiada i zaparkował obok samochodu Ashley. Kiedy wyjeżdżał, Vladimir stał przed domem i podlewał trawnik. Teraz jednak nikogo nie było w zasięgu wzroku. Chris nie znosił grzebać w cudzych rzeczach... Ale wiedział, że jeśli dopisze mu szczęście, może znajdzie rachunki w schowku na rękawiczki albo między przednimi siedzeniami. Tam, gdzie wciska je



większość ludzi. Może Ashley nie zadaje sobie trudu, by je przeglądać, może ufa Vladimirowi.

Otworzył drzwi cherokee - nikt w Aspen nie zamyka samochodów. Poszperał w schowku. Dowód rejestracyjny, mapy, latarka. Spojrzał w stronę domu. Nikogo. Zajrzał między siedzenia. No. Leżało tam kilka rachunków, a także płyty kompaktowe i pudełko chusteczek higienicznych. Przejrzał rachunki. City Market. Nie. Ace Hardware. Nie. Local Corner.

- W porządku - mruknął pod nosem.

Mógł zapytać o rachunki Ashley. Mógł nawet poprosić o oryginały właściciela stacji. Ale tak było znacznie łatwiej.

Znalazł ich kilka. W tym jeden wystawiony tego dnia, kiedy zniknęła Lauren.

Widniała na nim godzina szesnasta trzydzieści pięć. A nie kilka minut przed piątą. Dużo wcześniej.

Opadł na oparcie fotela, jakby ktoś go pchnął. Jak to możliwe, aby Vladimir tak bardzo się pomylił co do godziny? A nawet jeśli nie wiedział, która jest, musiałby pojawić się przed domem Hayley za wcześnie. Chyba że miał jeszcze coś innego do załatwienia. Ale mówił, że nie.

Gdzie zatem był, kiedy Lauren wyszła, by spotkać się z nim o piątej?

Powoli wszystko zaczynało się układać.

Vladimir? Ale jak? Dlaczego? Nie mógł przecież znać Daveya Potts. Potts siedział w więzieniu przez cały czas pobytu Rostovów w Stanach. Wyszedł dopiero przed miesiącem.

Chris czuł, że jeszcze czegoś nie dostrzega. Kto jeszcze jest w to zamieszany? Jeśli w ogóle jest ktoś taki. Może rozum go zawodzi, a może wszyscy myślą się co do spotkania o piątej.

Potts i Rosjanie nie mogli się poznać. Poza tym Potts zapewne planował porwanie Lauren, zanim wyszedł na zwolnienie warunkowe. Nie, ci dwaj nie mogą się znać. Nagle coś innego przyszło mu do głowy - może to od Vladimira Potts dostał numer komórki Ashley? Ale kto w takim razie jest ogniwnem łączącym tych dwóch mężczyzn?

Włożył rachunek do kieszeni i zamknął drzwiczki samochodu. Nie będzie niepokoił tym Ashley. Na razie. Teraz miał się czego uchwycić. I miał kogo obserwować. Powinien sprawdzić historię Vladimira na samym początku. Powinien mu ktoś skopać tyłek za to, że to przeoczył ten fakt. Modlił się tylko, by przez jego głupotę Lauren nie straciła życia.

Po południu sytuacja zrobiła się jeszcze bardziej napięta. Prawie jednocześnie przybył Robert Marin ze swoim prawnikiem i policjanci w towarzystwie dwóch agentów federalnych z biura w Denver. Marin dotrzymał słowa. Jego prawnik, Lenny Coates, przywitał się z agentami FBI jak ze starymi kumplami. Przedstawił ich Ashley.

- Agent specjalny Freed, agent specjalny Parker, była żona mojego klienta, Ashley.

Chris spojrzął na federalnych. Wyglądali zwyczajnie. Freed był szczupły i ciemnowłosy, Parker miał blond włosy i okrągłą twarz. Obaj ubrani w koszulki polo, spodnie khaki i sportowe buty. Przynajmniej nie przyjechali tu w odwiecznych czarnych garniturach.

Ashley przedstawiła Chrisa jako starego przyjaciela rodziny.

Uścisnął dłonie obu agentów, obojętnie poddając się ich oględzinom. Do diabła, w końcu wykonywali tylko swoją pracę.

- Pan Judge jest byłym policjantem - powiedział Robert znacząco.

Obaj agenci odwrócili się do Chrisa. Przyszło mu do głowy, że Marin mógłby wyjawić im jego brudną tajemnicę, nie zrobił tego jednak. Najwyraźniej czekał na lepszy moment.

- Odszedł pan z policji? - spytał Freed. - Interesujące.

- Tajna praca często powoduje wypalenie - odparł Chris. Cóż, była to prawda.

Parker zabrał Ashley do kuchni, żeby ją przesłuchać. Chris słyszał jej głos, cichy i drżący, a potem donośny głos agenta. Pytanie za pytaniem. Pauline siedziała obok Chrisa na kanapie.

- Kim są ci ludzie? - pytała bez przerwy.

- Newark, mówi pan? - zaczął znowu Freed. - Ciężka sprawa.

- Mieliśmy tam kilku facetów od was - powiedział Chris. - Nieźli byli.

- Udało się panu doprowadzić do skazania kogoś?

- Kilka osób.

- Dwa lata, mówi pan?

- Zgadza się.

- A kiedy pan odszedł?

- Pół roku temu.

- Aha.

Marin słuchał, siedząc na fotelu, z jedną stopą, obutą w elegancki mokasyn, opartą na kolanie. Chris miał ochotę zetrzeć ten bezczelny uśmiešek z jego twarzy. Freed wyszedł na chwilę do kuchni po kawę.

- Byłby z ciebie niezły mafioso, wiesz? - odezwał się do niego Chris.

- Odpieprz się, złodzieju - odpalił Marin.

O szóstej przyjechał kolejny agent z elektronicznym sprzętem do podsłuchu. Zaczął podłączać urządzenie do telefonu. W tym czasie inni agenci szczegółowo przesłuchiwali wszystkich obecnych w domu. Potem jeden z agentów pojechał przesłuchać Hayley i jej matkę.

Kurator policyjny Potts z Glenwood Springs został przesłuchany przez telefon. Później agent, który rozmawiał z Hodgesami, pojechał do Glenwood i przesłuchał kuzyna Daveya, u którego Potts miał zamieszkać po wyjściu z więzienia.

Chris widział, jak w miarę upływu czasu Ashley traci panowanie nad sobą. Wydawała się roztargniona, miała bladą twarz i była bardzo spięta. Doskonale rozumiał język jej ciała, dostrzegał każdy niuans, jakby stała się częścią jego samego. Do diabła, znał lepiej ją niż siebie.

Sposób, w jaki traktowali ją Marin i ten jego cholerny prawnik, doprowadzał go do wściekłości. Ale był bezsilny.

Nagle Ashley stanęła na środku pokoju, nerwowo zaciskając ręce. Jej głos, kiedy się odezwała, był piskliwy i drżący. Agenci spojrzeli w jej stronę.

- Nie chciałam was tutaj! Chcę, żebyście się stąd zabrali! Robert nie miał prawa was wzywać. Ja jestem prawnym opiekunem Lauren! Nie zrobiliście na razie nic innego niż my do tej pory. A moja matka... Nie widzicie, co się z nią przez was dzieje?

- Ashley, moja droga - powiedział Lenny Coates słodko. - Jesteśmy tu po to, by pomóc ci odnaleźć Lauren.

- Ale ona przez was zginie! On ją zabije i to wy będziecie za to odpowiedzialni, i... - Głos jej się załamał.

- Sam widzisz, co muszę znosić - szepnął Marin do prawnika.

Chris miał ochotę go udusić. Zamknął oczy, odetchnął głęboko, a potem wyprowadził Ashley przed dom i starał się ją uspokoić. I co z tego, że miała rację, Marin i Coates przejęli kontrolę nad sytuacją i poza pozwaniem ich do sądu - co zapewne nie nastąpi - Ashley niewiele mogła zrobić.

- Ale Davey pewnie nas w tej chwili obserwuje! - krzyknęła. - A wiesz, czym groził, jeśli sprowadzę policję. Groził, że ją... że ją zabije. Och, Chris, o Boże...

- Uspokój się - powiedział, obejmując ją ramieniem. - Wszyscy porywacze tak mówią. Potts nie skrzywdzi Lauren. Poza tym na pewno zdążył ją już trochę poznać. To dobrze. Teraz jest jeszcze mniej prawdopodobne, że coś jej zrobi. To nie jest morderca, tylko skrzywiony człowiek, który przesiedział dwadzieścia lat w więzieniu, a teraz odgrywa się na tobie na swój chory sposób.

- Tak, ale... - Ashley pociągnęła nosem. - Teraz on może wpaść w panikę, prawda?

- I może wypuści ją, a sam ucieknie w góry. Może zniknąć na zawsze.

- Nie wierzysz naprawdę, że mógłby ją wypuścić?

- Dlaczego nie? - odparł, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Ashley poszła w końcu do sypialni matki, gdzie obie chciały trochę odpocząć.

Po jakimś czasie Lenny Coates zaczął się niecierpliwić. Nic istotnego się nie wydarzyło; Chris przypuszczał, że prawnikowi wydaje się, że wszystko to dzieje się zbyt wolno. Ale Marin nalegał, by mieć go przy sobie.

O wpół do jedenastej Coates oznajmił, że odjeżdża. Położył dużą dłoń na ramieniu Marina.

- Jeśli tylko coś się wydarzy, natychmiast do mnie zadzwoń.

Rozwiążemy to. Słyszysz mnie, Robert? Znajdziemy Lauren, nie martw się.

- Jasne, Lenny - odparł Robert.

- To nie powinno się stać. Straszne. Kiedy ją odzyskamy, sprawa opieki nad Lauren wróci do sądu. Możesz być tego pewny. To niewybaczalne.

Powiedział to takim tonem, że nawet agenci FBI odwrócili głowy, wyraźnie zakłopotani.

Luda i Vladimir starali się nie wchodzić nikomu w drogę. Luda zbierała pojemniki po jedzeniu na wynos i plastikowe kubki po kawie, mrużąc coś pod nosem po rosyjsku. Vladimir zmył naczynia i wyniósł śmieci. Chris patrzył na Rosjanina, który chodził po pokoju bezszelestnie ze spuszczonej oczami, jakby marzył tylko o tym, aby jak najszybciej zejść z oczu policjantom. Typowa rosyjska nieufność wobec przedstawicieli prawa.

Kilka minut przed północą zadzwonił telefon stacjonarny. Ashley wybiegła z pokoju matki, ciągle całkowicie ubrana. Agenci założyli na głowy słuchawki.

- To nie on - powiedziała. - On dzwoni tylko na komórkę.

Mimo to rozmowa była kontrolowana. Była to pomyłka, jakiś zawiany facet chciał rozmawiać ze swoją dziewczyną.

Chris obserwował wszystko spod oka. Obserwował też uważnie Vladimira, który przyszedł w szlafroku, bo obudził go hałas. Chris próbował wyczytać coś z jego nieruchomej słowiańskiej twarzy, ale bezskutecznie. Twarz Rosjanina wyrażała tylko zwykłą podejrzliwość w stosunku do całego świata. Potem Vladimir wrócił do łóżka. Ashley także.

W domu zapadła cisza, ale Marin najwyraźniej nie miał zamiaru wrócić do domu. Chris nie chciał zostawić Ashley samej z Robertem i grupą obcych ludzi. Zresztą i tak nie potrafiłby zasnąć. Czuł, że musi znaleźć brakujący element tej układanki. Vladimir i Potts. Coś tu nie pasowało.

Później, koło drugiej nad ranem, usiadł na chwilę na schodkach przed domem i patrzył na nocne niebo. Czy Potts rzeczywiście obserwuje to wszystko z ukrycia? Chris nie bardzo w to wierzył. Coś się tu nie zgadza.

Do diabła, pomyślał, nic w tej całej sprawie do siebie nie pasuje.

## Rozdział 18

Zadzwoiła komórka i przez chwilę Davey patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Te nowoczesne technologie nie przestawały go zdumiewać. W myśliwskiej chacie nie było nawet elektryczności. Jego kuzyn wykopał tu wiele lat temu studnię, ale woda dochodziła tylko do ręcznej pompy przed domem, z której co roku, po sezonie polowań na łosie, trzeba było spuszczać wodę, żeby nie zamarzła zimą. A teraz leżało przed nim zasilane baterią urządzenie, za którego pomocą można łączyć się z całym światem. Sygnał przekazują krążące wokół ziemi satelity. Kuzyn powiedział mu nawet, że przez komórkę można wejść do Internetu. Tu, w tej głuszy. Do diabła, kiedy Potts wylądował za kratkami, mało kto w ogóle słyszał o Internecie.

Dziewczyna patrzyła na niego znad knebla. Miała wielkie brązowe oczy, takie jak jej matka. Ale była gorsza od matki, bezczelna i pyskata. Musiał się postarać, żeby ją wystraszyć. W końcu mu się udało. O tak, nauczył się zastraszać ludzi. W więzieniu musiał się tego nauczyć.

Zauważył, że dzwonek telefonu zwrócił jej uwagę. Była ciekawa, pewnie myśli, że to może oznaczać ratunek dla niej. Akurat.

Z przyjemnością by ją zabił. Z wielu powodów. Rozmyślał o tym, rozkoszował się swoimi wizjami, wyobrażał sobie reakcję jej ojca i matki. Była w tym słodycz czystej zemsty. Ale najpierw chciał dostać pieniądze. Zasłużył na nie. Dostać jedno i drugie - *coup de grace* - tak, to będzie idealne rozwiązanie.



Telefon zadzwonił po raz piąty. Davey sprawdził knebel w ustach dziewczyny. Ręce miała związane niemal przez cały czas, odkąd, już pierwszego dnia, podrapała go po twarzy.

W końcu wziął telefon i wyszedł na zewnątrz, żeby dziewczyna nie mogła go usłyszeć. Wiedział, kto dzwoni. Nadszedł wielki dzień. Zaraz ten, kto chce z nim rozmawiać, dowie się, że Davey ma nowy plan. Zaraz się dowie, kto tu naprawdę rządzi. Odebrał telefon.

- Tak?

- Już czas - powiedział człowiek po drugiej stronie. - Ustalmy szczegóły. Nie życzę sobie żadnych wpadek.

Davey uśmiechnął się do siebie.

- Cóż, nastąpiła pewna zmiana planów.

- Zmiana planów? Co, do diabła...?

- Ustanowiłem nowe zasady.

- Nowe...

- Zamknij się i słuchaj. Jeśli chcesz dostać dzieciaka z powrotem, będziesz musiał zapłacić podwójnie.

Po drugiej stronie zapadła cisza, a po niej nastąpił wybuch, którego Davey się spodziewał.

- Wydaje ci się, że z kim masz do czynienia?! - zapytał rozmówca z wściekłością.

- Dwa razy tyle albo nic - wycedził Davey, rozkoszując się sytuacją.

- Zaraz, zaraz, do cholery...

Ale Davey wyłączył komórkę. Niech się drań pomęczy.

Kiedy wrócił do chaty, dziewczyna nie spuszczała z niego wzroku. Na pewno chciałyby wiedzieć, kto dzwonił i kiedy złożą za nią okup. Nie

powie jej -utrzymywanie jej w niepewności było jego najskuteczniejszą bronią.

Rozejrzał się po chacie. Na stole stały puste pudełka po pizzy i puszki po napojach, na drewnianej podłodze walały się torebki z McDonalda i opakowania po słodyczach.

- Ty leniu - warknął.

Spojrzała na niego. Gdyby wzrok mógł zabijać... Z pewnością rzuciłaby mu w twarz parę brzydkich słów, jeśliby wyjął jej knebel z ust. Kilka razy musiał ją uderzyć, kiedy zaczynała przeklinać. Teraz po prostu zostawił knebel w jej ustach, mogła więc tylko piorunować go pełnym nienawiści wzrokiem.

Choć musiał przyznać, że nawet lubił do niej gadać. Była uważnym słuchaczem. Trochę mu się nudziło w tym lesie, a on lubił rozmawiać.

- Masz tu posprzątać. Przydasz się na coś, ty pasożycie. Przekrzywiła głowę i rzuciła mu gniewne spojrzenie. Wyglądała jak diabeł.

Zacisnął zęby. Wkurzyła go, choć przecież nie wydała żadnego dźwięku. Zirytowany, popełnił błąd. Błąd, którego do tej pory starannie unikał.

- Jesteś gorsza niż twoja matka - powiedział bez zastanowienia. Dziewczyna znieruchomiała natychmiast, a między jej brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. Potem nagle zrozumiała. Widział to. Jej twarz stężała, oczy rozszerzyły się jak spodki.

Był wściekły. Na siebie, bo za dużo powiedział. I na nią, bo go do tego sprowokowała. Czuł się tak, jakby okradła go z części jego siły. Cholera, cholera, cholera, pomyślał. Ale było już za późno. Nie mógł cofnąć tych słów. Kopnął puszkę, która uderzyła dziewczynę w nogę.

- Masz tu posprzątać, słyszysz?! - ryknął. Siedziała i patrzyła na niego.

- Słyszysz, do cholery?! - powtórzył. Potem poderwał ją do góry i zaczął szarpać sznur na jej nadgarstkach. Był wściekły, ale pamiętał, by trzymać się z daleka od paznokci dziewczyny. Wiedział, że miała ochotę wyjąć knebel, ale kiedy ostatnio tego spróbowała, nieźle jej przyłożył. Teraz więc tylko patrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

Pchnął ją. Upadła na czworaki.

- Zbieraj te cholerne śmieci - rozkazał.

W tej chwili mógłby ją zabić. Kiedy tylko skończy sprzątać. To będzie łatwe. Ale przypomniał sobie o pieniądzach. Facet z pieniędzmi musi zobaczyć; że dziewczyna żyje, zanim przekaże resztę forsy. Chyba że Davey wymyśli lepszy plan.

Pieniądze. Zniknie stąd, kiedy tylko dostanie forszę. Najpierw Meksyk, nie powinien mieć problemów z przekroczeniem granicy. A potem może ten kraj, gdzie są lasy tropikalne i małpy. Przeczytał o nim w „National Geographic”, w więziennej czytelni. Kostaryka. Davey nigdy nie widział lasu tropikalnego ani żywych małp. Nigdy nawet nie był w zoo. Tak naprawdę nigdy nie wyjeżdżał z Kolorado. Tak, teraz w końcu stąd wyjedzie i nikt tu już nigdy o nim nie usłyszy.

Kostaryko, nadchodzę, pomyślał i poczuł się jak milion dolarów - czyli dokładnie tyle, ile miał zamiar zainkasować przed wyjazdem. Okrągły milion. A jeśli nie uda mu się zdobyć aż tyle, zadowolony będzie tym, co już ma. I tak będzie żył jak król.

Dziewczyna wstała, otrzepała ręce z kurzu i spojrzała na niego z nienawiścią. Twarda sztuka. Niemal ją podziwiał. Pamiętał, jak to jest być

nastolatkiem. Miała prawie tyle samo lat co on, kiedy jego ojciec porwał jej matkę. Tak, jemu też się wtedy wydawało, że jest nieśmiertelny. Wszystko było fantastyczną przygodą. Dopóki, rzecz jasna, nie wylądował w poprawczaku, a potem w więzieniu stanowym. Dopóki nie został zgwałcony. Płakał każdej nocy, dopóki nie nadszedł sen. Aż do dziś nie miał kobiety, wątpił, czy zniósłby takie doświadczenie. I nikogo to nie obchodziło. Nikogo też nie obchodziło, że jego ojciec musiał oddać dom prawnikowi, temu idiotcie, przez którego wylądowali w więzieniu. Nikogo nie obchodziło, że jego ojciec zachorował na rozedmę płuc i umierał całymi latami. Pozwolili mu raz odwiedzić ojca na łożu śmierci. A później jakiś strażnik o sadystycznych skłonnościach wręczył mu akt zgonu. „Och, nie wiedziałeś, że twój stary zmarł we środę?” - zapytał.

Ale Davey robił, co trzeba. Co roku stawiał się przed komisją z obrońcą z urzędu i opowiadał tym starym pierdołom, że się zmienił, że odnalazł Boga. To zawsze na nich działało. A on cały czas snuł swoje plany, bo świat był mu coś winien. Ta dziwka Ashley też była mu coś winna. W końcu nie zrobili jej żadnej krzywdy. Przeciwnie, zaoferowali przyzwoite życie w górach, z dala od tego zwariowanego turystycznego miasteczka, do którego bananowa młodzież przylatywała prywatnymi odrzutowcami, żeby jeździć na nartach i brać narkotyki.

Może Ashley nie była zachwycona pobytem w kopalni, ale w końcu wsadzili ją tam na krótko, karmili nieźle, zostawili śpiwór i lampę. Chcieli po prostu, żeby spokorniała i zrozumiała, że wyświadczyli jej przysługę, że ją wyzwolili. Ale pojawił się ten myśliwy i wszystko zepsuł. Jeszcze kilka tygodni i na pewno nabrałaby rozumu. Jego ojciec dobrze wiedział,

co robi. Był mądrym człowiekiem. Najlepszym człowiekiem, jakiego Davey znał.

A ten Chris Judge... Pamiętał go doskonale z procesu. Zeznawał tak spokojnie, wszyscy traktowali go jak jakiegoś bohatera. Ciekawe, czy Ashley widywała się z nim przez te wszystkie lata. Może spotykała się z nim nawet wtedy, kiedy wyszła za męża. Do diabła, może Lauren w ogóle nie jest córką Marina. Może dlatego Judge pospieszył Ashley z pomocą, kiedy tylko mała zniknęła. Tak, to możliwe. Zastanawiało go to, ale właściwie nie miało już znaczenia. Nie dla niego. Weźmie forszę i odegra się na tej dziwce. A przy okazji także na Marinie i Judge'u. Od lat głowił się nad planem zemsty, a potem nagle ten bogaty, żądny władzy facet wkroczył do domu jego kuzyna w Glenwood Springs i podsunął mu rozwiązanie na tacy. Prawdziwy cud.

Dziewczyna wydała jakiś stłumiony kneblem dźwięk, przerywając jego rozmyślenia. Była głodna.

- Tak, mam zamiar pojechać po jedzenie. Ale jeszcze sobie poczekasz. Upewnił się, że jest dobrze związana, i namacał w kieszeni kluczyki od samochodu.

- Zaraz wracam. Nie rób lepiej niczego, co mogłoby mi się nie spodobać - rzucił przez ramię i wyszedł.

Założył zasuwę na drzwi i uśmiechnął się do siebie. Niech się pomęczy, tak jak ten bogacz. Miał ich teraz wszystkich w garści. A wkrótce, już jutro, ta mała nie będzie mu rzucać tych jadowitych spojrzeń. Jutro będzie krzyczeć ze strachu.

Elaine i Maria robiły w kuchni listę zakupów na przyjęcie, które miało się odbyć tego wieczoru. Pies skrobał wściekle w drewnianą

podłogę, gryząc brzeg dywanu. Za oknem ptaki śpiewały w gałęziach drzew, a dalej, po drugiej stronie doliny, turyści jechali kolejką w górę Aspen Mountain, na lunch w Sundeck Restaurant.

Robert nie zwracał na to wszystko uwagi. Jego umysł paraliżowała panika. Chodził nerwowo po swoim gabinecie, w uszach dudniły mu uderzenia serca. Nie wziął tego pod uwagę, nie przyszło mu do głowy, że Potts może mu wywinąć taki numer.

A może Potts tylko go podpuszcza? Robert rozpaczliwie starał się skoncentrować i rozważyć wszystkie możliwości. Tak, Potts może blefować, ale Robert nie miał odwagi ryzykować życia Lauren. Wiedział, że będzie musiał zapłacić. Problem polegał na tym, że Potts i tak może wyrządzić Lauren jakąś krzywdę, choćby po to, by odegrać się na tej cholernej Ashley.

Chodził po pokoju tam i z powrotem, czując, jak ogarnia go przerażenie. Gdzie popełnił błąd? Jak mógł tak źle ocenić Potts'a? Zawsze doskonale odczytywał ludzkie intencje. Był to talent który oddał mu nieocenione usługi na gruncie zawodowym i towarzyskim. Intuicja zawsze podpowiadała mu, co powinien robić. Zawiodła go jednak najwyraźniej tego dnia, kiedy przedstawił swój plan w domu kuzyna Daveya.

Usiadł na krześle za biurkiem i oparł głowę na dłoniach. FBI zostało ściągnięte do Ashley, wszystko było zapięte na ostatni guzik - ale Potts zażądał więcej pieniędzy.

Odetchnął głęboko kilka razy, zgodnie z zaleceniami jogi, i przypomniał sobie, że musi zachować spokój. Wszystko się ułoży, zawsze się układa. Nauczył się tego w twardym świecie biznesu. W końcu wszystko wraca do normy.

Ale choć bardzo starał się myśleć pozytywnie, czuł w głębi duszy, że Potts może zgarnąć grubą forszę, a potem zamordować Lauren.

- Kochanie? - Elaine zapukała do drzwi i otworzyła je. - Musimy pojechać po ubrania. Moja sukienka? Pomyślałam, że gdybyś jechał na pocztę, mógłbyś przy okazji odebrać ją z pralni chemicznej. Maria i ja będziemy na zakupach kilka godzin.

Podniósł głowę. Jego żona beztrąsko postanowiła nie odwoływać przyjęcia, mimo że Lauren, jej pasierbica została, porwana. Tylko dlatego, że siostra Elaine, która bawiła właśnie w mieście, miała jutro wyjechać. Jakby Roberta mogło to obchodzić.

- Zdajesz sobie sprawę, że wydawanie przyjęcia w tych okolicznościach jest bardzo niestosowne? - zapytał ją wczoraj.

- Nie musisz na mnie krzyżeć - odparła. - Zresztą, co mam teraz zrobić? Zadzwoń do siedemdziesięciu osób i odwołać spotkanie? Powiedzieć im, że twoja córka została porwana? Przecież sam zabroniłeś mi komukolwiek o tym wspominać.

Tym go załatwiła. Musiał przyznać, choć niechętnie, że miała rację. Ale nie musiała tak świetnie się bawić przygotowaniem do tego przyjęcia. A teraz jeszcze ta sprawa z Pottsem. Co ma jej powiedzieć? Wyjaśnić, że postanowił zapłacić porywaczowi za uprowadzenie własnej córki i przetrzymanie jej przez tydzień w jakimś bezpiecznym miejscu? I że on sam miał zamiar w tym czasie patrzeć spokojnie, jak Ashley traci szanse na utrzymanie praw do opieki na córką? Tym bardziej że to on miał zamiar odnaleźć Lauren. Porywacz uciekłby, oczywiście, z pieniędzmi, ale cały świat podziwiałby bohaterstwo Roberta.

Jak mógł przyznać się Elaine, że Potts wystrychnął go na dudka?

- Pralnia, Robert? Mógłbyś wstąpić do... Spojrzał na nią zimno.

- Nie, nie mógłbym odebrać twojego pieprzonego prania. A teraz wynoś się z mojego gabinetu i więcej się tu nie pokazuj.

Elaine wybuchnęła płaczem i wyszła. Dzięki Bogu, pomyślał. A teraz uspokój się i myśl, zanalizuj sytuację. Ale w uszach mu szumiało, serce waliło mu jak młotem. Zawdzięczał to swojej żonie, tej młodej dziwce, która okazała się błędem numer dwa.

Może za bardzo przejął się pogroźkami Potts'a. Może to tylko blef. Na razie wszystko szło zgodnie z planem - poza ostatnim żądaniem Potts'a. On sam zrobił wszystko, co trzeba - kilka razy ostrzegwał Ashley, że wezwie FBI, skonsultował się z prawnikiem, a w końcu sam zadzwonił na policję. Tak, to był doskonały plan.

Dał temu śmieciowi szansę na wolność i bogactwo, a on zwrócił się przeciw niemu. Czy Potts w ogóle jest w tej chacie, w której miał czekać? Może pojechał gdzie indziej i wcale nie ma zamiaru oddać Lauren. Jezu.

Wziął do ręki komórkę należącą do żony - nikt nie miałby powodu, by sprawdzać jej połączenia- i wystukał numer Daveya. Postanowił, że będzie opanowany i rzeczowy, ale pozwoli Pottsowi sądzić, że ten ma nad nim przewagę. Zgodzi się na milion. Umówi się z nim na rano - będzie musiał sprzedać akcje i... Chryste, wynająć kuriera, bo żaden bank w tym małym miasteczku nie ma takiej gotówki. Umówi się więc na nieco późniejszą godzinę...

- Tak? - usłyszał głos Potts'a.

- W porządku - powiedział Robert, starając się, by zabrzmiało to potulnie. - Dostaniesz dodatkowe pół miliona, ale sprowadzenie tu gotówki potrwa przynajmniej do jedenastej. Potem przyjadę do ciebie.



Mam tylko nadzieję, że FBI się nie zorientuje. Mieliśmy dokonać wymiany dzisiaj.

- To nie mój problem. Robert zacisnął zęby.

- Będziesz na Avalanche Creek?

- Jasne.

Czy on kłamie? - zastanawiał się Robert.

- Jak się czuje Lauren?

- Ma tu jak u pana Boga za piecem.

- Jeszcze jedno pytanie. Skąd mam wiedzieć, że mi ją oddasz? I że jutro nie zażadasz jeszcze więcej pieniędzy?

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Cóż, chyba musisz mi zaufać - odparł Potts i się rozłączył.

Robert opadł na oparcie krzesła zlany zimnym potem. Znał się na ludziach, wiedział, co knują, potrafił to wyczuć nawet w czasie krótkiej rozmowy telefonicznej z kimś na drugiej półkuli. „Musisz mi zaufać”, powiedział Potts. Ale Robert nie miał wątpliwości, że Potts kłamie.

## Rozdział 19

Ashley pchnęła drzwi, zatrzymała się na ganku i tak długo głęboko oddychała, aż zakręciło jej się w głowie. Chris, który stał oparty o samochód i rozmawiał z agentem FBI Steve'em Parkerem, spojrzał na nią z troską.

- Do diabła z nimi wszystkimi - mruknęła. Bolało ją gardło, tyle razy odpowiadała na te same pytania tym dupkom, którzy zawładnęli jej domem. Czy oni nic nie rozumieją? Już sama ich obecność tutaj stanowiła zagrożenie dla Lauren. I co zrobili, żeby się ukryć? Zaparkowali swoje samochody parę metrów dalej? Jakby Potts mógł ich tam nie zauważyć.

- Nie wie pani, czy on rzeczywiście obserwuje dom - powiedział agent Freed.

- A pan wie, że go nie obserwuje! - odpaliła.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin tylko Chris trzymał ją przy życiu. Był niewzruszony jak skała podczas jej wybuchów gniewu i płaczu. Uspokajał ją, wyciągał na krótkie spacery. Agenci zaczęli w pewien sposób go szanować, bo tylko dzięki niemu Ashley jeszcze się całkiem nie rozsypała. Ale nawet on nie mógł sprawić, by Potts znowu zadzwonił. Nie był też w stanie odnaleźć jej córki. Zaczęła myśleć z rozpaczą, że nikt nie jest w stanie tego dokonać.

Usiadła na schodkach i oparła głowę na dłoniach, słuchając z roztargnieniem Chrisa i Parkera, którzy rozmawiali spokojnie, jakby nic niezwykłego się nie działo.

Parker sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczkę papierosów i zapalił.

- Wróciłem do tego wszystkiego miesiąc temu - powiedział, zaciągając się głęboko. - Żona zabrała dzieciaka i wyprowadziła się do matki.

Chris pokiwał głową. Ashley poczuła zapach papierosowego dymu. Wróciłyby do domu, ale nie mogła już znieść tych agentów. Ani matki. Ani Ludy i Vladimira, i całej reszty.

- Byłeś kiedyś żonaty? - spytał Parker Chrisa.

- Tak. Jestem po rozwodzie.

- To piekło. - Parker ruszył powoli wzdłuż podjazdu. Za nim ciągnęła się smużka błękitnego dymu. - To znaczy rozwód. - Uśmiechnął się gorzko.

- Owszem - zgodził się Chris. Ashley zauważyła, że chętnie rozmawia z Parkerem. Powiedział jej nawet ubiegłego wieczoru, że Parker jest całkiem sympatyczny jak na agenta FBI.

Pauline otworzyła wychodzące na podjazd okno swojej sypialni.

- Nie chcę tu jeść - powiedziała. - Dlaczego trzymacie mnie w tym pokoju?

- Ty sama chcesz tu zostać, pani Pauline - odparła Luda. Zdawała się tracić cierpliwość.

A gdzie jest Vladimir? Cały czas unikał zamieszania i albo siedział w drugiej części domu, albo wyjeżdżał po jedzenie na wynos dla agentów, podczas gdy powinien pomagać Ludzie przy Pauline.

- Masz dzieci? - spytał Parker. Niedopałek papierosa upadł na podjazd, agent przydepnął go butem, ale zreflektował się, kiedy spojrzał na Ashley, i podniósł go szybko.

- Tak, syna.

- Tęsknisz za nim?

- Cały czas. Ale widuję go. Chodzę na mecze i spędzam z nim weekendy, kiedy tylko mogę.

- Wkurzają mnie te weekendowe spotkania.

- Wiem - odparł Chris. - Mnie też.

Chris chyba stracił rozum, skoro rzucił pracę w policji. Bez względu na to, jakie miał za sobą doświadczenia, był do tej pracy stworzony. Odpowiadało mu towarzystwo policjantów. Nawet oczekiwanie, niekończące się oczekiwanie na przełom w sprawie zdawało się go nie denerwować. Dla niej był... kimś znacznie więcej niż tylko przyjacielem. Zdobył też serce Pauline, umiał nakłonić ją do zjedzenia posiłków, zabawiał ją wspomnieniami o starych dobrych czasach w Aspen. Rozmawiał z nią o zmianach, jakie zaszły w mieście, o wizytach prezydentów i koncertach sławnych muzyków, i konferencjach naukowych, które odbywały się w Aspen Center for Physics, gdzie spierano się o początki wszechświata.

Był twardy w rozmowach z Freedem, powiedział mu nawet, żeby się odpieprzył, kiedy agent warknął na nią nieuprzejmie godzinę wcześniej. Teraz ze współczuciem słuchał agenta Parkera. Znosił nawet Ludę i jej aroganckie uwagi. Z Vladimirem - kiedy Rosjanin raczył pokazać swoją nieruchomą słowiańską twarz - wymieniał chłodne spojrzenia. Był tu dla wszystkich. Znowu zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie chciał, żeby została z nim tamtej nocy. Czy nie mógł spełnić także jej potrzeb?

Chris. Człowiek o wielu twarzach. Tajniak. Był policjant. Tak, popełnił błąd, odchodząc z policji. I popełnił błąd odrzucając ją, Ashley. Ona tak bardzo go pragnęła. I była pewna, że on pragnie jej.

Parker w końcu wszedł do środka, a Chris stanął obok niej.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Nie.

- Głupie pytanie.

- Tak.

Milczał przez chwilę, jakby szukał właściwych słów.

- Muszę ci zadać pewne pytanie, ale nie chcę, żebyś się denerwowała.

- Jakie pytanie? - spytała ze znużeniem.

- Ważne.

- W takim razie pytaj.

- Przejdźmy się. Nie chcę, żeby ci goście nas podsłuchiwali - powiedział, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

Z któregoś z domów dobiegały dźwięki skrzypiec - zapewne student akademii muzycznej ćwiczył przed egzaminem. Melodia rozbrzmiewała uspokajająco w rozgrzanym słońcem powietrzu. Chris i Ashley przeszli na drugą stronę wysypanej żwirem drogi, do cienia.

Chris szedł przez chwilę w milczeniu, potem odchrząknął.

- Czy to możliwe, by Vladimir spotkał się kiedyś z Pottsem?

- Co?- spytała.

- Na przykład, powiedzmy, podczas któregoś z przesłuchań przed komisją decydującą o zwolnieniach warunkowych? Czy Vladimir cię tam kiedykolwiek zawoził?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Tak się tylko zastanawiam.

- Akurat. Znam to spojrzenie. O co chodzi? Chris zatrzymał się i popatrzył na nią poważnie.

- No, Chris. Do czego zmierzasz?

- W historii Vladimira coś mi nie pasuje - powiedział.

- O Boże, sam go przesłuchiwałeś, a potem FBI wałkowało jego historię jeszcze trzy razy.

- To prawda. Ale znalazłem w twoim samochodzie rachunek za benzynę.

- I co z tego?

- To, że Vladimir skłamał. W jego historii brakuje dwudziestu pięciu minut. Ashley zmarszczyła brwi.

- Dwadzieścia pięć minut? Ale... nie rozumiem. - Popatrzyła na swoje buty, a potem znowu podniosła na niego oczy. - Myślisz... myślisz, że Vladimir jest w to jakoś zamieszany?

Chris kiwnął głową.

- Ale... - Zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się nieco. Wiatr szeleścił liśćmi drzew ponad ich głowami. - Chris, to niemożliwe. To znaczy, no wiesz, on wrócił tu samochodem. Jak mógłby zatem ukryć gdzieś Lauren? A poza tym wiemy, że to Davey. Ja wiem, że to on.

- Nie mówię, że nie. Wiem tylko, że Vladimir nie jest głupi. Dwadzieścia pięć minut to dużo czasu. Mógł spotkać się z Pottsem i pokazać mu drogę do Hodgesów. Potts odjechał z Lauren, a Vladimir wrócił do domu i opowiedział swoją bajkę.

Ashley pokręciła głową.

- To bez sensu. Potts i Vladimir nie mogą się znać.

- Zgadza się.

- Myślisz... zaczekaj, muszę to sobie poukładać... myślisz, że ktoś inny to wszystko zaplanował i włączył w to Potts'a i Vladimira?

- To na razie tylko teoria.

- Ja... mój Boże, w moim domu, cały ten czas...

- Nie zdradź się przed Vladimirem. Zachowuj się tak jak zawsze.

Możesz to zrobić, Ashley?

Ashley zbladła.

- Spróbuję.

- Grzeczna dziewczynka.

- Ale dlaczego? - zapytała bezradnie. - Dlaczego Vladimir miałby robić coś takiego?

- Dowiemy się, kiedy odkryjemy, kto łączy go z Pottsem. Nagle do jej oczu napłynęły łzy.

- Jak mogłam się tak pomylić co do niego? - jęknęła, ale zaraz ogarnął ją gniew. - Ten... ten drań! - Odwróciła się gwałtownie i ruszyła w stronę domu. - Ja mu... Ja go... Nie, ty z nim porozmawiaj. Zrób, co będzie trzeba. Możesz go nawet pobić, nic mnie to nie obchodzi, tylko...

- Spokojnie, zastanów się. Ci goście z FBI nie pozwolą mi teraz wydobyć prawdy z Vladimira. Nie, Ashley, musimy rozegrać to do końca.

- Chcesz, żebym... żebym udawała, że nie wiem?

- To nie potrwa długo.

- Skąd, u diabła, możesz to wiedzieć?

- Bo wiem - uciał krótko, a zaraz potem na drodze rozległ się chrzęst żwiru, a zza rogu wyjechał srebrny range rover. Robert.

- Och, nie – jęknęła Ashley.

Ale Chris był dziwnie milczący. Z obojętnym wyrazem twarzy patrzył na zbliżający się samochód. Ashley nie potrafiła się aż opanować. Kręciło jej się w głowie. Vladimir. Potrzebowała czasu, żeby to wszystko przemyśleć, a na dodatek teraz pojawił się Robert, który znowu zacznie ją atakować. Kolejny raz usłyszy od niego, jaką jest beznadziejną matką. Ale on także nie umie odnaleźć Lauren, tak jak wszyscy inni.

Robert wysiadł z samochodu. Był bardzo blady. Ashley nagle zdała sobie sprawę z tego, że mimo swojego władczygo sposobu bycia Robert cierpi tak samo jak ona. Na jej widok opanował się jednak szybko, jego twarz przybrała twardy wyraz. No tak, ten sam stary Robert.

- Jeszcze tu jesteś? - Robert podszedł do Chrisa i wycelował palec wskazujący w pierś Chrisa. Ale jego dłoń drżała. Robert drżał?

Chris wyciągnął rękę i zdecydowanym ruchem odsunął dłoń Roberta.

- Nie przeciągaj struny - powiedział.

O Boże.

- Robert, posłuchaj - zaczęła Ashley. - Nie pogarszaj sytuacji.

Proszę. Spojrzał na nią.

- Sytuacja jest tak zła, że nie sędzę, by można było ją pogorszyć - rzucił sarkastycznie. Ashley dosłyszała jednak w jego głosie jakąś fałszywą nutę.

Spojrzała na Chrisa, jakby szukała u niego pomocy, ale on nie spuszczał wzroku z Roberta. Co, na litość boską, pomyślała. Nagle twarz Chrisa stężała, pojawił się na niej wyraz policyjnej czujności. Zmrużył oczy i zacisnął usta w wąską, twardą linię. A potem podszedł do Roberta i zbliżył twarz do jego twarzy. Dzieliło ich teraz zaledwie kilka centymetrów.



- Myślę, że twój były mąż chce nas o czymś poinformować - powiedział spokojnie.

- Co? - spytała Ashley, ale żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi.

- Odczep się ode mnie - rzucił Robert.

- No, co poszło nie tak, Marin? Potts chce więcej forsy? A może Vladimir?

- Nie wiem, o czym... - zaczął Robert.

- Nie udało się - przerwał mu Chris. - Nie będziesz bohaterem. No, to jak było? Davey zażądał więcej pieniędzy?

- Idź do diabła - mruknął Robert.

- Założę się, że Vladimira kupiłeś tanio. Prawda? Dałeś mu pewnie trochę pieniędzy i może obiecałeś, że załatwisz kartę stałego pobytu dla niego i Ludy.

Ashley słuchała z niedowierzaniem, usiłując pojąć znaczenie tej wymiany zdań. W tle brzmiały ciągle tony skrzypiec. Robert? Zamieszany w porwanie Lauren? Niemożliwe. Chris na pewno się myli, powiedział po prostu coś bez zastanowienia.

Ale Chris nigdy nie działał bez namysłu.

Ashley położyła dłoń na ramieniu Roberta.

- Czy ty...? - zaczęła.- Wiesz, gdzie jest Lauren, Robert? - Nie mogła uwierzyć, że zadała to pytanie. Był przecież ojcem Lauren. Nigdy by nie...

- No, dalej - odezwał się Chris. - Powiedz jej. Czy nie dość już wycierpiała?

Ashley patrzyła na swojego byłego męża z niedowierzaniem. To niemożliwe. Niemożliwe. Ale im dłużej mu się przyglądała, tym większe

ogarniały ją wątpliwości. Wydawał się zrozpaczony, ale w wyrazie jego twarzy było jeszcze coś...

Wzięła głęboki oddech. Chris powiedział: „Nie będziesz bohaterem”. Czyżby Robert...? Czyżby Robert zaplanował to wszystko po to, by uratować Lauren?

- Robert - wyszeptała. - Czy to prawda? Czy ty...

Ale Robert rozepchnął ich i wpadł do domu. Ashley spojrzała nieprzytomnie na Chrisa, który tylko lekko uniósł jedną brew.

- Poszedł opowiedzieć jakąś bajkę federalnym. Ale jest już za późno.

- Naprawdę uważasz, że on to zrobił? - zapytała.

- O tak, siedzi w tym po uszy.

Ashley poczuła, że dłużej tego nie znieśie, że od tygodnia wzbiera w niej potężna fala, której nie jest już w stanie powstrzymać.

- Ashley, posłuchaj, niech FBI... - zaczął Chris, ale ona już pobiegła za Robertem. Otworzyła z hukiem drzwi i odszukała go wzrokiem w pokoju pełnym ludzi. Stała przed nim i chwyciła go za ramię. Podniósł rękę, żeby ją odsunąć, ale ona nie puszczała.

- Wiesz, gdzie jest Lauren? - syknęła. - Mów draniu! Mów, do cholery. Robert usiłował się uwolnić, lecz Ashley zagroziła mu drogę do drzwi.

Była bliska hysterii. Zaślepiła ją wściekłość.

- Pani Marin... - zaczął jeden z agentów. Nawet go nie słyszała.

Agent Parker wstał, ale zaraz zawahał się, zatrzymał i zmarszczył brwi.

Ashley nie zwracała uwagi na nic. Rzuciła się na swojego byłego męża z pięściami.

- Mów! - krzyczała. - Mów! Mów prawdę! Gdzie jest Lauren?

Robert zaczął oddychać bardzo szybko, a potem nagle odwrócił się i ukrył twarz w dłoniach. Drżał na całym ciele i chwiał się tak bardzo, że jeden z agentów podszedł do niego, jakby chciał go podtrzymać.

- O Boże - załkał. - O Boże...

- Gdzie jest moja córka? - Ashley stała przed nim nieruchomo, ręce miała opuszczone i twarz białą jak kreda. Jej pierś unosiła się i opadała w urywanym, płytkim oddechu. - Gdzie ona jest?

- Panie Marin - odezwał się agent Freed. - Co tu się dzieje? Muszę pana ostrzec...

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Robert wyciągnął rękę do tyłu, namacał krzesło i usiadł.

- To nie moja wina - wyjąkał. - To nie moja... wina... To Potts. Boże, wybacz mi.

W końcu wmieszał się w to Chris.

- Czego chce Potts? Więcej pieniędzy?

- Tak - wykrztusił Robert.

- Miałeś z nim umowę, ale on cię wykiwał?

- O Boże. Tak.

- Dałeś mu już jakieś pieniądze?

Robert milczał.

Chris złapał go za włosy i podniósł jego głowę.

- Zaraz, zaraz, Judge, nie możesz... - zaprotestował Freed. Chris zignorował go.

- Dałeś mu już jakieś pieniądze? - powtórzył. Robert kiwnął głową.

- Połowę - jęknął.

- Kiedy miałeś zamiar dać mu resztę? Robert przełknął ślinę.

- Dzisiaj... dzisiaj... ale bałem się, że... wiedziałem... O Boże, wiedziałem...

Ashley położyła rękę na ramieniu Chrisa, a potem stanęła naprzeciw Roberta. Jej głos był ostry jak brzytwa.

- Gdzie on trzyma Lauren?

Robert podniósł wzrok. Był blady i miał łzy w oczach. Pociągał nosem.

- Avalanche Creek - powiedział. - W chacie.

- Gdzie, Robertcie? Gdzie dokładnie?

- Półtora kilometra od rzeki... Crystal Rover. Przy Avalanche Creek Road.

- Dziękuję - rzuciła przez zęby.

- Panie Marin - odezwał się Parker. - Czy mamy rozumieć, że zaplanował pan porwanie własnej córki?

Ale Robert siedział w milczeniu, kiwając głową.

- Panie Marin, chciałbym usłyszeć jasną odpowiedź. Czy pan wie, gdzie jest pańska córka?

Żadnej odpowiedzi.

- Zrobił to dlatego, żeby ją z tego wyciągnąć, oskarżyć mnie o zaniedbanie i dostać prawo do wyłącznej opieki nad Lauren - powiedziała Ashley spokojnie.

Wszyscy spojrzeli na nią.

- Powinniście też przesłuchać jeszcze raz Vladimira Rostova - dodała.

- Cholera - zaklął jeden z agentów.

- Chcę zadzwonić do mojego prawnika - mruknął Robert. - Chcę zadzwonić do Lenny'ego. Muszę... muszę z nim porozmawiać.

Agenci sprawiali wrażenie zdezorientowanych. Parker wyciągnął komórkę i zaczął z kimś rozmawiać. Freed wręczył telefon Robertowi i stał nad nim ze zmarszczonymi brwiami. Trzeci agent wyszedł na chwilę z domu, ale zaraz wrócił.

- Avalanche Creek? - spytał Ashley. - Gdzie to jest, do diabła?

- Mam mapę w samochodzie - powiedział skwapliwie Chris.

- Mapa, no tak, oczywiście. Gdzie jest ten samochód?

- Stoi przed domem. Ten mustang.

Ashley spojrzała mu w oczy, nie musiał nic mówić. Czytała w nim jak w otwartej książce. Chwyciła kluczyki od swojego auta. Wyszli przed dom, zostawiając za sobą chaos podniesionych głosów. Chris wziął z mustanga kurtkę, po czym oboje ruszyli w stronę samochodu Ashley. Chris podszedł do drzwi od strony kierowcy. Ashley rzuciła mu kluczyki. Zaśniły w słońcu, a potem wylądowały w jego dłoni.

Nie mieli wiele czasu. Chris jechał tak szybko, jak tylko się dało, ale jak zwykle po południu ulice Aspen były zatłoczone. Jechali powoli w długim sznurze samochodów dwupasmową drogą; jedyną, jaka wiodła z miasta. Ashley drżała ze zdenerwowania. Pokazała Chrisowi kilka skrótów i krętych uliczek znanych tylko miejscowym, ale one też były zapchane.

Trzymaj się, Lauren. Już jedziemy, powtarzała w duchu. Potem przypomniawszy sobie o Robercie, swoim byłym mężu i ojcu Lauren, ale nie potrafiła o nim myśleć.

Wreszcie wyjechali na czteropasmówkę i mogli przyspieszyć. Minęli Woody Creek, Old Snowmass, Basalt i El Jebel. W końcu skręcili w znajomą drogę prowadzącą do Crystal River Valley.

Chris mówił niewiele. Prowadził samochód z zaciętym wyrazem twarzy, spoglądając od czasu do czasu we wsteczne lusterko i wyprzedzając, kiedy tylko mógł.

Ashley przypomniało się nagle, jak jechała obok Lauren, która prowadziła samochód kilka tygodni temu. Ashley pozwalała jej ćwiczyć na ich prywatnej drodze. W długich, jasnych włosach Lauren lśniły czerwone pasemka, które niedawno sobie zrobiła. Miała piękną, jasną cerę. Nad paskiem dżinsów, tak obcisłych, że to cud, iż w ogóle była w stanie w nich oddychać, widać było kawałek gołego brzucha. Patrzyła przed siebie, skoncentrowana, zaciskając ozdobione licznymi srebrnymi pierścionkami palce na kierownicy. Postanowiła, że dostanie prawo jazdy, najszybciej jak to możliwe, gdy tylko skończy szesnaście lat. Lauren. Dla niej zawsze będzie małą dziewczynką.

Odsunęła od siebie wspomnienia, zamknęła na chwilę oczy i wzięła głęboki oddech.

- Myślisz, że federalni mogą tam dotrzeć przed nami? - spytała, kiedy minęli Carbondale. - Może polecą tam helikopterem?

- Nie - odparł, wyprzedzając ciężarówkę. - Ściągnięcie helikoptera do Aspen trwałoby za długo. Pojadą samochodami.

- Są więc za nami.

- Powinni być.

- Robert... - powiedziała. - Robert to wszystko zaplanował.

- Zgadza się.

- Nie mogę w to uwierzyć, ale wiem, że to prawda. Wiedziałam, kiedy tylko spojrzałam mu w twarz.

- Hm.

Kiedy dotarli do Redstone, zapadł zmierzch. Na zachodnim niebie lśniła jasno Wenus. Ciemne, deszczowe chmury, które zebrały się nad górami, kurczyły się teraz, kiedy się ochłodziło.

- Tak bardzo się starałam, żeby Davey został w więzieniu - powiedziała.

- Te komisje są do niczego, każdy gliniarz ci to powie.

- Myślisz... myślisz, że Lauren nic się nie stało?

- Potts chce pieniędzy. Słyszałaś, co mówił Robert, teraz zażądał więcej.

- Ale Robert mu ich nie dostarczył...

- Miejmy nadzieję, że Potts myśli, iż Robert ma kłopoty z zebraniem tej sumy. Miejmy nadzieję, że go nie obserwował... - powiedział Chris ponuro.

Nie musiał kończyć myśli; Ashley wiedziała doskonale, co chciał powiedzieć. Jeśli Davey śledził Roberta, wie, że Robert nie ma zamiaru mu zapłacić i że przyjechał do niej, do FBI. A wtedy może zabić Lauren. Zrobiło jej się zimno i ogarnął ją strach, paraliżujący strach.

- A jeśli jego tam nie ma? - spytała, żeby przerwać ciszę.

- W Avalanche Creek?

- Tak, jeśli... jeśli się wkurzył i zabrał Lauren gdzie indziej? Chris tylko pokręcił głową.

Kiedy dojechali do wiejskiej drogi między Mt. Sopris i Mt. Daly, było już całkiem ciemno. Ashley sięgnęła do schowka, wyciągnęła latarkę

i mapę. Droga zmieniała się dalej w bity trakt, a następnie przechodziła w szeroką ścieżkę. Ale Robert mówił, że chata znajduje się półtora kilometra od autostrady. Światła jeepa przecinały ciemność, samochód podskakiwał na wybojach. Chris spoglądał na licznik przebiegu: osiemset metrów, dziewięćset... Minęli kilka domów, a potem nie było już nic, tylko skały i zapylona droga przed nimi.

Kiedy przejechali kilometr, Chris zatrzymał się i wyłączył silnik.

- Co ty robisz? - spytała Ashley. - Musimy się tam dostać.

- Nie chcę zaalarmować Potts'a. Mógłby usłyszeć samochód, zauważyć światła. Dalej pójdziemy pieszo.

Sprawdził rewolwer. Wyciągnął go z kieszeni kurtki, wyjął magazynek, wsunął go z powrotem i wsadził rewolwer, lufą na dół, za pasek spodni. Potem ruszyli drogą, szukając chaty. Jasno świecący księżyc w pełni ułatwiał im sytuację. Niestety, Pottsowi zapewne także.

Chris pociągnął Ashley za sobą na pobocze, tonące w cieniu drzew. Noc była cicha, ale z oddali dobiegał szum przejeżdżających samochodów, a w trawie grały świerszcze. Od czasu do czasu rozlegało się pohukiwanie sowy. W czystym, pachnącym żywicą powietrzu dźwięki niosły się daleko.

Ashley obserwowała uważnie obie strony drogi. Szukała podjazdu, przerwy w gęsto rosnących krzakach, cienia budynku. Nic.

Chris zatrzymał się nagle i chwycił ją za ramię.

- Co? - szepnęła.

W milczeniu wyciągnął rękę. Tak, coś rzucało głębszy cień na drzewa.

- Zostań tu - rozkazał.



- Ale Lauren...
- Zostań tu. Wyciągnął rewolwer.
- Nie, pozwól mi pójść dalej. Ona może...
- Zostań tutaj, Ashley.

Musiała czekać, sama, drżąca, w nieprzeniknionych ciemnościach. Nasłuchiwała, czując, jak serce tłucze się jej w piersi. W końcu zrozumiała, że nie wytrzyma już tego ani sekundy dłużej - musiała coś zrobić. Ruszyła powoli w stronę budynku, najciszej jak potrafiła. Czujna i napięta.

Weszła na krótki podjazd. Gdzie jest Chris? Zatrzymała się i nasłuchiwała przez chwilę. Nic. Żadnych świateł, dźwięków ani głosów. O Boże... czy ta chata jest pusta? Czy Davey ją opuścił? Czy zabrał Lauren gdzie indziej? A może... Odsunęła od siebie tę straszną myśl.

Nagle dostrzegła jakiś cień zbliżający się ukradkiem w stronę drzwi. Chris. W ręce trzymał rewolwer. Jeden szybki ruch, krótki, głośny trzask i drzwi otworzyły się szeroko. Chris wpadł do środka.

Lauren. Lauren. Ashley bez zastanowienia wbiegła za nim, ciężko dysząc. Nie dbała o własne bezpieczeństwo, nie dbała o nic. Lauren.

- Chris?! Chris?! - krzyknęła.

- Jestem tu - rozległ się jego głos. - Zostań tam, gdzie jesteś. Włączył latarkę i oświetlił wnętrze chaty.

- Nie ma jej - wydyszała Ashley, rozczarowana i przerażona.

- Wyjechali. Cholera, zabrał ją stąd i wyjechali - stwierdził Chris.

Zostały tylko puszki po napojach, pudełka po pizzy i tekturowe talerzyki z resztkami jedzenia. Stół i zbite z desek łóżko z poplamionym materacem. Piec, zimny już jak sama śmierć. Ashley rozejrzała się wokół, szukając

śladów bytności Lauren. Zrobiła krok do przodu i schyliła się by podnieść serwetkę, ale Chris ją powstrzymał.

- To jest miejsce przestępstwa - powiedział.

- Miejsce przestępstwa - powtórzyła tępo, odwracając się do drzwi. Było ciemno, latarka ukazywała tylko fragmenty pokoju. Chris szedł za nią jak cień.

- Nie wolno nam tu niczego dotykać. Jest tu mnóstwo odcisków palców, włosy i tak dalej. To wszystko ma wartość dowodową.

- Guzik mnie obchodzi wartość dowodowa - mruknęła Ashley. - Chcę odnaleźć Lauren. Tu może coś być, co pozwoli nam się zorientować, dokąd ją wywiózł.

- Sprawdzę wszystko, nie martw się.

- Spiesz się. Skoro ją stąd zabrał, to znaczy, że wie o Robercie i FBI. On wie, Chris.

- Tak, wie.

Ashley trzęsła się jak w febrze. Objęła się ramionami, chcąc powstrzymać drżenie. Chris skierował na nią światło latarki. Chwytała powietrze szeroko otwartymi ustami. Podeszedł do niej i objął ją ramieniem, Ashley oparła się o jego pierś i wybuchnęła płaczem. Chris obejmował ją mocno, głaskał po głowie i mruczał do ucha słowa pocieszenia.

- Znajdziemy Lauren - mówił. - Przysięgam, że ją znajdziemy. Uspokoila się w końcu, atak paniki minął.

- Pomogę ci przejrzeć te rzeczy - powiedziała z twarzą wtuloną w jego koszulę. - Proszę, muszę coś zrobić.

Puścił ją, ale nie pozwolił przejść przez próg.

- Mówię poważnie - odparł tonem policjanta. - Niczego nie dotykaj.

Stała bez ruchu, podczas gdy on obchodził powoli niewielkie pomieszczenie, oświetlając wszystko latarką. Od czasu do czasu w jej świetle zaśniła jakaś puszka czy kawałek folii aluminiowej. Wziął kilka przedmiotów do ręki, chwytając palcami za krawędzie, a potem odłożył je na miejsce. Ashley mogła tylko obserwować poczynania Chrisa.

- Jedzenie z Subway w Carbondale - powiedział. Ostrożnie podniósł pudełko, po czym odłożył je tam, gdzie wcześniej leżało. - Dwa rachunki z City Market. - Ukląkł i podniósł coś małego. - Zapałki. Dość charakterystyczne. - Położył pudełko na podłodze. - Papier z McDonalda.

Było też mnóstwo puszek po różnych napojach i pudełka z Pizza Hut.

- Gdzie jest najbliższa Pizza Hut? - zapytał Chris.

- W Glenwood Springs.

- Nasz kolega dużo jeździ.

- Może to jego kuzyn, wiesz, ten, z którym miał mieszkać, przywoził tu jedzenie.

- Hm. Możliwe.

- A to co? Nie, tam w kącie. Tak, to.

- Podarta gazeta. - Podniósł ją. - „Aspen Daily News”. Wczorajsza.

- Można ją kupić wszędzie w dolinie.

- Hm. - Chris wstał i omiół podłogę światłem latarki. - Hm - powtórzył, zatrzymując snop światła na kupce zmiętych papierów. - In & Out House - powiedział. - Wygląda jak rachunek.

- Ma datę?

- Słabo widać. Wygląda na wczorajszą. Tak, zgadza się.

- O Boże - jęknęła Ashley.

- Co?

- In & Out House jest w Aspen. On tam był.

Chris głośno westchnął.

- A więc Potts cię obserwował. Albo Robert. Potts wiedział, że Robert przyjechał do ciebie, wiedział o FBI. Wrócił tu, zabrał Lauren i zwiął.

- Miał więc nad nami znaczną przewagę - powiedziała. - Do diabła z nim. - Słyszała histeryczną nutę w swoim głosie, ale powtórzyła: - Do diabła z nim.

- Nie mógł odjechać daleko - stwierdził Chris.

- Ale dokąd pojechał? Dokąd ją zabrał? Chris milczał.

- Przynajmniej nie widać tu żadnych śladów walki - powiedział w końcu. Wiedziała, co miał na myśli. Zacisnęła na moment powieki i wzięła głęboki oddech. Nie było śladów walki w chacie, to prawda, ale to nie znaczy, że... Nie, skarciła się, nie wolno ci tak myśleć. Wiedziała, że musi szybko wymyślić, dokąd Davey mógł zabrać Lauren. Na pewno w jakieś miejsce, którego ani Robert, ani FBI nie byłoby w stanie przewidzieć. A więc nie do swojego kuzyna. Zapewne nie wywiózł jej też poza Roaring Fork Valley, bo sam rzadko opuszczał rodzinne strony - poza pobytem w więzieniu. Dokąd zatem pojechał? Dokąd?

Odsunęła się i przepuściła Chrisa, który wyszedł, by obejrzeć chatę z zewnątrz.

- O Boże - szeptała, podczas gdy on metodycznie oglądał ściany chaty w świetle latarki.

Gdzie jest Lauren?

Czuła presję czasu, wysysającą z niej wolę i siły. Myśl! Myśl! Znała Daveya lepiej niż ktokolwiek inny, prawda? Ale teraz tak wiele od niej zależało, stawka była tak wysoka. A czasu tak niewiele.

Nagle doznała olśnienia. Odwróciła się gwałtownie do Chrisa.

- Chris! Chris! - zawołała i ruszyła, potykając się, w jego stronę. -

Wiem, gdzie ona jest! W kopalni! Jest w kopalni!

- W kopalni?

- Tak, w Close Call. Tam, gdzie mnie trzymali! Chris milczał przez chwilę.

- Jezu, oczywiście - wyszeptał w końcu i rzucił się biegiem do samochodu. Światło latarki drgało przed nim na drodze jak żywe stworzenie.

RS

## Rozdział 20

Powrót doliną przez Castle Creek Road do Taylor Pass, a potem droga w górę do dawnego obozowiska Chrisa zabrały im pół nocy. Dzięki Bogu, była pełnia.

Kiedy mijali Aspen Valley Hospital, Ashley uświadomiła sobie nagle, że nie była tu od dwudziestu lat, od czasu, kiedy Chris odnalazł ją w kopalni.

Noc okazała się w tej chwili błogosławieństwem, spowijając wszystkie wspomnienia ciemnością. Ashley zastanawiała się, jak zareaguje, kiedy wjadą na Taylor Pass, kiedy słońce wzejdzie i oświetli scenę minionego, a jednak wciąż żywego koszmaru. Musi być silna.

- Jak daleko jeszcze? - spytała po raz setny.

- Zaraz dotrzemy do obozowiska - powiedział Chris. - Ale dalej będziemy musieli iść pieszo.

- Jesteś pewny, że trafisz do kopalni?

- O tak, oczywiście. Zaglądałem tam niedawno, pamiętasz?

- Ale teraz jest ciemno.

- Trafię tam, Ashley.

Zacisnęła sztywne palce i pochyliła się do przodu, jakby mogła w ten sposób przyspieszyć ruch samochodu. Jeep podskakiwał na wybojach.

- Myślisz, że federalni znaleźli już chatę? - zapytała

Chris wzruszył ramionami. Był skupiony na prowadzeniu samochodu.

- Ale nas tam nie znajdą - zaczęła znowu.

- Do diabła, nie.

- Może... o Boże, może powinniśmy ich ostrzec. Mogłam zadzwonić z komórki, na policję. Może. .

- Nie.

- Pomyśleliby, że oszalałam, prawda? - Spuściła wzrok i pokiwała głową. - Może rzeczywiście oszalałam. Może Daveya wcale tam nie ma i tylko tracimy czas. Może Lauren jest gdzie indziej i...

- Nie oszalałaś.

Ashley przyłożyła zaciśnięte dłonie do brzucha.

- Boję się.

- Wiem. Ja też.

- Boję się o Lauren, tak, ale boję się też powrotu do tego straszego miejsca.

- Nie będziesz musiała wchodzić do środka. Ale Ashley wiedziała, że musi tam wejść.

W ciemności przed nimi zamajaczył jaśniejszy kształt, dziwnie niepasujący do otoczenia. W końcu światła samochodu oświetliły go wyraźnie.

- Blazer - powiedział Chris. - Cholerny biały blazer.

- On tu jest! Chris, miałam rację. - Ashley zaczęła płakać.

- Wszystko w porządku, Ashley, już dobrze. Miałaś rację. - Chris pogłaskał ją po plecach.

- Zaraz się uspokoję. Tylko... tak mi ulżyło... - Wyprostowała się, otarła łzy z policzków i wzięła głęboki oddech.

- Możesz poczekać tutaj, wiesz o tym.

- Chyba żartujesz? Uśmiechnął się lekko.

- Żartuję, jasne.

Ruszył pierwszy, oświetlając drogę latarką. Było chłodno, tak chłodno, że krótki spacer orzeźwił ją i przywrócił jej siły. Musiała minąć już pewnie czwarta nad ranem, pomyślała, ale nie czuła zmęczenia. Umysł miała jasny. Bała się, ale mogła wytrzymać ten strach. Na razie.

- Jak daleko jeszcze? - wydyszała.

- Jakies czterysta metrów. Dasz radę?

- Tak. Spieszmy się.

W nocy otoczenie wydawało się obce. Księżyc zaszedł i nad ciemnym lasem świeciły już tylko gwiazdy. Gdzieś niedaleko szemrał strumyk; wyżej, w górach, wyły kojoty.

Światło latarki padło nagle na jakąś drewnianą konstrukcję. Była to stara, rozsypująca się szopa u wejścia do kopalni. Serce Ashley zaczęło bić mocniej, a na całym ciele wystąpił zimny pot. Słyszała, jak szczękają jej zęby. Chris wyłączył latarkę. W nagłym przypiływie strachu chwyciła go za ramię.

- Wszystko w porządku, Ashley. Nie chcę, żeby zauważył światło.

- Tak, tak...

- Wejdę teraz do środka, dobrze?

- Idę z tobą.

- Jesteś pewna?

Zacisnęła zęby, aby powstrzymać szczekanie.

- Tak.

Chris włączył latarkę i skierował jej światło w dół, zasłaniając odbłask dłonią. Ashley skupiła uwagę na przyćmionym kręgu światła i powoli ruszyła do przodu. Krok za krokiem. Uda jej się, jeśli nie będzie patrzyła w górę.



Weszli do kopalni, Ashley natychmiast poczuła dobrze jej znaną wilgoć i chłód. Mgła wisiała w powietrzu jak kurz, pachniało ziemią i zgnilizną. I co z tego? - powtarzała sobie w myślach. To tylko dziura w ziemi. Nic więcej.

Chris trzymał ją za ramię. Skoncentrowała się na ciepłe jego dłoni, świetle latarki i myślach o Lauren, która czekała na nich gdzieś w tym koszmarnym mrocznym labiryncie. Już idę, kochanie. Już do ciebie idę.

Zwalczyła ogarniającą ją panikę. Miała ściśnięte gardło, oddychała z trudem. I co z tego? I co z tego?

Chris zatrzymał się i zacisnął palce na jej ramieniu.

- Światło - wyszeptał.

Zmrużyła oczy. Tak, przed nimi ukazało się słabe, przyćmione światełko, ledwo dostrzegalny odbłask na skale. Ashley zeszywniała.

- Uważaj - wyszeptał i zgasił latarkę.

Ruszyli powoli w stronę światła. Krok za krokiem. Ashley kurczowo zaciskała dłonie. Ściany zdawały się zbliżać, napierać na nią. Jak w tych koszmarnych snach. Wilgoć, lepkie zimno, bezustanny dźwięk spływającej ze ścian wody. I co z tego? I co z tego? To tylko wilgoć, woda. Woda nie może ci zrobić krzywdy, zimno nie może ci zrobić krzywdy... Nagle usłyszała jakiś inny dźwięk. Tym razem nie była to ani woda, ani echo ich kroków, ani pisk szczura.

Ashley odruchowo chciała chwycić Chrisa za rękę, nie trafiła i złapała za rękaw jego kurtki.

- Co? - spytał szeptem.

- Słuchaj.

Stanęli nieruchomo. Ashley wytrzymała słuch, ale teraz słyszała już tylko bicie własnego serca.

- Tak - syknął Chris i ruszył dalej.

Wtedy znowu usłyszała ten dźwięk, dziwnie wysoki wśród niskich, zwielokrotnionych przez echo odgłosów kopalni. Głos... Głos młodej dziewczyny? Ogarnęła ją dzika radość, chciała pobiec w stronę, z której dobiegał ten głos, ale Chris chwycił ją za ramię.

- Nie - wyszeptał jej prosto do ucha i sięgnął po rewolwer. - Spokojnie. Szli teraz tak powoli, że Ashley miała ochotę krzyczeć ze zniecierpliwienia.

Teraz głos rozbrzmiewał coraz donośniej, wyraźnie odbijał od innych dźwięków. A potem Ashley usłyszała drugi głos. Głos Daveya. I znowu głos Lauren. Tak, Lauren. Strzępy zdań.

- Nie możesz... znajdą mnie... I znowu gniewny głos Daveya. Chris zbliżył usta do ucha Ashley.

- W porządku, mamy ich. Odwrócę jego uwagę. On pobiegnie za mną w głąb tunelu. Kiedy zostawi Lauren, weź ją ze sobą i uciekajcie.

Ashley znowu zaczęła szczekać zębami. Kiwnęła głową, ale w ciemności Chris nie mógł tego zobaczyć.

- Tak - wyjąkała wreszcie. - Ale on mógł użyć łańcucha. Co zrobię, jeśli Lauren jest przykuta do ściany tak jak ja kiedyś?

- W takim razie zaczekasz tam razem z nią. Wrócę po was. Ale jeśli będzie to możliwe, wyprowadź ją stąd. Dobrze?

- Dobrze.

- Nie włączaj latarki, dopóki nie znajdziesz się przy Lauren. Poczula, że Chris wciska jej do ręki latarkę.

- Nie, ty ją weź. Tam jest jakieś światło. Może lampa. Ty weź latarkę.

- Dasz radę, Ashley? - szepnął jej do ucha.

- T...tak.

- Dzielna dziewczynka. - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta.

- Chris - wyszeptała, tuląc się do niego. - Bądź ostrożny. Bądź ostrożny.

Chris zniknął w ciemnościach i Ashley została sama. Drżała, z trudem oddychając wilgotnym powietrzem. Te głosy... Tak, Lauren. Lauren żyje, nic jej nie jest. Dasz radę. Dasz radę.

Nagle rozległ się głośny huk, który natychmiast odbił się echem od ścian kopalni. Chris próbuje odciągnąć Daveya. Czy Davey pójdzie sprawdzić, co to za hałas? Czekwała, wciśnięta w zagłębienie w ścianie, i modliła się, by Davey nie dostrzegł, kiedy będzie tędy przechodził. Echo ogłuszyło ją, ostra skała wpijała się w jej plecy, przyciśnięte do ociekającej wilgocią ściany, dłonie grabiły z zimna. Naciskała ścianę rękami, jakby bała się, że ta zechce ją zmiążdżyć.

Usłyszała kroki, szybkie, zwielokrotnione przez echo. Minał ją jakiś cień, w ułamku sekundy dostrzegła sylwetkę mężczyzny na tle słabo oświetlonej ściany. Kroki zaczęły cichnąć.

Rzuciła się biegiem w przeciwnym kierunku z wyciągniętymi przed siebie rękami, potykając się o stare szyny, rozbryzgując wodę, która zebrała się w kałużach. Słyszała tylko oszalałe bicie własnego serca. Nagle uderzyła ramieniem o wystającą skałę. Co to? Zakręt. Skręciła. Słaby odblask zmienił się teraz w żółtą eksplozję światła. Biegła w jego stronę, oślepiąca. Zupełnie nic nie widziała. Ale nie, po chwili zobaczyła lampę,

chropowate ściany, kawałki papieru i zardzewiały metalowy krąg wbity w ścianę. Krąg, do którego została kiedyś przykuta łańcuchem.

- Mamo? - usłyszała.

Odwróciła się i zmrużyła oczy. Dostrzegła jakiś ruch.

- Mamo? O mój Boże, mamo!

Jeden krok, potem drugi. Wyciągnęła ramiona. Lauren, jej dziecko, jej krew i ciało.

- Lauren - jęknęła.

Ktoś płakał. Czy to ona? Nie. To płakała Lauren.

- Nic ci nie jest? - wydyszała gorączkowo. - Nie skrzywdził cię?

- Nic mi nie jest. - Lauren łkała spazmatycznie. - Ale, mamo... jak ty...? Jestem związana.

Sznur. Nie łańcuch. Ashley zaczęła gorączkowo szarpać węzeł, łamiąc sobie przy tym paznokcie. Za długo to trwało. Bała się, że Davey wróci. Nagle ogłuszył je huk, potężny jak grzmot. Obie znieruchomiały. Strzał? Starzał z rewolweru? Chris.

- Kto to był? - spytała Lauren.

- Mój przyjaciel. Pomagał mi. - W końcu udało jej się nieco poluzować węzeł. Szybko, szybko.

Udało się. Lauren została uwolniona.

- Dasz radę iść? - spytała bez tchu, rozpaczliwie starając się nie myśleć o strzale. Chrisowi nic się nie stało. On musi żyć.

- Możesz wstać, kochanie?

- Tak, och, mamo, nie mogę uwierzyć...

- Chodźmy.

Chwyliła Lauren za rękę, wzięła lampę naftową i ruszyła w stronę wyjścia. Jak daleko to może być?

Biegły tak szybko, jak potrafiły, omijając kamienie, przeskakując przez szyny. Kurczowo trzymając się za ręce. Minęły wejście do bocznego szybu, gdzie teraz znajdowali się Chris i Davey. Nagle ogłuszył je kolejny huk, kolejny strzał. A potem jeszcze dwa, jeden za drugim.

Ashley rozpaczliwie pragnęła się zatrzymać, ale biegła dalej, ściskając rękę Lauren, w stronę rozświetlonego kręgu, który był ich wybawieniem.

W końcu wyszły z ciemności w blade światło poranka. Niebo, zamglone góry i drzewa. Wróciły do życia.

Lauren miała brudną twarz, poznaczoną śladami łez; ubranie poplamione i podarte. Na swoje dżinsy i podkoszulek włożyła brudną męską bluzę.

- Nie skrzywdził cię? - spytała Ashley ostro. Przycisnęła córkę do siebie, potem odsunęła ją na odległość ramienia i znowu przycisnęła do piersi, dotykając jej włosów, twarzy i ramion.

- Nic mi nie zrobił, mamó, naprawdę. Chociaż parę razy był dość brutalny.

- Drań. Cholerny drań - rzuciła Ashley przez zaciśnięte zęby.

- Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

- Wiedziałaś. Po prostu wiedziałaś.

- Ten człowiek... Nigdy nie powiedział mi, jak się nazywa, ale to ten sam człowiek, prawda? Ten, który cię kiedyś porwał?

- Tak.

- Och, mammo. - Lauren zaczęła płakać. - Wszłaś do kopalni. Mammo, wszłaś tam za mną.

- Ćśś. Oczywiście. Jesteś moją córką. Lauren spojrzała w stronę wejścia do kopalni.

- Twój przyjaciel?

- O Boże. - Ashley znowu ogarnęło przerażenie. - Chris... Lauren otworzyła szeroko oczy.

- Myślisz, że Davey go postrzelił?

- Davey miał broń?

- Tak, lubił ją pokazywać, jakby miał zamiar mnie zastrzelić - odparła pogardliwie.

- Kochanie, muszę tam wrócić. Muszę cię tu zostawić i wrócić do kopalni.

- Pójdę z tobą.

- Nie. - Ashley chwyciła córkę w objęcia i uścisnęła mocno. - Musisz być teraz silna. Poradzisz sobie. Kiedy wrócę, będziemy mogły obie się rozsypać. Dobrze?

- Dobrze - szepnęła Lauren.

- Bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też, mammo.

- A teraz zadzwoń na policję. Dziewięćset jedenaście. Powiedz im, że jesteśmy przy Close Mine na Taylor Pass. Niech szukają myśliwskiego obozowiska. Są tu dwa samochody, mój jeep i blazer. Biały. Powiedz im, że... że może być potrzebny helikopter. Mogą być ranni. - Ashley wcisnęła komórkę w dłoń córki.

Potem jeszcze raz ją uścisnęła i przygotowała się psychicznie na powrót do piekła. To tylko kopalnia, dziura w ziemi. I co z tego?

Zostawiła Lauren, która stała w świetle poranka z telefonem w ręce i wstukiwiała numer. Patrzyła na nią przez chwilę, zdumiona odwagą i opanowaniem własnego dziecka. Potem odwróciła się, chwyciła lampę naftową i weszła do kopalni.

W środku natychmiast zaczęła się trząść. Żołądek podszedł jej do gardła, zaschło jej w ustach, brakowało tchu. Tym razem nie biegła, lecz szła powoli szukając wejścia do tunelu po prawej stronie. Tak, kiedy mijają go, wychodząc z kopalni, był po lewej.

Od jakiegoś czasu nie było już słychać strzałów. Nikt też nie wyszedł z kopalni. Nie miała pojęcia, co to mogło znaczyć, ale czuła, że to zły znak. A ona zostawiła tam Chrisa samego w obliczu tego, co było przecież jej przeznaczeniem.

Boże, proszę. Żeby tylko nic mu się nie stało.

Szła przed siebie, w głąb nieprzeniknionej ciemności. Gdzie jest ten szyb? Gdzie...?

Jest. Uniosła lampę i oświetliła czarną czeluść po prawej stronie, a potem znieruchomiała, nasłuchując. Nic. Ruszyła dalej.

Potknęła się nagle o leżące na ziemi ciało i cofnęła odruchowo, tłumiąc krzyk. Uniosła lampę. Davey. Leżał na plecach z rewolwerem w odrzuconej na bok ręce, z wielką plamą ciemnej krwi na kurtce.

Nieprzytomny? Martwy? Nic jej to nie obchodziło.

Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i poruszyła uniesioną lampą.

- Chris?

Odpowiedziało jej tylko echo. Chris. Chris. Chris. Spróbowała głośniej.

- Chris? Gdzie jesteś?

Ale znowu słyszała tylko echo własnego głosu. Boże, dlaczego on nie odpowiada? Czy...? Dźwięk. Tak, dźwięk, nie echo.

Ruszyła szybko w tę stronę, kołysząc lampą. Jęk. Ruch.

Był tam. Leżał na ziemi, przy starym, porzuconym wagoniku.

- Chris! - Podbiegła do niego, upuściła lampę i uklękła. Dotknęła jego twarzy.

Wymamrotał coś. Pochyliła się nad nim.

- Cholera, boli.

Niewiele brakowało, a wybuchnęłaby histerycznym śmiechem.

- Chris, co cię boli?

- Noga.

Tak, jedna nogawka jego spodni była przesiąknięta krwią, która utworzyła już pod spodem ciemną kałużę. Tyle krwi. Jęknął znowu.

- Lauren?

- W porządku. Nic jej nie jest. Dzwoni teraz na policję. Muszę cię stąd wyciągnąć.

- Straciłem dużo krwi.

- Przyślą helikopter. Chris, nie zamykaj oczu, patrz na mnie. Nie zamykaj oczu.

- Potts?

- Nie żyje. Zresztą nie wiem. - Znowu ogarnęła ją panika. - Musimy stąd wyjść.

- Nie, zostaw mnie.



- Nie! - Ściany zaczęły się do niej zbliżać.
- Nie dam rady iść.
- Pomogę ci. Jestem silna. Wstań, Chris, proszę, spróbuj wstać.

Podciągnął się na rękach, dysząc ciężko z wysiłku. Ashley chwyciła go pod ramię. Był ciężki. Boże, bardzo ciężki.

- Boli cię? - spytała głupio.
- Ależ skąd.
- O Boże, Chris.
- Będę... będę żył - powiedział.
- Ale czy to prawda?

W końcu zdołał się podnieść, jęcząc z bólu. Oparł się na Ashley i zrobił kilka kroków, powłócząc zranioną nogą. Nie była w stanie utrzymać lampy, zostawiła ją więc i znowu znaleźli się z ciemnościach. Ale widziała przed sobą niewyraźny krąg światła. Przyciągał ją do siebie. Tak ludzie, którzy przeżyli śmierć kliniczną, opisują powrót do życia-jako ruch w stronę jasności.

Chris jęczał i dyszał, raz omal się nie przewrócił, ale Ashley nie pozwoliła mu się zatrzymać, choć poruszali się bardzo powoli.

- Lauren! - krzyknęła, kiedy zbliżyli się do wyjścia.
- Mamo? - Przed nimi pojawiła się blada, przestraszona twarz.

Jeszcze tylko kilka kroków.

- Pomóż mi!

We dwie wyciągnęły Chrisa na zewnątrz i położyły ostrożnie na chłodnej, wilgotnej ziemi. Ashley miała krew na rękach i ubraniu.

- Och, mamo...?
- To jego krew. Noga. Zadzwoń!?

- Już jadą. Ta głupia baba zaczęła zadawać pytania, ale powiedziałam jej, że potrzebujemy pomocy.

Ashley przyklękła obok Chrisa. Znała się trochę na udzielaniu pierwszej pomocy, jak wszyscy nauczyciele. Wiedziała, że musi powstrzymać krwawienie uciskiem.

- Chris? Słyszysz mnie?

Miał poszarzałą twarz, usianą kroplami potu. Mamrotał coś cicho.

- Helikopter zaraz tu będzie. Trzymaj się.

Znalazła, w jego udzie otwór po kuli, w pobliżu pachwiny. Kula musiała uszkodzić arterię - dużą arterię. W otworze ciągle zbierała się krew. Przedtem rana musiała krwawić obficie, teraz krew tylko sączyła się nieprzerwaną strużką. Ile krwi stracił? Szok... na pewno jest w szoku. Kiedy człowiek straci za dużo krwi, organy wewnętrzne przestają pracować i następuje śmierć.

Przycisnęła dłoń do miejsca nad raną. Bezpośredni ucisk. Chris drgnął. Przepraszam, przepraszam, muszę to zrobić.

- Gdzie jest ten cholerny helikopter?! - krzyknęła.

- Czy on...? To znaczy, czy... - spytała cicho Lauren.

- Nie, jeśli tylko zdołam temu zapobiec. - Pochyliła się i pocałowała go w usta. - Trzymaj się, Chris. Nie zostawiaj mnie. Słyszysz?

Otworzył szkliste, niewidzące oczy.

- Chryste... to boli.

- Zaraz tu będą. Zaraz.

- Aaa... - Jego oczy wywróciły się nagle, głowa opadła na bok.

- Chris. Chris. - Położyła dłoń na jego policzku. Wydawało jej się, że minęły całe godziny, ale wiedziała, że ciągle jest wczesny ranek. Było

chłodno, słońce stało nisko nad horyzontem, rzucając na ziemię długie cienie. Gdzie ten helikopter? Lauren pierwsza go usłyszała i krzyknęła. Potem usłyszała go Ashley. Podniosła głowę i spojrzała w stronę, z której dobiegał odległy warkot.

Helikopter wyleciał zza góry. Wyglądał jak mały, lśniący w słońcu owad, ale rósł z każdą chwilą.

- Dzięki Bogu. - Po twarzy Ashley płynęły łzy. Lauren wstała i zaczęła machać rękami. Helikopter zatrzymał się i zaczął schodzić do lądowania.

RS

## *Rozdział 21*

Davey Potts zmarł w helikopterze, w drodze do szpitala. Chris został natychmiast przewieziony na operację. Był jeszcze operowany, kiedy do szpitala dotarła Ashley z Lauren.

- Wyjdzie z tego? - Ashley spytała błagalnie pielęgniarkę na izbie przyjęć.

- Bardzo mi przykro, musi pani poczekać, aż doktor Whitcomb skończy operację. On z panią porozmawia.

Lauren przyjęto do szpitala, a jej ubranie zabrano i zabezpieczono jako dowód rzeczowy. Została ubrana w szpitalną koszulę i zbadana przez lekarzy. Powtarzała ciągle, że nic jej nie jest, ale obsługa medyczna poradziła Ashley, by Lauren poddała się badaniom. Przepraszali, że nie mogła lecieć helikopterem, ale zabrakło miejsca. Ashley trzymała córkę za rękę. Była wyczerpana i tak bardzo martwiła się o Chrisa. Nie czuła jeszcze ulgi, nie miała czasu przemyśleć tego, co się stało, ani zastanowić nad tym, co jeszcze może się zdarzyć. Nie miała pojęcia, co się dzieje z Robertem i Vladimirem - nie chciała na razie tego rozważać.

Wyszła na korytarz, podczas gdy Lauren była opukiwana i osłuchiwana, i próbowała znaleźć kogoś, kto mógłby jej udzielić informacji o Chrisie, ale nie dowiedziała się nic poza tym, że nadal jest operowany. Weszła na chwilę do damskiej toalety, żeby ochlapać twarz wodą, przejrzeć się w lustrze i przeczesać palcami włosy. I żeby się pomodlić.

Wróciła do izby przyjęć, gdzie Lauren zaczynała się już niecierpliwie. Płakała i Ignęła do Ashley, a zaraz potem łzy ustępowały

brawurze nastolatki. Ale nie była przerażona, nie sprawiała wrażenia kogoś, kto przeżył jakieś traumatyczne doświadczenie. Dzięki Bogu.

- Co z twoim przyjacielem? - spytała, siedząc na wysokim łóżku i machając nogami. - Co oni mu robią?

- Jest operowany. Na razie niczego nie zdołałam się dowiedzieć. Myślę, że muszą wyciągnąć kulę. I przetoczyć mu krew.

Zagryzła wargi, usiłując ukryć przed córką swój niepokój. Ale Lauren nie dała się nabrać.

- Naprawdę się o niego martwisz.

- Tak.

- On mnie uratował, prawda?

- Owszem, kochanie.

- Ale ty też mnie uratowałaś, mamó. Weszłaś do kopalni.

- Bardzo się bałam.

- A jednak to zrobiłaś.

Ashley uśmiechnęła się z trudem.

- Matki ciągle robią takie rzeczy dla swoich dzieci.

- Jesteś naprawdę odważna. Zaczekaj, aż tata o tym usłyszy.

Robert. Dobry Boże, będzie jeszcze musiała powiedzieć Lauren, że za tym porwaniem stał jej własny ojciec. Nie uda się tego przed nią ukryć. Mowy nie ma. Zapewne zostanie oskarżony i wszystko wyjdzie na jaw. Cholerny Robert.

Ale teraz nie była odpowiednia pora, żeby się nad tym zastanawiać. Teraz należało się cieszyć, że Lauren jest cała i zdrowa, i czekać na wieści o Chrisie.

- Widziałam... - Lauren zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. -

Widziałam, jak całowałaś Chrisa.

O rany. Jak to powiedzieć tej małej dziewczynce? Ashley przysiadła na brzegu łóżka obok córki.

- Chris i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.- Postanowiła wyjaśnić jej wszystko. - Pamiętasz, jak ci opowiadałam o moim przyjacielu z Denver, tym, który znalazł mnie w kopalni?

- Aha.

- To właśnie Chris.

- Och.

- Zadzwoiłam do niego, kiedy zostałaś porwana. Nie miałam pojęcia, co robić. Wiedziałam, że był policjantem. Przyjechał natychmiast.

- Lubisz go, mamó? Ashley wzięła Lauren za rękę.

- Tak, bardzo go lubię. I jeśli wyjdzie z tego, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by został z nami.

- To znaczy, że chcesz za niego wyjść?

Ashley nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nie posuwajmy się za daleko, dobrze?

- Mamó, wiesz, że policja chce podobno, żebym złożyła zeznanie?

- Tak.

- Mam im opowiedzieć o wszystkim, co się stało?

- Tak, o wszystkim.

- Ale ten człowiek nie żyje. Powiedzieli mi, że umarł.

- Ale mimo to będą musieli poznać wszystkie szczegóły.

- Czy ja zrobiłam coś nie tak? Wiesz, wszyscy zawsze powtarzają, żeby nie rozmawiać z obcymi, nie wsiadać do nieznanych samochodów i tak dalej. Ale ja nie miałam wyboru, on mnie chwycił i...

- Nie zrobiłaś nic złego, Lauren. Nic. Nie obwiniaj się ani przez sekundę. Do oczu Lauren napłynęły łzy.

- Zachowywał się okropnie, związał mi ręce i ciągle byłam głodna. A w tej kopalni panował taki chłód.

Ashley objęła ją ramieniem i zaczęła kołysać jak wtedy, kiedy Lauren była małym dzieckiem. To wszystko są drobiazgi, wkrótce przykre wspomnienia zbledną. Lauren odczuwała przede wszystkim złość. Zdumiewające. I cudowne.

- Pani Marin? - Lekarz o pociągłej twarzy, w zielonym kitlu i chirurgicznej masce wsuniętej na czoło. Wstała szybko, za szybko. Krew odpłynęła jej z twarzy, zachwiała się lekko.

- Pani Marin?

- Tak... Chris?

- Stracił sporo krwi. Ale wszystko jest pod kontrolą. Usunęliśmy kulę, załataliśmy arterię i sędzę, że szybko do siebie dojdzie.

Ashley ukryła twarz w dłoniach, z jej oczu popłynęły łzy.

- Dzięki Bogu - wyszeptała.

Poczuła dłoń córki na swoich plecach, usłyszała głos nastolatki, która próbowała ją uspokoić.

- Już dobrze, mamó. Nie płacz. Dopiero wtedy naprawdę zaczęła płakać.

Po południu wróciły do domu. Chris nie odzyskał jeszcze przytomności, ale jedna z pielęgniarek obiecała, że zadzwoni, kiedy tylko się ocknie.

Ashley odczuwała ulgę, ale i przerażenie. Co czeka na nią w domu? Co się stało z Robertem, z Vladimirem? Jak się czuje jej matka? Poza tym była zmęczona, śmiertelnie zmęczona.

W domu zastały Pauline z Ludą - wystraszoną i skruszoną.

- Oni zabrać Vladimira na przesłuchanie. Okropna rzecz. Ja nic nie wiedzieć, pani Marin, przysięgać. Ja powiedzieć do niego: „Ty głupi człowiek, ty nie dostać więcej zielona karta, ty iść do więzienia”.

- W porządku, Ludo. Po prostu zajmij się teraz moją matką. Porozmawiamy później, dobrze?

Luda zamknęła Ashley w niedźwiedzim uścisku.

- Ja tak się cieszyć, że wy wrócić. Takie zmartwienie. Biedne dziecko. -Pocałowała ją nawet.

Zdezorientowana Pauline kryła się w swoim pokoju i traktowała opryskliwie wszystkich poza Lauren, nad którą ciągle płakała, choć chyba do końca nie wiedziała dlaczego.

Potem Ashley zadzwoniła do Charlene i Joego Garcii, żeby powiedzieć im o Chrisie. Była to trudna rozmowa, Charlene zaczęła płakać, a Joe zadawał mnóstwo pytań rzeczowym tonem policjanta.

- Informuj nas o wszystkim - poprosił na końcu. - Możemy tam przyjechać w kilka godzin.

Ashley poszła do łazienki i stała pod prysznicem dopóki nie skończyła się ciepła woda. Po twarzy spływały jej łzy, zmieszane z wodą.



W końcu pozwoliła sobie na chwilę słabości. Napięcie, w jakim ostatnio żyła, ustąpiło. Do czasu, kiedy przypomniła sobie o Chrisie.

Potem zasnęła na swojej pastelowej narzucie. Spała głęboko. Śniły jej się ciemne tunele i kopalniane szyby, ale nie były to koszmary, tylko naturalna reakcja organizmu na to, co się niedawno zdarzyło.

Obudził ją dzwonek telefonu.

- Do ciebie, mamó - powiedziała Lauren, podając jej słuchawkę.

- Mówi Janey Cornish ze szpitala. Odzyskał przytomność.

Narzuciła na siebie ubranie: dżinsy, białą koszulę, której nawet nie włożyła do spodni, sandały, i pojechała do szpitala, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość. Zaskoczył ją fakt, że zaczął już zapadać zmierzch, a oświetlone zachodzącym słońcem chmury przybierały wspaniałe barwy.

Ashley zaparkowała przed szpitalem i wbiegła do budynku.

W recepcji dowiedziała się, że Chris leży na sali numer 21. Minęła dyżurkę pielęgniarek i szła korytarzem, czytając numery na drzwiach. Dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden...

Był przerażająco blady, pod kroplówką, z namiotem z prześcieradła nad zoperowaną nogą. Podeszła bliżej, patrząc zachłannie na jego twarz, jego leżące po bokach nieruchome ręce, cień zarostu na podbródku.

- Chris - szepnęła, pochylając się nad nim. Głos jej drżał. Powoli otworzył oczy, zamrugał powiekami.

Nie była w stanie powstrzymać uśmiechu.

- Chris?

- Tak, jestem tu - powiedział, oblizując spierzchnięte wargi.

- Wszystko będzie dobrze.

- Na razie nie czuję się szczególnie dobrze.

- Ale będziesz. - Ujęła jego dłoń i pogładziła ją kciukiem, a potem położyła na łóżku.

- Lauren? - spytał.

- Jest w domu. Nic się jej nie stało. Zamknął oczy.

- Ty tego dokonałeś, Chris.

Znowu otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Nie, ty.

- Davey nie żyje.

Poruszył głową, jakby chciał pokazać, że usłyszał.

- Masz na coś ochotę?

- Tak, proszę jeszcze trochę tego środka przeciwbólowego - odparł pół-żartem.

- Och... och, mam zawołać pielęgniarkę?

- Nie - odparł. - Zostań tu jeszcze przez chwilę. Tylko chwilę.

Ashley usiadła na plastikowym krześle przy łóżku, trzymając go za rękę, i patrzyła, jak mięśnie jego twarzy rozluźniają się powoli. Środek przeciwbólowy działał i Chris zapadł w sen. Ashley nie puściła jego dłoni, trzymała ją i głaskała delikatnie. Przepelniała ją wdzięczność. Za to, że żył.

Teraz wszystkie dni były do siebie podobne. Ashley spędzała poranki z Pauline i Lauren, a popołudnia z Chrisem. Dwa dni po operacji wstał z łóżka i poszedł o kulach do łazienki.

- Jeden mały krok dla człowieka, ogromny dla ludzkości - zażartował.

Nabrał kolorów i codziennie wychodził na szpitalne patio, żeby posiedzieć w słońcu. Ashley przynosiła mu desery i świeże owoce.

Domowe lasagne. Lody. Luda przysłała barszcz i marynowane śledzie. „Dobre na krew”, powiedziała.

Teraz role się odwróciły i to Ashley opiekowała się Chrisem, wspierała go, tak jak on wspierał ją wiele lat temu. Miło było móc się zrewanżować.

Chris narzekał czasami. Zdarzały się dni, kiedy znowu popadał w depresję. Nie odzywał się i odwracał wzrok. Ale nawet wtedy istniała między nimi milcząca bliskość, która sprawiała Ashley wielką radość.

FBI przesłuchało go, kiedy tylko doktor Whitecomb na to zezwolił; tego dnia Ashley właściwie nie mogła z nim porozmawiać. Po przesłuchaniu był tak wyczerpany, że prawie nie tknął obiadu. Ashley bardzo starała się czymś go zająć, ale Chris zasypiał dosłownie w połowie zdania. Siedziała więc tylko i patrzyła na niego, a potem, przed wyjściem, pocałowała go delikatnie w usta.

Lauren odwiedziła go dwa dni później. Onieśmielona i trochę zakłopotana patrzyła, jak jej matka na powitanie całuje go w policzek.

- Byłaś bardzo dzielna - powiedział Chris. - Prawdziwy twardziel z ciebie, mała.

Lauren uśmiechnęła się, dumna z pochwały.

- Jak twoja mama - dodał Chris.

- Tak - odparła Lauren i spiekła raka.

Ale najmilej było, kiedy zostawali sami. Chris siedział w swoim fotelu z nogą wyciągniętą prosto przed siebie, Ashley obok niego, tak blisko, że prawie go dotykała. Rozmawiali, tak dużo rozmawiali. A jednak ciągle miała wrażenie, że on coś ukrywa. Coś, czego nie była w stanie odgadnąć.

- Przesłuchali ją federalni? - spytał.

- Tak, przesłuchiwali ją cały dzień.

Chris poruszył się i skrzywił z bólu.

- Chcesz tabletkę?

- Nie, do diabła. Mów dalej. Co się tam dzieje?

- Zabrali Roberta i Vladimira na przesłuchanie. Poza tym naprawdę niewiele wiem. Ja też musiałam złożyć zeznania.

- Lauren wie, co zrobił jej ojciec?

- Nie... na razie nie. Powiedziałam jej, że miał coś wspólnego z zapłaceniem za nią okupu, to wszystko. Ale... ona pewnie i tak dowie się prawdy.

Chris spojrzał na nią poważnie.

- Lepiej, żeby dowiedziała się od ciebie.

- Wiem. Boże, wiem o tym. Ale ona go kocha.

- Zrobisz to, jak należy. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

- Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

Joanie, była żona Chrisa, Joe i Charlene dzwonili codziennie.

Pewnego dnia Ashley weszła do jego pokoju i usłyszała koniec rozmowy.

- ...i mam już trochę dość tego szpitala. Och, no tak, zapomniałem, że jesteś szpitalnym ekspertem. Cóż, teraz wiem, przez co przechodziłeś, chłopie.

- Chris dostrzegł Ashley, uśmiechnął się do niej i powiedział

Joemu, że musi kończyć. - Przyszła moja ulubiona pielęgniarka.

- Cześć - powiedziała. - Jak się masz?

- Świetnie, po prostu świetnie. Wszystko mnie boli, ruszam się jak jakiś stary dziad i mają zamiar wypisać mnie w przyszłym tygodniu.

- To cudownie.

- Tak, cudownie.

Ashley już od jakiegoś czasu miała ochotę zadać mu to pytanie.

- Myślałeś może... to znaczy... zastanawiałeś się nad tym, co chcesz teraz robić?

- Nie bardzo. Joanie zaproponowała, że przyleci tu i zawiezie mnie do domu.

Do domu?

- Możesz zostać ze mną... z nami. Ja... bardzo bym tego chciała, Chris. Lauren także.

Odwrócił wzrok i zacisnął usta.

- Chris?

Machnął ręką.

- O co chodzi? Wiem... wiem, że coś cię dręczy.

Chris ciągle patrzył w okno, na wznoszące się za szpitalem zielone wzgórza.

- Powiedz mi - wyszeptwała.

- Wydaje ci się, że mnie znasz - powiedział powoli. - Myślisz, że jestem tym wspaniałym facetem, który cię ocalił. Ale ja nim nie jestem, Ashley.

- Kim więc jesteś? Spojrzał na nią.

- Nie chcesz wiedzieć.

- Nie mów mi, czego chcę. Do diabła, Chris, myślę, że przeszliśmy razem bardzo wiele.

- Nie ma to jednak nic wspólnego z tym, przez co przeszedłem sam - odparł ostro.

- Chodzi więc o ciebie. W porządku, słucham.

Pokręcił głową, poruszył się w swoim fotelu i jęknął z bólu. Ashley czekała.

- Posłuchaj, pracowałem w policji - powiedział w końcu. - Cholera, opowiedziałem ci o tym. Wszystko. Poza jednym szczegółem.

- Mów. - Ashley założyła ręce na piersi i patrzyła na niego spokojnie. Spojrzał na nią i zacisnął wargi w wyrazie goryczy.

- Zabrudziłem sobie ręce. Wziąłem pieniądze. Pieniądze z handlu narkotykami.

Serce Ashley przyspieszyło gwałtownie. Postanowiła jednak za wszelką cenę zachować spokój, nie zdradzić swoich emocji. Zaczekaj, upomniała się w duchu. Nie osądzaj go pochopnie. Zaczekaj.

- To była duża sprawa. Mieliśmy w końcu dopaść głowę rodziny z New Jersey. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. - Przesunął palcami po górnej wardze i spojrzał gdzieś w przestrzeń. - Miałem już tego dość. Od dwóch lat byłem tajniakiem. Ta robota może ci pomieszać w głowie. Człowiek się demoralizuje. Pieniądze były w bagażniku. Gotówka.

- Wzruszył ramionami. - Wziąłem je więc. Co mieli zrobić ci goście z mafii? Poskarżyć się glinom? Wziąłem te pieniądze. Dużo pieniędzy. Ale mój przełożony z policji nabrał podejrzeń. Nie mieli dowodów. Poprosili mnie jednak, żebym zrezygnował z pracy.

- Rozumiem.

- Teraz wiesz wszystko, Ashley - powiedział z rezygnacją. - Teraz wiesz, jaki ze mnie bohater.

- Co zrobiłeś z tymi pieniędzmi?

- Nie wpadną na ich ślad, jeśli o to ci chodzi. Pokręciła głową.

- Nie, pytam, co...

- Posłuchaj - przerwał jej - to musi zostać między nami, dobrze?

- Oczywiście.

- Dałem je Joemu.

Oczywiście. Pożyczka, o której kiedyś wspominał.

- Pomyślałem sobie... Jezu, tyle forsy. Jeśli nie ja, wzięłby ją jakiś inny skorumpowany gliniarz. Doszedłem do wniosku, że Joemu bardziej się przydadzą.

- I pewnie miałeś rację - powiedziała Ashley cicho. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Jesteś człowiekiem, którego znam. Tym samym, którego znałam od wielu lat. Nie będę oceniać tego, co zrobiłeś. Nie mogę.

Przesunął dłonią po twarzy.

- Cholera - zaklął cicho. - Nie rozumiesz. Gdyby taka sytuacja się powtórzyła, znowu wzięłbym te pieniądze. I to jest problem. Nie odczuwam najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Och, Chris - westchnęła. - Popełniłeś błąd, ale zrobiłeś to ze szlachetnych pobudek. Możesz wybaczyć sobie, to co było złe, i nauczyć się żyć z tym, co było w tym dobre? - Pochyliła się do przodu i położyła dłoń na jego kolanie. - We wszystkich nas jest dobro i zło.

- Nie w tobie.

- Boże, ja jestem prawdopodobnie największą egoistką pod słońcem.

- Bzdura.

Ale Ashley tylko machnęła ręką.

- Czasami tak bardzo mam dość mojej matki, że mogłabym ją uderzyć. A po rozwodzie nie starczyło mi czasu na własne życie. Było we mnie tyle gniewu. Brakowało mi cierpliwości do Lauren. Czasem wydaje

mi się, że te ataki paniki to z mojej strony rodzaj manipulacji. Chris, żadne z nas nie jest święte.

- Mówisz, jakby to wszystko było takie proste.

- Nie, to nie jest proste. Cały czas zastanawiam się, jak to znieść.

Chris milczał dłuższą chwilę.

- Sam już siebie nie znam - powiedział w końcu. - To jak schizofrenia. Zawiodłem wszystkich, moją rodzinę, policję, Jezusa, nawet Sala. - Urwał. - I siebie samego, co jest najgorsze.

- Nie zawiodłeś Joego.

- Tak, tylko jego.

- Ani mnie. Ani Lauren.

Nie odpowiedział, ciągnęła więc:

- Masz też zobowiązania wobec zbyt wielu osób, żeby teraz stchórzyć. Masz wspaniałych przyjaciół, którzy cię kochają i martwią się o ciebie. Masz cudownego syna, który, skoro już o tym mowa, przyjeżdża tu jutro, żeby się z tobą zobaczyć. Wszystko jest już zaplanowane. Joanie zostawi go tu na trzy dni, a Lauren obiecała, że pokaże mu miasto. Musisz się wziąć w garść. Musisz to zrobić dla Richa.

- Tak... a jeśli nie będę w stanie tego zrobić?

- Będiesz.

- Skąd, u diabła, możesz to wiedzieć?

- Bo ci pomogę.

- Ashley...

- Kocham cię od tak dawna, że właściwie nie pamiętam czasu, kiedy cię nie kochałam. Nie poddam się teraz.



- Może popełniasz wielki błąd... - zaczął, ale ona tylko położyła mu dłoń na policzku i pokręciła głową. Wiedziała, że tym razem z pewnością nie popełnia błędu.

Następne dni były bardzo do siebie podobne, Joanie przywiozła Richa, a potem wyjechała. Rich i Lauren przynajmniej raz dziennie przyjeżdżali do szpitala na rowerach, żeby odwiedzić Chrisa. Chris bał się wizyty swojego syna, nie chciał, by Rich widział go leżącego na łóżku i obolałego, ale Rich był zbyt zajęty, by zwracać na to uwagę. Potem Joanie zabrała go do domu, ale najpierw Lauren musiała obiecać, że w zimie weźmie go na najlepsze górskie stoki, żeby mógł pojeździć na snowboardzie.

Porwanie Lauren było wielką gratką dla mediów, a ich zainteresowanie zwiększały jeszcze zbieżności ze sprawą Ashley sprzed dwudziestu lat. Personel robił wszystko, by nie wpuszczać prasy na teren szpitala, ale nie zawsze się to udawało.

- Chryste, oni są jak buldogi - narzekał Chris.

- Raczej jak dzieciaki w sklepie ze słodyczami. A z dzieciakami dość dobrze sobie radzę - odparła Ashley.

Była zdumiewająca. Chris oczywiście czytał lokalne gazety każdego ranka i znał najnowsze doniesienia na temat Roberta, a nawet Vladimira, chętnie jednak słuchał wersji Ashley, która zazwyczaj była bliższa prawdy.

- Robert został zwolniony za kaucją w wysokości stu tysięcy dolarów - powiedziała, kiedy gazety pisały o pięciuset tysiącach. - Sprawa Vladimira jest w toku. Może zostać deportowany. Policja nie ma jeszcze wystarczających dowodów przeciw niemu, a Robert, oczywiście, nabrał wody w usta.

- W gazetach pisali, że Vladimir zostanie odesłany do Rosji w przyszłym tygodniu.

Ashley pokręciła głową.

- To tylko jedna z możliwości. Boże, ci dziennikarze.

- A jak Lauren przyjęła wiadomość o tym, jaką rolę odegrał jej ojciec w porwaniu?

- Nie najlepiej. Nie może zrozumieć, jak mógł się posunąć do czegoś takiego, żeby dostać prawo do opieki.

- Tak, to w ogóle trudno zrozumieć. Myślisz, że będzie jej potrzebna terapia?

- Rozmawiamy o tym. Nie chcę wywierać na nią presji. Ale...

- Zrobisz to, co trzeba. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

- Może.

- Na pewno.

Za oknem pojawiły się już pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni.

Mimo że był jeszcze sierpień, drzewa zaczynały nabierać złotej i czerwonej barwy; nawet drżące liście osik już zżółkły i przypominały złote monety.

Jesień. Ashley wkrótce wróci do pracy. On sam dostał, o dziwo, kilka propozycji, z lokalnych agencji ochrony. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić, odpowiedział więc, że oddzwoni. Nie mówił o tym Ashley. Sam nie wiedział dlaczego. Może sądził, że gdyby miała świadomość tego, że zaczął rozważać propozycję pracy w tej okolicy, czułaby się do czegoś zobowiązana.

Otrzymał paczkę i list od byłego agenta FBI, którego Marin wynajął, by się czegoś dowiedzieć o Chrisie. Dziwny był ten list. Prywatny

detektyw najwyraźniej obwinił się o to, że nie domyślił się, dlaczego Marina bardziej interesowała informacje na temat Chrisa niż odnalezienie porwanej córki.

Chris przeczytał list. Odłożył go i zajął się zawartością paczki. Był to gruby raport, wiele stron zawierających wszystko, czego Mark Kingston się o nim dowiedział. Na ostatniej stronie znajdowała się krótka notatka. *Spal to, jeśli chcesz. Pozdrawiam, Mark.*

Chris poprosił Ashley, żeby pozbyła się raportu, ale chciał też, żeby go najpierw przeczytała.

- Powinnaś wiedzieć wszystko.
- Wiem wszystko - odpowiedziała.

Okres rekonwalescencji, kiedy kuśtykał po szpitalu o kulach, bardzo mu się dłużył. Miał jednak czas, by rozważyć teorię życia Ashley. Czasem miał wrażenie, że otworzyła mu oczy na jakąś wielką prawdę. A czasami wydawało mu się, że tylko starała się go ułagodzić.

W przeddzień wyjścia ze szpitala, wieczorem, siedzieli na patio w gasnącym świetle słońca. Chris potrafił już poruszać się za pomocą jednej tylko kuli, mógł sam wziąć prysznic i się ubrać. Było z nim znacznie lepiej.

Ale ciągle nie zdecydował, co zrobi. To wszystko działo się za szybko. Jednego wieczoru wpakował sobie lufę rewolweru do ust, a zaraz potem... Zaraz potem stał się nagle bohaterem. Miał kobietę, propozycje pracy, szansę na rodzinę.

Rodzinę.

Ashley wydawała się tego wieczoru trochę nerwowa. Roztargniona.

- U Lauren wszystko w porządku? - spytał.

- Tak, oczywiście, przygotowuje się do nowego roku szkolnego.

Kupiła sobie trochę nowych ubrań. To już ostatnia klasa.

- A jak się ma twoja matka?

- W porządku. Dzisiaj wydawała się całkiem świadoma tego, co się dzieje. Może ten nowy lek jednak działa. Pytała o ciebie.

O co więc chodzi? - zastanawiał się Chris.

- A Robert? - indagował dalej.

- Zadzwoił do Lenny'ego i wynajął najlepszego prawnika, na jakiego było go stać. Elaine zabrała dziecko i wróciła do swojej rodziny, do San Diego.

- No, no.

- Wiem.

Ashley kręciła się niespokojnie na swoim krześle. Co, u licha?

- Chris... - zaczęła.

Cholera, o to więc chodzi. Buziak na pożegnanie. Przykro mi, Chris, ale wątpię, żeby nam się udało. Kopniak w jaja.

- Co cię tak męczy? - spytał ostrożnie.

- Wiesz, szkoła zaczyna się za dziesięć dni. Będę musiała wrócić do pracy. Uwielbiam uczyć i chciałabym nadal to robić...

- Tak?

- Jestem ostatnio trochę... - Odwróciła wzrok. - Trochę skołowana.

Nie wiem, co... co się stanie... z nami. Chciałabym... naprawdę chciałabym wiedzieć, na czym stoję, żebym mogła się skoncentrować na pracy.

- Aha.

- Chodzi o to, że... Boże, to naprawdę trudne. - Wzięła głęboki oddech. - Chciałabym być z tobą. Jeśli to możliwe, jeśli ty też tego chcesz.

Ja... ja po prostu chciałabym wiedzieć, czy... - Urwała i wbiła wzrok w swoje zaciśnięte dłonie.

Był kompletnie zaskoczony. Przez chwilę myślał o tym, co usłyszał.

- Oświadczasz mi się? Podniosła na niego wzrok.

- W pewnym sensie.

Wtedy stało się coś naprawdę zdumiewającego - jego oczy wypełniły się łzami. Jezu, nie płakał, odkąd...

- Chris? - zapytała błagalnie.

- Jesteś pewna?

- Boże, Chris, jestem pewna od dwudziestu lat.

- Cholera.

- Wiesz, że cię kocham. Nie kryłam się z tym specjalnie. Ale nie wiem, co ty do mnie czujesz. Nie chcę cię naciskać. Ale...

- Naprawdę mnie chcesz? Z całym dobrodziejstwem inwentarza?

- Och, tak.

Nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Bał się, że głos mu się załamie. Ujął jej dłoń i podniósł do ust. Ucałował najpierw jej grzbiet, a potem wewnątrz. Boże, zaraz naprawdę się rozplacze. A wtedy ona nie przestanie się z niego nabijać nawet wtedy, kiedy oboje będą starzy i siwi jak gołąbki.

Facet musi mieć swój honor, no nie?